

O piekle polskiego więzienia pisze
finalista Nagrody im. Kapuścińskiego, laureat Nagrody im. Torafińskiej

PAWEŁ KAPUSTA

GAD

**SPOWIEDŹ
KLAWISZA**

PAWEŁ KAPUSTA

GAD
**SPOWIEDŹ
KLAWISZA**



 **WIELKA LITERA**

Dla Taty

Słownik

gad, klawisz – funkcjonariusz służby więziennej

złodziej – w gwarze strażników więziennych: każda osoba osadzona w zakładzie karnym bądź areszcie śledczym, niezależnie od tego, z jakiego paragrafu została skazana bądź jest oskarżona

apelówka – liczbowy wykaz osadzonych w danej celi

atanda – grupa szturmowa Służby Więziennej, doraźnie formowana przez dowódcę zmiany z funkcjonariuszy będących na służbie, używana do likwidacji zagrożenia na terenie zakładu poprzez stosowanie środków przymusu bezpośredniego

celówka – karta identyfikacyjna osadzonego

czapka – dowództwo

CZSW – Centralny Zarząd Służby Więziennej

ćwiara – kara 25 lat pozbawienia wolności

dziesiona – rozbój; nazwa pochodzi od artykułu 210 Kodeksu karnego z 1969 roku

dźwięki – cela zabezpieczająca

emka, M – więzień młodociany

enka, N – 1) więzień niebezpieczny; 2) oddział bądź cela dla więźniów niebezpiecznych

eska, S – 1) więzień osadzony na oddziale terapeutycznym dla osób z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi lub upośledzonych umysłowo; 2) oddział terapeutyczny dla osób z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi lub upośledzonych umysłowo

fikoł – taboret

gaciarz – osoba pozbawiona wolności za przestępstwa seksualne, gwałciciel

gejsza – kajdany skuwające jednocześnie ręce i nogi; określenie pochodzi od „drobienia” kroków przez skutą osobę

GISW – Grupa Interwencyjna Służby Więziennej; to „więzienni komandosi”, wykwalifikowana formacja taktyczna, interweniująca w sytuacjach zakłócenia porządku, buntu, zamachów na życie bądź zdrowie funkcjonariuszy, wykonująca także zadania konwojowe

iskierka – raport tworzony przez CZSW na podstawie raportów z wydarzeń nadzwyczajnych zgłoszonych przez zakłady karne i areszty śledcze z całej Polski, wysyłany cyklicznie do wszystkich jednostek penitencjarnych w kraju

ić w transport – zostać przewiezionym do innego więzienia

kabaryna, suka – samochód konwojowy

kajfus, kalifaktor – więzień funkcyjny wydający posiłki osadzonym

karmnik – otwór w drzwiach pozwalający na podanie więźniom posiłku bez konieczności otwierania celi

kipisz – kontrola, przeszukanie

kipiszować – przeszukiwać

klapa – przycisk wewnątrz celi przy drzwiach wzywający oddziałowego

kogut, buda – wieża wartownicza

kukiel – wizjer, judasz

kwit – wniosek o ukaranie

mokry pokój – pomieszczenie do odbywania widzeń intymnych

ochronka – cela przeznaczona dla osadzonych wymagających wzmożonej ochrony ze względu na rodzaj popełnionego przestępstwa

OISW – Okręgowy Inspektorat Służby Więziennej

P1 – skazany po raz pierwszy, odbywający karę w zakładzie typu zamkniętego,

P2 – półotwartego, **P3** – otwartego; w gwarze: „petka”

peronka – więzienny korytarz

piguła – pielęgniarka

R1 – recydywista penitencjarny odbywający karę w zakładzie typu zamkniętego, **R2** – półotwartego, **R3** – otwartego; w gwarze: „erka”

sieczkarnia – cela straceń

sieczkarnik – pomieszczenie, w którym skazany oczekuje na „pójście w transport”

skarbowe ubranie – ubranie osadzonego, będące własnością zakładu karnego bądź aresztu śledczego

szamak – więzień należący do subkultury więziennej, grypsujący

tygrys – kratka na oknie celi; określenie wynika z faktu, że kratka rzuca w celi cień podobny do pasków tygrysa

ulung – więzień nienależący do subkultury więziennej, niegrypsujący; określenie pochodzi od nazwy najtańszej herbaty

wybijać się – prosić oddziałowego o rozmowę

wypiska – zakup towarów w więziennej kantynie

zamek – zakład karny typu zamkniętego

43 – kryptonim funkcjonariusza służby więziennej, przypisany do stanowiska, używany w łączności radiowej na terenie zakładu karnego bądź aresztu śledczego; na przykład „43”, „55”, „68”

Prolog

Klawisz chwyta kukiel i ciągnie wajchę. Uchyła malutkie okienko w głównej więziennej bramie. Zerka. Już po szóstej, świta. Późny październik. Z nieba sący się kapuśniak, okolica tonie w ciężkiej mgłę i dymie z kominów. Gdzieś w oddali tli się już miejskie życie. Słysząc przejeżdżające auta, autobusy obsługujące przystanek za rogiem. Ale tutaj jeszcze pusto i spokojnie. Strażnik przymyka kukiel i wciska guzik. Ruszają wrota. Ślamazarnie, ociężale, wywołując przy tym lawinę deszczowych kropel z kolczastego drutu – cierniowej korony wysokiego na pięć metrów muru.

Przyglądasz się temu dokładnie. Brama powoli się rozsuwa. W twarz strzelają ci światła gotowego do wyjazdu auta. Mrużysz oczy, w końcu zdajesz sobie sprawę, że to kształty doskonale ci przecież znane. Samochód kombi. Duet smutnych panów na przednich siedzeniach. Krzyż na masce.

Karawan powoli opuszcza zakład. Brodzi w kałuży i skręca w lewo. Ujeżdża kilkadziesiąt metrów i kręci w prawo, na dobre znikając z zasięgu twojego wzroku.

I znów – metaliczny, ociężały spacer połówek więziennej furty. Dwie postaci w przeciwdeszczowych pelerynach. Jedna postać. Pół postaci. Huk domykanej bramy. Kanonada kropel.

Kolejny dramat w cichych aktach, który zdarzył się w równoległej rzeczywistości, a o którym świat i tak pewnie nigdy nie usłyszy.

CZŁOWIEK

Malarz

– Wartownia, dowódca, słucham.

Andrzej dopija trzecią kawę i dopala paczkę czerwonych pall malli. Bez zegarka można stwierdzić, że jest trochę po 14. Dowódca zmiany wypełnia papiery, raz po raz brzęczy centrala. Gdy dzwoni telefon, nie podnosi nawet wzroku znad książki z porządkiem dnia. Automatycznie chwytą słuchawkę i przystawia ją do ucha.

– Panie dowódco, Magda psycholog się kłania – słyszy głos niedawno zatrudnionej w zakładzie, napakowanej wiedzą i chęcią zmieniania świata kobiety. Młoda recytuje: – Dzwonię z oddziału dla więźniów niebezpiecznych. Przed momentem zapadła decyzja na szczeblu dyrektora, kierownika oddziału, psychologa oraz psychoterapeuty, że dla polepszenia samopoczucia, rozwoju i procesu resocjalizacji osadzony z celi numer trzy, Kowalczyk Michał, dostanie papier i farby. Będzie malował!

„Ożeż kurwa, ja pierdolę...”. To pierwsza myśl, jaką podsunął Andrzejowi rozum. Więzień niebezpieczny – enkę dostał za agresję wobec oddziałowego – gość śmiertelnie skłócony z normalnością, a oni mu farby dają...

– Halo, panie dowódco! Jest tam pan?

– Pani Magdo, nie mam nic przeciwko resocjalizacji, ale to jest chory pomysł. To się źle skończy.

– Skąd! To decyzja po rozmowach. On jest świadomy!

– No to co ja mogę? Okej, przyjąłem – rzuca tylko zrezygnowany. Wie, że jego zdanie nie ma znaczenia.

Farby i papier trafiają pod celę o 14.30. Andrzej doskonale zapamięta tę godzinę wpisaną w raport. Komisja trochę po trzeciej wsiądzie w auta i zakład zostawi za plecami, mniej więcej w ich dolnych rejonach. A z kłopotem zostanie dowódca.

O 15.30 kolejny telefon z oddziału. Andrzej nie musiałby nawet odbierać. Z doświadczenia wie, kto dzwoni i w jakim celu.

– Panie dowódco, jest problem. Kowalczyk, szajba mu odbiła.

– Co dokładnie? – z opanowaniem.

– No lata po celi, wszystko już rozpiardolił. A teraz wziął farby, umalował trzy ściany, drzwi, kamerę i właśnie zaczyna malować okna. Krzyczy, że nas wszystkich zajebie. Nie reaguje na nasze wezwania.

– Dobra, wiesz, co robić. Przygotuj wszystko i czekaj na nas.

To nie jest tak, że środki przymusu bezpośredniego można stosować zawsze i wszędzie. By środka użyć, złodziej musi spełniać warunki. Musi się targać na życie, zagrażać życiu innej osoby albo zachowywać agresywnie. Albo niszczyć mienie, być rażąco nieposłuszny. Klawisz musi pokonać jego bierny lub czynny opór, wyegzekwować wymagane prawem zachowanie zgodnie z wydanym poleceniem. Nie jest też jak w amerykańskim filmie. Specjalna ekipa nie siedzi w kanciapie i nie czeka na hasło: „*Let's go! Wzywam posiłki!*”. Nie leci później helikopterem, żeby zrobić porządek ze złodziejem. Jasne, czasem zdarza się, że na zakładzie dyżuruje Grupa Interwencyjna Służby Więziennej delegowana tylko do takich zadań. Ale to rzadkość. Ekipa szturmowa, w slangu więziennym atanda, to przeważnie zbieranina. Dowódca wyznacza ludzi, których ma po prostu pod ręką.

Pewnych rzeczy przez radiotelefon nigdy się nie mówi. Słyszą wszyscy, więźniowie też. Jak rzucisz w eter: „sześć-osiem, sześć-dziewięć, siedem-zero i pięć-pięć – do mnie!”, złodzieje od razu skleją, że szykuje się akcja. Załatwia się to inaczej.

– Pięć-pięć, przedzwoń do mnie! – Andrzej rozkazuje przez radiotelefon.

Funkcjonariusz po kilku chwilach oddzwania na biurko.

– Trzeba na ence spakować gościa. Znajdź na zakładzie Grubego, Rysia i Golonkę, a później wszyscy do mnie – dyryguje dowódca.

Po 10 minutach zbiori ekipę. Kaski, tarcze, nakolanniki, naramienniki, kamizelki. Bierzesz zawsze tylu chłopa, żeby zapewnić siły i środki do likwidacji zagrożenia. Jak fika baba, wysyłasz jednego. Wystarczy, by wyciągnąć ją za kudły z celi. Jak jest chudy złodziej, to wystarczy wziąć dwóch. Gruby – czterech. A jak trzeba interweniować w czteroosobowej celi, to i piętnastu czasem uruchamiasz.

– Być może trzeba będzie go spakować na dźwięki. Oddziałowy wszystko wie, czeka – tłumaczy dowódca w trakcie szykowania ekipy. Sam się nie zbiori,

nie może bezpośrednio brać udziału w pacyfikacji. Bo jeśli zabiją dowódcę, to kto będzie rządził w kryminale? Tu jest jak na wojnie!

Idą. Andrzej i czterech funkcjonariuszy. Plus piąty, z rezerwy, do trzymania kamery i nagrywania filmu z akcji (jako dowód w późniejszym postępowaniu). Krata, oddział. Najpierw rzut oka w telewizorek. Rzeczywiście, Kowalczyk skacze, rzuca pędzlami, wydziera się, maluje okno. Podchodzą pod celę.

– Dobra, dawaj, Wajda, zaczynamy. Kręć! – mówi Andrzej do chłopaka z kamerą i otwiera drzwi. Może to zrobić bez strachu, bo w celi dla niebezpiecznych za drzwiami jest jeszcze dodatkowa zabezpieczająca krata. Staje w taki sposób, by nie oberwać frunącym pędzlem. I tak, żeby złodziej wszystkich widział. Jeśli Andrzej przyszedłby sam, nie zrobiłby wrażenia. Ale jeśli pojawia się z kilkoma bykami ubranymi jak kosmici – z pałami, tarczami i w białych kaskach – to a nuż więzień się zeszczu ze strachu. A nuż nie trzeba będzie nic robić. Czeka chwilę w ciszy. Skazany patrzy, bada sytuację jak zaskoczone zwierzę.

Dowódca mówi:

– Panie osadzony Kowalczyk, wzywam pana do zachowania zgodnego z prawem. W przeciwnym razie zostaną wobec pana użyte środki przymusu bezpośredniego w postaci umieszczenia w celi zabezpieczającej, założenia jednoczęściowego pasa obezwładniającego i kasku ochronnego na głowę. Decyzja. Decyzja!

I opcje są tylko dwie. Pierwsza – skazany się podporządkowuje. Mówi coś w stylu: „Dobra, panie dowódcu, będę już spokojny. Niech ktoś rano przyjdzie, trochę to wszystko powycieram, dogadam się z dyrektorem, żeby mnie bardzo nie karał. Idźcie już sobie”. I idziesz. Rzucisz tylko na odchodne, że jak znów zaczniesz szaleć, to już nie będziesz o nic pytał, tylko po prostu wyciągniesz go jak karalucha.

Ale to opcja idealna. Tutaj takie scenariusze nie mają miejsca. Andrzej środki przymusu stosował kilkadziesiąt razy, ale takiej wersji sobie nie przypomina.

– Wypierdalaj, chuju! Będę robił, co mi się podoba! Słyszysz, psie?! Wypierdalaj stąd!

Przez kratę frunie jeszcze pędzel. Odbija się od tarczy jednego z chłopaków, a złodziej zabiera się za dewastację fikoła na stałe przymocowanego do podłogi.

– Panowie, gotowi?

– Gotowi!

– Okej. Plan: cela, pas, kask. W celi jest sporo miejsca, nie wyciągajcie go od razu na korytarz. Załatwcie to w środku. Najpierw do ściany z nim, później na glebę.

Dowódca staje z boku. I to koniec jego roli. Mówi tylko:

– Jedziemy!

No to jedziemy. Puszczaj kraty, nie ma zmiłuj.

Ciechocinek

– Łomża? Perła? – pyta Grzesiek. W służbie prawie 20 lat, przedreptana cała zawodowa ścieżka w zakładzie, o którym w więziennym środowisku mówi się: najbardziej różnorodny kryminal w Polsce. Tysiąc skazanych, niemal wszystkie kategorie osadzonych: erki, petki, enki, emki. Mężczyźni i kobiety. Psychopatyczni mordercy, seryjni gwałciciele, pedofile, cyngle mafii, przestępczość zorganizowana, złodzieje słoików, pijani rowerzyści, alimenciarze. Cała paleta bohaterów czarnych snów i okolic. Grzesiek zaczynał dwie dekady temu jako chłopak siedzący z karabinem na wieży wartowniczej. Skończył jako dowódca zmiany, pod nieobecność dyrektora najważniejszy funkcjonariusz na terenie.

– Łomża – rzuca Andrzej. On zaczynał trochę wcześniej, zaszedł jeszcze wyżej. Był i dowódcą, i kierownikiem ochrony. Zarządzał wszystkimi zmianami, grubo ponad 200 ludźmi pracującymi na pierwszej linii frontu, w bezpośrednim kontakcie z osadzonym. Bójki, ucieczki, zgwałcenia, wypadki nadzwyczajne, tworzenie planów – na głowie wszystkie sprawy ochronne. Szalona odpowiedzialność i presja uprawiająca orkę na psychice.

– Ja też łomża – mówię. Trzy kufle, piwo po ścianie.

Mieli dwa kluczowe momenty w swoich zawodowych karierach. Pierwszy: gdy przyszli robić do zakładu. Drugi: gdy zapadła decyzja o rozbudowie ich kryminału. Wtedy żaden z klawiszów nie zdawał sobie sprawy, co to w rzeczywistości oznacza. Wcześniej pracowali wprawdzie za murami, ale dziś żaden z nich nie ma wątpliwości, że w starych czasach nawet nie stali przy prawdziwych klawiszach. Nosili mundury, byli w służbie, ale nie mieli pojęcia, co to więzienie z prawdziwego zdarzenia.

– W porównaniu do tego, co zostało u nas otwarte w 2008 roku, byliśmy cieciami w Ciechocinku – uważa Grzesiek.

W każdym poważnym zakładzie zasady bezpieczeństwa są sztywno trzymane za mordę. Milion obostrzeń, wszystkie (w miarę możliwości) respektowane. Przykład: skazany nie ma prawa wyjść poza oddział i poruszać się bez asysty funkcjonariusza. Obojętnie – facet pracujący na kuchni czy baba

robiąca na pralni – wszystkich obowiązują takie same restrykcyjne zasady. A na starym zakładzie? Ruch jak w Rzymie. Dowódca stoi, pali fajka. Pyta tylko:

– A pani to gdzie idzie?

– Na warsztaty.

– A pani?

– A ja to na oddział na chwilę skoczę i zaraz wracam do pralni.

– Dobra, idźcie.

Momentalnie ktoś to uciął, w realiach nowego zakładu musiał złapać za pysk. Ci, którzy na funkcjonowaniu w starych śmieciach zjedli zęby, poodchodzili. Nie wytrzymali ciśnienia.

– Wielu starych klawiszy, przyzwyczajonych do atmosfery kameralnego kryminału, po prostu doznało szoku. Wcześniej było tu kilka bab wsadzonych za morderstwo, poza tym większość drobnych złodziejasków i wiejskich gamoni z wyrokami za kradzież złomu albo spranie kobity. I nagle ktoś kazał nam trzymać w celach koszmary – tłumaczy Grzesiek. – Gdy zaczęto zaludniać nowy pawilon, rozpoczęła się jazda bez trzymanki. Codziennie dowiadaliśmy się nieoficjalnymi kanałami, kto będzie do nas wysyłany w transport. Siedziało się wieczorami albo nocami na telefonach i gadało ze znajomymi z innych wielkich zakładów.

– Serwus, Zbysiu, co tam? Jak sytuacja?

– No, powiem ci, Grzesiu, że jutro wysyłamy do was sześciu najgorszych skurwysynów, jacy u nas siedzą – padała przeważnie odpowiedź.

Do zakładów z tej części Polski przyszło z góry zarządzenie, że mają wybrać odpowiednią liczbę zawodników spełniających kryteria i puścić ich do nas. Pół kraju – od Szczecina po Katowice – słało więc nam wszystko, co mieli najgorsze. Każdy wybierał takich, którzy sprawiali najwięcej kłopotów. Bo po co im problem? Szumowiny szumowin, sama śmietanka. Zwieziono do nas takich bandziorów, że w pierwszym tygodniu się po prostu posraliśmy. Zapanował chaos, nie wiedzieliśmy, jak z nimi postępować. Na przykład przyjechało kilku z grupy Szymka. Na wolności walili tiry. Opaśle tomy akt na ich temat. Jak zobaczyłem kwoty, jakimi obracali, i przeczytałem o popełnianych przez nich zbrodniach, to mi się po prostu kolana ugięły. Po trzech tomach miałem dość. A było jeszcze kilkanaście. Dla nich zlikwidować

gościa, który mógł się rozpruć, to było jak splunięcie. Gdy czekałem na ciebie w aucie, wysłałeś mi SMS: „Już idę”. Oni wysyłali do siebie inne wiadomości. „Rozpierdol go” – to była norma. Nigdy wcześniej z takim materiałem nie pracowaliśmy. A w kilka tygodni mieliśmy na zakładzie setki podobnych przypadków. Wszyscy błyskawicznie musieliśmy się uczyć ich obsługi.

Andrzej doskonale pamięta pierwsze zasiedlenie. Był wtedy kierownikiem ochrony.

Przez bramę zakładu wjeżdża więzienna suka-autobus z Wroniek. Dodatkowo dwa busy z obstawą – kilkunastu uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy. Kominiarki, broń krótka, broń maszynowa, kamizelki kuloodporne. Transport dostarczony, brama zamknięta. Broń zdana do magazynu, bo na terenie nikt nie ma prawa mieć przy sobie nawet skitranego pistoletu. Można wypakowywać. Z autobusu, jeden po drugim, wyskakuje 30 postaci. Każda w skarbowym uniformie, wkuta w gejszę i z historią godną dokumentalnych filmów.

Andrzej osobiście wybierał do obrobienia tego transportu samych doświadczonych klawiszy. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby puścił do nich „dzieciaki”, które chwilę wcześniej zatrudnił praktycznie z ulicy, by w ogóle miał kto pracować na nowym pawilonie. Zdarzyło się, że jednego dnia zaakceptował 60 takich świeżaków.

Dowódca zmiany zarządza: – Osadzeni, w szereg!

Funkcjonariusz dostrzega, że na palcu jednego ze złodziei świeci się złota obrączka.

– Panie osadzony, ze względów bezpieczeństwa proszę o zdjęcie obrączki.

– Nie ściągnę.

I szok. Wcześniej to było przecież nie do pomyślenia, żeby złodziej odmówił ściągnięcia biżuterii.

– Dlaczego pan nie ściągnie?

– We Wronkach nosiłem, to tu też będę nosił. Możecie mnie w dupę pocałować.

Pierwszy człowiek przyjęty w nowym zakładzie i już podniesione ciśnienie. Funkcjonariusz zgłasza problem dowódcy, dowódca idzie do kierownika ochrony.

– Panie kierowniku, co robimy?

– Gównu mnie to obchodzi. Ma tę obrączkę zdjąć.

Może się to wydawać błahostką, ale co zrobić w takiej sytuacji? Opcje są dwie. Pierwsza – siłowa. Kasujesz gościa na celę zabezpieczającą. Tyle tylko, że masz takie cztery na cały zakład. Czterech pierwszych tam zamkniesz, a co zrobisz z resztą? Druga opcja to rozwiązanie praktyczne.

– Panie, wiem, że tam może pozwalali wam nosić obrączki. Zrobmy tak: zdejmie ją pan. Osobiście zainteresuję się tematem. A jutro napisze pan prośbę do dyrektora o możliwość noszenia i będzie pan ją miał. No bo nosił ją pan we Wronkach, tak?

– No tak.

– To tu też pan będzie nosił, jak dyrektor wyrazi zgodę.

I ściągnął, oddał. Kolejny raz zobaczy ją, gdy będzie wychodził, czyli pewnie za jakieś 20 lat. Bo człowieku, jakie złoto! Jaka zgoda! Po prostu we Wronkach nie chciał spokojnie pójść w transport, więc mu powiedzieli: „Chcesz obrączkę? To masz, w nowym zakładzie będziesz mógł nosić! Tam pozwalają”. I jechał. Żaden szamak nie chciał zresztą do nas jechać z jednego podstawowego powodu. Bo w Polsce mieliśmy opinię zakładu dla frajerów. Gdy wcześniej przyjeżdżał do nas chłop, z transportu prowadzili go na oddział. Tam z nim rozmawiałem.

– Ty co, grypsujący?

– No.

– Oczywiście, super. U nas grypsuje się w niedziele od ósmej do dziewiątej w kaplicy na mszy, z babciami. I to jak ci ksiądz pozwoli. A teraz wyjazd do celi.

I taka szła fama. Nasz zakład od zawsze w środowisku recydywistów uznawany był za babski kryminał. A facet-szamak to wiadomo – musi być zamek, R1, wojna dzień i noc z klawiszami. Dla nich wyjazd do nas to była potwarz, bronili się przed tym rękami i nogami. Inne zakłady miały z tym ogromne problemy, czasem trzeba było pacyfikować buntujących się złodziei. Zmieniło się to dopiero, gdy dotarły pierwsze transporty. Gdy zobaczyli, że to już nie frajernia. Że przerastamy Wronki, Sztum, Rawicz i Wołów razem wzięte.

Tak czy siak dla Grzeška i Andrzeja to była całkowicie nowa materia. Grypsujący, choć to i tak grupa na wymarcu, bo teraz w zakładzie liczą się pieniądze zamiast twardych reguł, był dla nich jak ufoludek – słyszeli o nim, widzieli na filmach, ale w rzeczywistości kompletnie nie znali zasad. Grzegorz podczas szkoleń i konwojów poznał wielu ludzi, którzy siedzieli w tym przez całe życie. Gdy opowiadali, chłonał tę wiedzę, a później wdrażał na nowym zakładzie.

– Dzięki temu wiedziałem na przykład, że jak na kajfusa, czyli tego pchającego wózek pod cele i leżącego zupniaka, dasz gościa skazanego na przykład za gwałt, to momentalnie masz pożar w więzieniu. Za godzinę grypsujący dowiedzą się, że karmił ich gaciarz, i jest bunt. Niewyobrazalna sprawa – mówi i dodaje: – Na samym początku mieliśmy przesrane, bo nawieźli nam materiału, a my, ochroniarze, nie mieliśmy pojęcia, kto za co siedzi. I nie wiesz, kogo pierwszego dnia wrzucić na kalifaktora. W panice pojawił się pomysł, żeby przebrać mnie w więzienne ciuchy i żebym to ja wydawał posiłki do czasu, aż nie opanujemy tego chaosu. Nie przeszło, ale było blisko. Poznawanie nowej rzeczywistości zajęło nam dobre dwa lata.

I dalej: – W końcu się jednak ogarnęliśmy. Złotą zasadę przedstawił mi stary garus, który miał już swoje nafikane i zajechane łącznie ze trzydzieści lat. Powiedział mi: „Jeśli zachowujesz się jak człowiek, będą cię traktować jak człowieka. A jak się zachowujesz jak pajac, to wszyscy – i złodzieje, i klawisze – będą cię traktować jak pajaca”. I to w więzieniu reguła pozwalająca przetrwać wszystko. Po odejściu na emeryturę przed kilkunastoma miesiącami zrobiłem rachunek sumienia. Wyszło mi, że nigdy nikomu nie wyrządziłem jakiegokolwiek niegodziwości. Byłem jednak konsekwentny. A to nie zawsze za murami się podobało. Czasem prowadziło do zdarzeń, o których zwykłemu człowiekowi nawet się nie śniło.

Panie Nowak, ja się pana boję

– Wypierdalaj chuju! Będę robił, co mi się podoba! Słyszysz, psie?! Wypierdalaj stąd! – krzyczy niebezpieczny więzień pod trójką. Farbkami wymalował już wszystko w celi, włącznie z własną twarzą. Wszystko poza przekazanymi mu przez psychologa kartkami.

– Dobra, panowie, jedziemy! – zarządza Andrzej i robi dwa kroki w tył.

Jeśli zastanawiasz się, czy jest możliwość, że największy, najcięższy, najgroźniejszy, znający sztuki walki bandyta będzie w stanie się długo bronić i zadawać ciosy, odpowiedź brzmi: nie ma najmniejszych szans. Gdy pod celę wpada czterech funkcjonariuszy w pełnym rynsztunku, z ogromnymi tarczami, każdego zgniotą jak robaka. Akcja trwa może 20 sekund.

– Zapiardolę was! Wszystkich was zajebię! Znam cię, kurwo! Znam twoją matkę! Wyrucham ci córkę! Zobaczysz, psie! Aua! Aaa! Kurwa! – wydziera się agresywny artysta, którego grupa interwencyjna przyciska właśnie do ściany, a potem za pomocą chwytów obezwładniających i transportowych doprowadza do celi zabezpieczającej. W niej – puściusieńko. Poza metalowymi kibelem, stoliczkiem i taboretom w przedsionku – nic. Przebiera się tam jeszcze delikwenta w skarbowe ciuchy, zakłada pas obezwładniający, kask ochronny i tak zamyka.

Wszystkie dźwięki mają w podłodze cztery zabezpieczone otwory. Gdy zdarza się użycie trzyczęściowego pasa, trzeba wstawić specjalne łóżko. Kładziesz rozszalałego złodzieja, pasami przypinasz mu ręce, nogi i głowę. Stosuje się to bardzo rzadko. Andrzej przez tyle lat tylko raz zdecydował się na taki środek – gdy okazało się, że pas i kask to za mało. Przeważnie jednak kończy się na pasie i kasku. Dzięki niemu osadzony może walić głową w ściany do woli – i tak sobie nic nie zrobi. Dowódca musi w odpowiednich odstępach czasu sprawdzać samopoczucie i zachowanie skazanego.

– Gdy nie było jeszcze kamer, rzucało się: „Ty, chuju, będziesz spokojny? Bo jak nie, to tu będziesz siedział, aż zdechniesz”. Odkąd pojawiły się kamery, mówi się odrobinę inaczej. „Panie osadzony, czy zaprzestanie pan działań niezgodnych z prawem, które zobligowały mnie do zastosowania środków

przymusu bezpośredniego?”. W takiej celi ma przebywać do czasu ustania przyczyn zastosowania, jednak nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Ale jeśli gościa wsadzasz tam wieczorem, to przecież nie będziesz go wyciągał po kilku czy kilkunastu minutach, tym bardziej w nocy. Niech gnije. Wystarczy, że napiszesz: „Nie zachodzą przesłanki do zaprzestania”. Spanie? Materac, koc, poduszka, rzucasz mu to na podłogę – opisuje Andrzej.

Gdy człowiek bez pojęcia o zakładzie słyszy: „więzień niebezpieczny”, od razu myśli: psychopata, seryjny morderca, płatny zabójca. A równie dobrze może to być chłopak, który wracał z wiejskiej dyskoteki i pod wpływem alkoholu rozjechał kogoś na pasach. Na ten status można sobie bowiem zasłużyć ciężarem przestępstwa (na przykład brutalne zabójstwo czy planowanie zamachu terrorystycznego), ale także zachowaniem w zakładzie. Choćby próbą dokonania ucieczki. Albo nakłanianiem do tego innych. Albo zaatakowaniem klawisza.

– U nas w zakładzie zasada była prosta: kto się rzucił na funkcjonariusza, z miejsca był kuty w gejsz i nadawano mu enkę – mówi Andrzej.

To jednak uciążliwe, bo gdy masz na stanie niebezpiecznego, musisz stosować specjalne procedury. Gdy ma wyjść z celi, na przykład do lekarza albo na spacer, wstrzymujesz ruch w całym kryminale. On się przemieszcza, a wszyscy inni są zamknięci. Enka nigdy nie widzi nikogo poza strażnikiem. Dopiero gdy przeszedł – radio, komunikat: „Okej, po wszystkim” i ruch na zakładzie wraca do normy. Między innymi dlatego właśnie budowane są zamki. Niebezpieczni w ogóle stamtąd nie wychodzą. Na miejscu mają lekarza, spacer, widzenia, telewizor – wszystko. Co trzy miesiące zbiera się komisja penitencjarna. Debatuje. I albo zmienia status, albo nie. Jeśli tak, otwierasz osadzonego, pobiera zwykle ciuchy, przebiera się i wypad na normalną celę.

O Andrzeju mówili czasem, że był nerwus jak mało który klawisz. Że gdy tylko złodziej mu podskoczył, atanda w kilka sekund pakowała gościa jak paczkę na święta. On jednak uważa, że to nieprawda, bo gdy dochodziło do sytuacji ekstremalnych, zawsze próbował ze skazanym rozmawiać i rozwiązywać problemy na drodze pokojowej.

Dzień, jakich za murami miał setki. Telefon na wartownię, informacja z oddziału:

– Panie dowódco, problem jest! Nowak nawrzucał pielęgniarce, próbowaliśmy go ogarnąć, ale nakręcił przeciwko nam całe piętro. Ciepło nam się tu robi!

Nowak. Trząśł stutysięcznym miastem. Wsadzili go za „dychę”, czyli za rozboje. Latał po mieście z nożami, siekierami i terroryzował okolicę. Zakapior niebywały, grypsera pierwszej wody. Normalny człowiek gdyby tylko na niego popatrzył, ze strachu straciłby przytomność.

Andrzej idzie na oddział. Podchodzi pod izolatkę, w której Nowak odbywa karę. Słysząc krzyki w innych celach. Otwiera drzwi, za nimi jest jeszcze krata, jak u niebezpiecznych. Odwraca się do całego zastępu ludzi z psychologiem na czele.

– Idźcie stąd wszyscy, dajcie mi z nim pogadać.

Poszli. Dowódca robi dwa kroki, ale staje dobry kawałek od kraty.

– Panie Nowak, ja tam dalej nie podejść, bo się pana boję – rzuca do osiłka. Ten patrzy na niego zdziwiony. – No co, trudno panu pojąć, że dowódca zmiany boi się złodzieja? A ja panu mówię prawdę. Nie ufam panu, bo podejść bliżej, a pan mi czymś przyjebiesz. Dlatego stoję za kratą. Ale obiecuję panu: jeśli rzucisz pan we mnie czymkolwiek, to ja pana tutaj zniszczę. Rozumie pan? Zniszczę. Bo mój jeden okrzyk, wpada dwudziestu zdrowych chamów i pan nie żyjesz. Wywloką pana stąd w pizdu i przestaniesz pan istnieć w zakładzie. Wywiozą pana do Suwałk albo do żubrów w puszczy. I ja to panu załatwię, dobrze pan o tym wiesz. Po drugie: powiedziałem, że się pana boję, ale teraz to ja pana nastraszyłem. Możemy teraz pogadać normalnie. Niech pan podejście do kraty.

– Co, kurwa?! Po chuj?!

– Pan podejście, może pan tylko zyskać.

Podchodzi.

– Panie Nowak, jest pan grypsujący?

– No.

– Uważa się pan za grypsującego, a zachowuje tak, że gdyby to wyszło, to jesteś pan chodzący trup. Nie trzeba będzie pana stąd wyciągać, wywozić. Wystarczy, że w zakład pójdzie informacja, a pana koledzy spuszczą pana w kiblu. Dlaczego się pan tak zachowuje? To grypsujący mówi tak do kobiety?

Takie macie zasady? Mnie innych uczono. Przecież to wstyd. Umówmy się tak: ja stąd wychodzę. Nie wymagam, żeby pan tu kogoś przeproszał. Jesteśmy w końcu w kryminale. Ale obiecuję panu, że jeżeli będzie pan robił to, co robi, zrealizuję swoje obietnice. Nie musimy być przyjaciółmi. I nigdy nie będziemy. Ale wie pan, że różni nas jedna, jedyna rzecz. Nigdy się nie wywyższam, że ja to wielki pan klawisz, a pan zwykły śmieć złodziej. Nigdy. Różnica jest inna. Ja zawsze mogę być panem. Bo nie siedziałem, a siedzieć mogę. A pan nigdy nie będzie mną. Bo już pan siedział, więc klawiszem nie zostanie. Poza tym niczym się nie różnimy. A że robimy sobie pod górkę? Życie. Ja mam taką pracę, a pan takie zasady. Dopóki będą się trzymały kupy, będzie dobrze. Jeśli się za bardzo rozejdą, pan przegra. Wszyscy przegracie. Teraz wychodzę. Możemy w spokoju stąd pójść? Chyba że woli pan, żebym otworzył tę kratę.

Chwila ciszy.

– Idźcie stąd. Idźcie w chuj! – wysyczał przez zęby.

Można bez atandy? Można. Tylko nie zawsze się da.

Kwintesencja

Wstawaj, Karol, już czas. Na oślepie macasz łapą parapet, w końcu trafiasz w przycisk i wyłączasz budzik. Jest chwila przed piątą. Żona leży obok, ale ani drgnie. Trzynaście lat dzielenia się chłopem z kryminałem uodporniło ją na nieprzyjemne dźwięki o tak niehumanitarnej porze. Zrywasz się z wyra, zerkasz przez okno. Oczy sklezione snem. Śnieg, pozdrowienia od kończących szczytę ulicznych latarni. W łazience – skrobanie zarostu, w kuchni – skrobanie zmarzniętego masła. Chlipiesz zbożową kawę, pakujesz w plecak pudełka z wczorajszym obiadem. Zaspane „siema” rzucasz kumplom w szatni za dwadzieścia szósta. Mundur. Metalowe schodki. Wartownia. Odprawa. Wszyscy w szeregu. Dowódca informuje, co działo się w nocy. Kto świrował, jakie problemy, na kogo i na co zwrócić uwagę.

– Panie i panowie, o pierwszej trzydziści na oddziale drugim mieliśmy karetkę. Osadzony Bielski zgłosił ból brzucha. Było podejrzenie wyrostka, ale nie zabrali go do szpitala. Dostał piguły, proszę o zwrócenie na niego uwagi, żeby nam tu nie fiknął – mówi i ciągnie: – W nocy zjechał transport. Przywieźli nam Kowalskiego Krzysztofa. Na pewno kojarzycie, pod wpływem narkotyków wpadł samochodem w przystanek autobusowy, zabił dwójkę dzieci i ich matkę. Załamany, suicydalny. Proszę o częstsze prześwietlanie celi, żeby się nie wyhuśtał. Przypominam też, że dziś jest dzień widzeń. Proszę o dokładne sprawdzanie osadzonych wracających z widzeniówki, szczególnie pod kątem narkotyków. Gdyby działo się coś nieprzewidzianego, proszę o informację. I jeszcze jedno. Na ence jest nowy klient, prosto z transportu. Wiadomo, panowie, wzmożona czujność. Zapoznajcie się tam dokładnie z panem i przedstawcie zasady.

Później dowódca dzieli jeszcze robotę: kto będzie odpowiadał za wychodzący transport, kto przygotowuje na to złodziei. Dostajesz rozpiszkę z czynnościami procesowymi: kto z twojego oddziału i o której godzinie ma być doprowadzony, więc kogo i o której będziesz miał wydać strażnikowi. Dobrze, że dziś dowódcy nie chciało się odpytywać z przepisów. Młodzi na odprawach są przez to zawsze zeszranieni po szyję.

– Jak samopoczucie? Gotowi do służby? Wszyscy zdrowi? – kończy poranne zebranie.

– Gotowi, panie dowódco! – rzuca chórem 30 strażników.

– Dobrze, w takim razie życzę spokojnej służby!

– Wzajemnie!

O szóstej wchodzisz na oddział.

Palisz lampy, dzwonisz na apel. Pojawia się dowódca, trzyma apelówkę – kartkę z dokładnym wykazem więźniów. Zabezpiecza go funkcjonariusz rezerwy. Ty – oddziałowy – otwierasz po kolei wszystkie cele. Złodzieje, bez wyjątku, mają stać. To świętość.

Pierwsza cela, druga, piąta. Idzie sprawnie.

– Cela siedem! Stan osobowy: sześciu! – melduje starszy celi. Dowódca liczy, jednego brakuje.

– A szósty?

– Nie wstał z koja – pada odpowiedź.

Orientujesz się, że chodzi o młodego Romka Kowalskiego. Znasz ich wszystkich jak członków własnej rodziny.

– Kowalski, kurwa, rusz dupę, bo wszyscy na ciebie czekają – pogania osadzonego.

– Daj żyć, kurwa... – słyszysz spod koca, ale ruchu nie widzisz.

– Dobra, już nie wstawaj. Pokaż tylko pysk. Okej. Masz kwita.

Kto łamie podstawową zasadę, automatycznie ma wniosek o ukaranie. Wyciągasz jeszcze ze skrzynki koło klapy prośby oraz listy i zatrząskujesz drzwiami.

Poranny apel to kwintesencja tej roboty. Zwykły człowiek wchodzący rano na męski oddział momentalnie sinieje. Cela – pięciu chłopów. Ostatnią łaźnię mieli trzy dni temu, siedzą bez dezodorantów. Do tego zima, okno zamknięte. Każdy się czegoś nażarł, na kolację był paprykarz, poza tym jednemu zostały kabanosy ze świątecznej paczki, drugi właśnie wyszedł z kibla. Dwóch zdążyło przyćmić szluga. Otwarcie celi na poranny apel jest często jak zderzenie z pociągami. Smród wycina równo z trawą. Młody strażnik długo się do tego przyzwyczaja.

Po apelu przechodzisz jeszcze przez cały oddział i sprawdzasz, czy wszystkie cele są zamknięte na ostro, czyli oprócz zasuw drzwi są zamknięte na klucz. Gasisz światła, żeby spali dalej i nie męczyli cię od samego rana. Wchodzisz do dyżurki, włączasz czajniczek. Kilka minut względnego spokoju. Gdy parzysz kawę, jest 6.20. Spokój, oby jak najdłużej.

Pana Boga za nogi

Niewiele brakowało, a Grzesiek, zamiast toczyć codzienną wojnę z bandytami, jeździłby po kraju i handlował oranżadą. Albo do dziś wkręcał śruby w plastikowe okna. Brzmi to absurdalnie, ale wciągnięcie za więzienne mury było jego marzeniem. I żeby nie było wątpliwości: nie przez powołanie. Przez biedę.

– Moja żona zarabiała wtedy pięćset złotych, z czego dwieście pięćdziesiąt wydawała miesięcznie na autobus. Mało brakowało, a byśmy z głodu pozdychali – wspomina.

Po wojsku zaproponowano mu pozostanie w żandarmerii. Ale człowieku, daj spokój. To był wtedy grząski grunt. Nie było wiadomo, czy za moment nie wsadzą cię w samolot i nie wywiozą do kraju, o którym słyszałeś tylko w programach podróżniczych. Byś strzelał do ludzi na wojnach toczonych nie wiadomo po co i przeciwko komu. Grzechu chciał jednak w mundur, bo robota pewna i na państwowym. Zdał egzaminy do policji i więziennictwa. Na komendzie i w zakładzie ani pół wolnego etatu. Komplet. Trafił na listę oczekujących. A że w gar trzeba było coś wrzucać, kichę zapychać, poszedł do prywaciarza. Okna skręcał. Na kryminal przestał już sobie robić nadzieję, bo na jedno miejsce było wtedy kilku chętnych. Pewnego dnia zadzwoniła kadrowa: „Od poniedziałku do roboty”.

– Trudno opisać, jak się cieszyłem. Złapanie tej pracy było wtedy jak chwycenie Pana Boga za nogi – wspomina. Regularna, solidna jak na tamte czasy kasa. Z okien wyskoczył z dnia na dzień. To był 1999 rok.

U Andrzeja też się nie przelewało. Uczył w szkole, ale wiadomo – pensja nauczycielska od wieków spokrewniona jest z żenadą i brakiem godności. Żeby z żoną, też nauczycielką, wykarmić dwójkę dzieci, uciekł do zakładu. Zaczynał od rezerwy – przynosił, podawał, zamiatał. Na kogucie siadał, osadzonych doprowadzał. Później, gdy szefostwo się zorientowało, że chłop ma mocną głowę, a i oleju w niej nie ma, zaczęli go ciągnąć w górę.

Grzechu na początku trafił do kwatermistrzostwa. Pierwszego dnia przyszedł do biura, zrobił krok i na półtora roku runął w papiery jak w morską

głębinę. Świstki, podania, segregatory – oczopląs i zawodowe delirium. Był krok od śmierci z przyczyną zgonu: wycieńczenie przez zanudzenie. Nie wytrzymał, napisał papier o zwolnienie ze służby. Poszedł na rozmowę kwalifikacyjną. Wygrał. Jako przedstawiciel handlowy miał wciskać sklepikarzom wodę z cukrem i barwnikiem, którą ktoś z jakiegoś powodu nazywał oranżadą. W zakładzie zatrzymało go jednak 90 dni wypowiedzenia. Prywaciarz zawsze chce na tu i teraz.

– Nie mogłem tak tkwić, napisałem papier o przeniesienie do działu ochrony, w bezpośredni kontakt ze złodziejem. Starsi krzyczeli do mnie: „Zwariowałaś! Zginiesz tam! Zjedzą cię!”. A ja sobie poradziłem. To był jeszcze wtedy stary kryminal na dwustu pięćdziesięciu osadzonych, cisza i ogólnie spokój. Na zmianie poszło się dwa razy na budę, zjadło kiełbasę, wypilo dwie kawy, poprawiło ośmioma herbatami i tak czas mijał. W tym marazmie miałem ogromne szczęście, że zaczynałem robotę pod znakomitym dowódcą zmiany. Surowym, ale sprawiedliwym. Nie tolerował lenistwa, kłamstwa, wchujograjstwa i ściemniania. Ganiał nas, uczył zawodu, dzięki czemu łatwiej odnalazłem się później na nowym zakładzie. Wszyscy byliśmy poza tym wielką rodziną. Jeden klawisz szedł za drugiego w ogień. Dziś, jeśli widzisz ogień, to dlatego, że ktoś z przyjemnością ustawił pod tobą palenisko, oblał benzyną i rzucił zapałkę.

Zajedź mi fajki, bo dramat mam

6.25, dzwoni telefon. To szef kuchni.

– Cześć, lecimy ze śniadaniem? – słyszysz.

– Lecimy.

Idziesz po kalifaktorów. Chwytają białe kitle, prowadzisz ich do windy po żarcie. Ładują na wózek, znów dzwonisz dzwonkiem jak w szkole. Dobra, działamy z bufetem. Otwierasz celę, wychodzi złodziej.

– Dzień dobry, panie oddziałowy! – mówi do ciebie, ale widzisz, że z rana jeszcze nie bardzo kontaktuje. Czasem bez słowa weźmie jedzenie, czasem poszepta o czymś z kajfusami. „Zajedź mi jakieś fajki”, „Zajedź mi kawę, bo dramat mam”. Albo prosi, żeby podał mu coś spod innej celi. To zabronione, ale czasem przymykasz oko. Gdybyś wszystkiego zabraniał i robił według książki, to na oddziale gasiłbyś pożar za pożarem. Trzeba szukać kompromisów. Choć wiesz, że to ryzykowne, bo ostatnio oddziałowemu z innego zakładu za podanie kawy z celi do celi zrobili postępowanie dyscyplinarne.

Zerkasz w gary: pół bochenka chleba na złodzieja, marmolada zmieszana z wodą, herbata i łyżeczka cukru na osobę. No i specjalne diety: wegetariańska, bezwieprzowa, cukrzycowa. Łącznie piętnaście rodzajów. Z tym też jest czasem urwanie łba. Bo jak kalifaktor się pomyli i wyda złą dietę, to później mu brakuje. I zaczyna się jazda.

– Człowieku, ja mam elkę, co ty mi tu dajesz – mówi złodziej do kajfusa. Elka, czyli dieta cukrzycowa.

Kalifaktor zagląda na wózek i kapuje się, że wydał pudełko trzy cele wcześniej. Wraca, na szczęście niezjedzone, podmianka. Kolejne szczęście, że trafiło na ulungów. O takiej podmiance porcji między ulungiem i szamakiem nie byłoby nawet co myśleć. Trzeba by było kombinować. I tak przy każdym posiłku – śniadanie, obiad, kolacja. Kalifaktorów masz dwóch: jeden grypsujący, jeden nie. Jeśli żarcie grypsującemu wyda niegrypsujący, w pięć sekund masz bunt na oddziale. To jeden z dowodów na to, że strażnik choćby chciał, nie panuje tu nad wszystkim.

Żarcie wydane, gary do windy. Zamykasz kalifaktorów, w tym samym momencie przychodzi pielęgniarka. Pora wydać leki. Wielkie platery pigułek, otwierasz prawie każdą celę. Większość z osadzonych coś łyka. W teorii mają obowiązek połknąć wszystko przy pielęgniarce. Żeby któryś nie nazbierał, a później nie łyknął wszystkiego naraz i nie chodził naćpany. Albo żeby się nie targnął. Są pielęgniarki, które bardzo tego pilnują, ale są też takie, które mają to w dupie. Ty wychodzisz z założenia, że nie będziesz się na to wkurzał, bo co drugą celę pisałbyś kwity. Może i byłoby to do ogarnięcia według przepisów, gdybyś miał na głowie 20 złodziei. A ty masz 115, z czego 62 bierze leki. Do tego piguła każdemu wysypuje pastylki z kubeczka na rękę i dopiero wtedy się zaczyna: „A ta zielona to od czego? A ta biała? A dlaczego się zmieniło?”.

Byle tylko zagadać, przedłużyć kontakt. Skazany kobietę zobaczy przecież raz dziennie. I to jeśli ma szczęście, bo czasem przychodzi pielęgniarz.

Wyciągasz porządkowych. Zbierają śmieci. Zamykasz.

Wyciągasz pracujących. Zabiera ich gość z kwatermistrzostwa.

Wyciągasz kanapkę z plecaka. Zabierasz się do jedzenia, bo za chwilę pojawi się wychowawca.

O, jest. Na zegarze kilka minut przed ósmą.

– Cześć, jak sytuacja? – pyta.

– Na razie spokój, nic się nie dzieje – odpowiadasz.

Siadacie w dyżurce. Przekazujesz mu kartki, które zebrałeś podczas apelu. Czasem masz ich 4, czasem 44. Najróżniejsze prośby, skargi, zażalenia. Przegląda, czyta.

– Dobra, te biorę, a te wypierdol do śmieci – słyszysz.

Złodzieje non stop piszą o to samo. Że lekarz leczyć nie umie, że zupa za zimna, że spać nie mogą, bo co noc im wrona kracze pod oknem. Tony makulatury. Męczą bułę, a ty musisz takiego gościa wyjąć z celi, przeszukać, zaprowadzić, poczekać, aż wyjdzie od wychowawcy, znów przeszukać i wpakować pod celę. Niby proste, ale weź takich 40. Robi ci się wtedy na oddziale chaos jak w ulu. Totalnie rozwała ci to robotę. Wstępna selekcja ułatwia życie.

Teraz zaczyna się robota właściwa. Telefony. Nie ma na oddziale złodzieja, który nie chce zadzwonić. A weź spróbuj kogoś nie puścić – awanturę masz

w sekundę. Ten był umówiony na rozmowę z adwokatem, tamten z babą, inny ma w planach Skype'a z córką. Na oddziale jesteś sam. W celach – łącznie – ponad 100 osadzonych. Aparaty dwa, więc na rozmowy doprowadzasz duetami. Tu gadają, tam cały czas czegoś od ciebie chcą. I zdarzają się różne przypadki. Niedawno miałeś ciepło, bo tymczasowo aresztowany nakręcił skazanego: krzyknął mu z celi do celi, kiedy będzie miał czynności w sądzie. Złodziej poszedł więc na telefon, zadzwonił do sądu i powiedział, że mają tam bombę. Rozeszło się po kościach, ale równie dobrze mogłeś zostać ukarany. Nawet mimo tego, że skazany może dzwonić, gdzie mu się podoba. Z tymczasowo aresztowanymi jest trochę inaczej: złodziej wybiera numer, ale ty bierzesz słuchawkę i zanim zaczniesz rozmawiać, pytasz: „Kto przy telefonie?”. Sprawdzasz, czy nazwisko znajduje się na specjalnym wykazie z prokuratury. Musisz przy takiej rozmowie być.

Każdy telefon ma trwać maksymalnie siedem minut, ale nie zawsze tego przestrzegasz. Gdy wydłużasz, dajesz im odrobinę luzu, masz spokojniej. Na przykład ostatnio miałeś na oddziale policjanta. Głośna sprawa – 20 lat temu zamordowano dziewczynę, po dwóch dekadach dobrali się policjantom do dupy, bo coś zatuszowali. Siedział pod siódemką.

– Mógłbym chwilę dłużej z synem pogadać? Dzień Dziecka dzisiaj, panie oddziałowy – rzucił.

Pozwalasz, bo przecież nie padło ci na łeb, żeby odmawiać. Co innego, gdyby wcześniej robił ci pod górę. Wtedy pięć minut i koniec, wyjazd pod celę. Do telefonów doprowadza się cały dzień.

Telefon potrafi być doskonałą kartą przetargową. Od lat to wykorzystujesz. Na oddziale siedzi u ciebie dwóch najmocniejszych szamaków w całym kryminale. Jeden ma żonę na wolności, drugi córkę. Kilkadziesiąt sekund rozmowy poza procedurą pozwala ci na nawiązanie z nimi pewnego rodzaju współpracy. Ty im telefon, oni tobie pracę wychowawczą z krnąbrnymi złodziejami.

– Cześć, złotko! Wszystko dobrze? W szkole sobie radzisz? Tatuś za tobą tęskni! Okej, muszę kończyć, bo jestem bardzo zajęty. Kocham cię, skarbie! – Tak przeważnie wyglądają pozakonkursowe sekundy na łączach. Chłop zawsze bardzo szybko może się odpłacić.

– Rafałku, jak załatwisz, że żaden złodziej nie będzie chciał dziś iść na spacer, będę wdzięczny – rzuciłeś mu przez klapę, gdy przyszedłeś do roboty na lekkim kacu. Dwa razy prosić nie musiałeś.

– Jak mi dziś jakiś zachce dupę na spacerniaku przewietrzyć, to go ta dupa zaboli! – krzyknął złodziej-postrach kryminału przez okno. Wystarczyło.

Kilka dni później na koniec dniówki zorientowałeś się z kolei, że zaginął kabel od telewizora na świetlicy.

– Która koleżanka chce kabel?! Zapraszam na celę sto drugą, to dostanie niespotykane dorodne kabel! I to dwa razy! – krzyknął złodziej poproszony o interwencję. Od razu dopytał: – Pucować się, kto zajebał kabel ze świetlicy?

Znalazł się w dwie minuty.

Między 9 a 10 przychodzi dziewczyna z ewidencji. Wydaje osadzonym listy. Do rąk własnych, bo musi podpisać papier, który idzie później do prokuratury.

Idziesz do dyżurki: czajniczek, herbata.

Pokochać wroga

Teraz Marek. Mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, niezbyt wysoki, lekko korpulentny, w barach szeroki, bijący serdecznością. Jowialność to w tym przypadku nieoczywista sprawa. Przecież żeby wytrwać w służbie 28 lat, trzeba mieć jaja ze stali i psychikę z tytanu, a nie uśmiech przyklejony do twarzy. Jedziemy wąskimi ulicami malutkiego miasteczka. Prowadzone przez niego półdostawcze auto zahacza jeszcze o wysypisko śmieci. Kierowca przeprasza za okoliczności, ale właśnie kończy budować dom i ma urwanie głowy. Kilka minut później prowadzi mnie już przez ogródek, schodami – „proszę nie ściągać butów” – do gościnnego pokoju. Siada na obrotowym biurowym krzeselku, zakłada ręce na brzuch.

– To czego chciałby się pan dowiedzieć?

Tak, było zwątpienie. Chwyciło go za gardło po siedmiu latach. Mozolnie toczona kula stawała się coraz cięższa, bardziej cuchnąca i lepka. Był już kierownikiem ochrony, miał za sobą pierwsze trupy, wisielców na tygrysie, samouszkodzenia, dziesiątki postępowań wyjaśniających. Męczyła go ta robota. Chciał odejść.

– Władziu, nie ma sensu. To chyba koniec – podzielił się myślą z bardziej doświadczonym kumplem.

– Daj spokój. Też miałem dół w siódmym roku. Też chciałem to pieprzyć. Ale uwierz, to mija.

Zacisnął zęby. Minęło.

Ponad dwie dekady upłynęły od tego momentu. Całe zastępy klawiszy – przede wszystkim tych doświadczonych – uważają go dziś za żywy pomnik. Wzorzec. W tych czasach już mało kto przemierza taką drogę. Zaczynał jako chłopak pobierający kałacha i sterczący na wartowniczej budzie. Przez wszystkie możliwe przystanki – dyżurki oddziałów, kierownicze biurka – doszedł z tej budy do gabinetu dyrektora. Skoro istnieje powiedzenie o jedzeniu chleba z różnych pieców, on zjadł wszystko do ostatniego okruszka.

To podła robota. Marek uznał jednak, że gdy wroga pokocha, będzie mu się lżej żyło. Nie obiecywać i nie oszukiwać – taką miał poza tym zasadę. „Zobaczę, chłopie, co da się zrobić, jeśli będę miał chwilę, podejść do ciebie”. I zawsze miał spokój. Przez tyle lat nikt mu nie naubliżał w knajpie, nie napluł w twarz na ulicy. Zasady działały. Dziś uważa zresztą, że najprostsza robota jest na pierwszej linii. Bo tam nie trzeba dużo myśleć. Wystarczy konsekwencja, stanowczość i dbanie o własne wartości. Gdy jednak idziesz wyżej, zaczynasz myśleć za innych. Oddziałowy, strażnik zawsze uważa się za najbardziej obciążonego. Wielu jednak było takich, którzy po przesunięciu na drabince szybko wracali niżej. Niby system pracy im nie odpowiadał, a tak naprawdę nie odpowiadała im konieczność myślenia.

Na pięczki było też takich, którzy marzyli o błyskawicznych karierach, awansach w trybie *instant*. Marek jednak zawsze powtarzał: chcesz zostać wychowawcą? Wspinać się? Najpierw najmij się w ochronie, poczuj smród poranka przy apelu. Gdy przestaniesz ci smakować kanapka w pracy, dopiero będziesz mógł powiedzieć, że jesteś prawdziwy klawisz. Nie dowiesz się, co to zakład, jeśli nie będziesz skoro świt na oddziale. Jeśli nigdy nie obudzisz w nocy złodziei i nie rozprowadzisz ich po miejscach pracy. Na kuchnię, kotłownię, piekarnię, warsztat. Jeśli z celi nie buchnie ci odór. Bo to odór, młodzieńcze. Trzymetrowa powierzchnia, ośmiu chłopów. Każdy oddycha, poci się, puszcza bąki. Dowódcy w Warszawie – ambitnym, wyprasowanym w kant, z idealnie leżącą czapką – właśnie tego brakuje. Zakład ich nigdy w nosach nie kręcił, w oczy nie kłuł. Zawsze tylko głośny krzyk i wyblakły frazes.

I tak to się w nim zbierało. Jako dyrektor musiał z takimi obcować. Uśmiechać się do polityków. Przyjmować delegacje, barwione często absurdalnymi kłótniami. Raz przyjechał polityk. Marek oprowadzał. Mówił, że osadzeni jedzą u niego za cztery złote dziennie. I sprzeczką, bo w szpitalach to mają gorzej niż w kryminale! „Na pana miejscu wziąłbym kogoś na dyscyplinującą rozmowę, skoro w szpitalu tak źle się karmi pacjentów. Ja odpowiadam za więźniów i staram się to robić najlepiej, jak umiem” – tak odpowiedział.

W końcu się jednak miarka przebrała.

Marek: – Jeśli ówczesny wiceminister od więziennictwa obraża na ogólnej odprawie człowieka, który przez dwadzieścia osiem lat wspinał się od szeregowego strażnika do dyrektora w randze podpułkownika, to ja mówię: koniec. Na odprawie sami majorzy, pułkownicy, a on się nie hamuje. „Czapki” dzisiejszej Służby Więziennej komentować nie będę. Prawda jest jednak taka, że była najważniejszym powodem mojego odejścia na emeryturę. I nie żałuję, że mnie już nie ma. Choć robotę uwielbiałem. To był mój świat.

Puzzle

O 11 zaczynacie realizować transporty. Idziesz pod dziewiątkę, zasuwa dolna, zasuwa górna, judasz, zamek, otwierasz celę.

– Wojtkowski, pakuj się, zaraz lecisz w Polskę – mówisz i zamykasz drzwi. Po 15 minutach przychodzisz jeszcze raz, wyciągasz go na dyżurkę. Dokładnie kipiszujesz – sprawdzasz, czy nie ma ze sobą niedozwolonych przedmiotów, grypsów. Weryfikujesz, czy wszystko zabrał. Strażnik doprowadzający już na niego czeka. Za moment zaprowadzi go do magazynu. Tam go obrobią, wydadzą jego rzeczy i w sieczkarniku będzie czekał na wyjście transportu.

Jeśli złodziej ma czynności w prokuraturze albo w sądzie, ma prawo skorzystać z magazynu. Jeśli chce, wymienia ciuchy, zmienia buty, pobiera pasek do spodni. Muszą go obrobić, nawet jeśli magazyn jest zawalony robotą.

Zerkasz na zegar, idealnie południe. Telefon, szef kuchni.

– Lecimy z obiadem?

– Lecimy.

Znów to samo. Kalifaktorzy, dzwonek, winda, wózek, żarcie. Zaglądasz w gary. Nie mają co marudzić, dziś pomidorówka i placki ziemniaczane. Wczoraj był kotlet mielony, też solidnie. Kiedyś zdarzało się, że i gad chwycił coś z gara. Teraz jest to surowo zabronione. Nie można, bo gdyby funkcjonariusze regularnie jedli złodziejskie obiady, ktoś mógłby wytruć strażników na zakładzie.

Osadzeni, którzy zjeżdżają do ciebie na oddział, bufet zachwalają. Niedawno jeden fikał, nic mu się nie podobało. Przenieśli go do zakładu 80 kilometrów dalej. Dwa tygodnie później przyszedł od niego list do ziomków spod celi: „Ja pierdołę, gdzie ja trafiłem. Nie dość, że żarcie chujowe, to wchodzę pierwszego dnia na łaźnię, a tam jeden drugiemu pałę ciągnie. I jeszcze mi karę wjebali 300 złotych za nic!”. Szybko się postarał o powrót na stare śmieci. Docenił, co miał.

Po obiedzie, od 12.45 do 13.30, masz czas dla siebie. Grzejesz swój bufet, z niedzieli zostały ci ziemniaki i kawałek kury. Buczy mikrofala, a ty wiesz, że

niemal na pewno nikt od ciebie nie będzie nic chciał. Sam sobie to wypracowałeś. Przez lata na oddziale nauczyłeś złodziei, że 45 minut od wydania żarcia nie mają prawa się wybijać. A gdy ktoś się zapomni?

– Ochujaleś, kurwa?! Zeżarłeś obiad?! Ja też chcę zjeść. Zjem, to wtedy się wybijaj – rzuciłeś ostatnio do świeżaka, który zjawił się tu kilka dni wcześniej. Napisał skargę. „43 klnie i trzaska klapą”. Kilka godzin później skargi już przy klapie nie było. Ktoś musiał go doprowadzić do pionu. Że to dobry oddziałowy i żeby mu dać spokój. Poza tym podstawa: to nie teatr ani filharmonia. Do większości z lokatorów tego miejsca bardziej przemawia rzucona kurwa niż okrągłe zdanie, które i tak nie wszyscy rozumieją.

Która godzina? Za dwadzieścia druga, wracamy do życia. Telefony, kipiszowanie, puszczanie do wychowawcy. Telefon. Brama dzwoni.

– Kowalski ma widzenie. Zaraz Wojtek ci go zabierze – słyszysz w słuchawce. Wyciągasz celówkę, kładziesz na stole. Przez domofon informujesz gościa, że ma się przygotować. Przeszukujesz, oddajesz doprowadzającemu. O 14 robisz sobie drugą fusiare. Za chwilę zacznie się jeden z trudniejszych momentów dnia. W administracji i ewidencji obrobili nowe przyjęcia i prowadzą już świeżaków. Trzeba ich będzie ulokować pod odpowiednimi celami. A że nigdy nie ma miejsca, to zawsze trzeba robić przerzutki. Zaczyna się dyskusja.

– A ten spod dziewiątki będzie pasował z tym nowym, Ziębą? – pyta wychowawca. Normalnie to jego rola, żeby wszystko pasowało, ale doskonale wie, że znasz wszystkich na oddziale i twoja opinia dużo waży.

– Co ty, zakapior jak chuj. Nie pasuje – odpowiadasz.

– A może na jedenastkę go damy, do Sekuły?

– Ni chuja, brudas straszny.

I układacie te skomplikowane puzzle. To szalenie ważna robota, z wielu względów. Po pierwsze – bezpieczeństwo. Jeśli źle dobierzecie charakterologicznie więźniów, za kilka chwil będzie awantura. Momentalnie się dojadą. Po drugie – gdy jest już wpisana przerzutka w papier, a złodziej nie chce wyjść z celi i się przenieść, robi się megaproblem. Jeśli sytuacja jest bez wyjścia – za cholerę nie chce zmienić celi – wzywasz dowódcę zmiany. On podejmuje ostatnią próbę. I wtedy, jak to nic nie pomaga, stosuje się środki przymusu bezpośredniego. U ciebie na oddziale dźwięki nie były jednak

używane od trzech lat. Z „góry” przyszło nieoficjalne zalecenie, żeby ograniczyć stosowanie środków. Bo w papierach to marnie wyglądało. Wszyscy ochroniarze na zakładzie czuli się wtedy, jakby to była ich wina, że trzeba było sięgać po ostateczne metody.

Dziś, na szczęście, bez większych kłopotów. Jeden osadzony, drugi, trzeci. Doszło do czwartego. Nie chce wejść do przydzielonej mu celi. Nie i koniec.

– Nie wchodzę! Nie będę tu siedział! – wydziera się na cały oddział. Zaczyna się robić nerwowo. Ani po dobroci, ani groźbą – nic nie działa. Czas na rozwiązania praktyczne. Podchodzisz do celi, w której siedzi potężny zakapior. Otwierasz drzwi.

– Dzień dobry, panie Rolak. Mam pytanie. Czy zaopiekowałby się pan tym chłopcem? Szuka nowej celi, może u pana by się znalazło przytulne miejsce? – pytasz.

– Pewnie, dawaj mnie go tu! – odpowiada dryblas i wstaje z koja.

I po kłopotcie. Gdy młody to widzi, bez słowa wchodzi do pierwotnie wyznaczonej celi. Czasem jednak kończy się osadzeniem u Rolaka bądź innego mocnego złodzieja. Po trzech dniach prania skarpetek i slipów kolegi oraz załatwiania wszystkich potrzeb za jego pozwoleniem krnąbrni chłopcy zawsze sami proszą o przeniesienie.

Zresztą Rolak to cholernie twardy facet. Strzelali do niego z kałacha, walili granitowym krawężnikiem w łeb i nic. Tylko trochę go porysowali. Facet lekko szurnięty, uwielbia się utwardzać. W siarczyste mrozy, sięgające nawet minus 20 stopni Celsjusza, miewa całą noc otwarte okno. Zdarzyło się, że podczas apelu o szóstej rano otworzyłeś celę, a on w niej, bez koszuli, melduje z uśmiechem, że u niego wszystko pod kontrolą. W tym samym momencie spod koca wyskoczył charakterniak w kurtce, czapce i rękawicach. Z siną twarzą wydukał: „P-p-p-panowie, j-j-j-ja chcę do innej celi! Marian lubi, jak jest zimno. A ja co, pi-pingwin, ku-kurwa, jestem?!”.

O 15.30 wychowawcy idą do domu. Na oddziale zostajesz sam. 15.45, telefon.

– Lecimy z kolacją!

– Lecimy.

Dzwonek, kalifaktorzy, winda, wózek, gary. Mielonka, chleb, herbata, żółty ser, paprykarz. Złodzieje nienawidzą paprykarza straszliwie, marudzą, klną

pod niebiosa.

– Znowu, kurwa, to ścierwo. Wczoraj było to samo!

– Nie pierdol, rybę macie przecież, elegancką! Łosoś! – śmiejesz się. To rozluźnia napiętą atmosferę.

Po kolacji wydajesz potwierdzenia korespondencji urzędowej. Niektórzy mają dodatkowe prośby.

– Panie oddziałowy, a będzie jeszcze pielęgniarka? Bo mnie ząb napierdala – słyszysz. Zapamiętujesz. Piguła będzie przed piątą.

– Chodź, Kasiu, bo tam mam jeszcze jakiś ból zęba – mówisz jej, zanim wyjdzie z oddziału i zniknie z kryminału.

O 17 wyciągasz porządkowego. Sprząta na peronce i w dyżurce, a ty porządkujesz papiery. Dzwonisz do oddziałowego na pierwszym oddziale, który robi apelówkę całego kryminału.

– Dwóch pojechało w transport, dwóch poszło na czwarty oddział, trzech przyszło od ciebie, trzech mam świeżaków – podajesz wszystkie ruchy. Za 20 minut znów się zdzwaniacie i podajecie tylko numery cel i stan osobowy.

– Jeden: trzech, dwa: dwóch, trzy: dwóch – dyktujesz. W tle leci radiowa Jedynka, zawsze dają o tej porze reportaże. Lubisz tego słuchać na koniec dnia.

O 18 przychodzi nocka. Zdajesz raport: co się działo, gdzie ma nowych, czy zrobili na oddziale celę dla tymczasowego, przekazujesz informacje o OZS-ach, czyli osadzonych zagrożonych samobójstwem i samookaleczeniem. Dziś przyszło ci takich dwóch na oddział, na celówkach mają przyklejone kartki: „Nie zostawiać samego w celi, częstsza kontrola”.

Schodzisz do szatni. Odłączasz się od tego syfu, brudu. Wskakujesz w cywilki.

Metalowe schodki, brama.

Dziś było luźno, bez sytuacji nadzwyczajnych. Czasem dzieją się tu jednak takie rzeczy, że gdybyś opowiedział o nich w domu, żona by ci nie uwierzyła. No to nie opowiadasz. Bo i po co?

Gość ci wisi

Noc jak każda inna. Krzychu o 22 zgasił światła. Wszedł do dyżurki, wdusił przycisk na czajniczku, szczura wrzucił w ulubiony kubek. Hit czerwca ledwo sączył się przez radiowe sitko. Nie za głośno, żeby złodziei nie pobudzić. By z bezsenności nie załęgły im się w głowach durne myśli. Oddziałowy wyciąga książkę.

Kartkuje, czyta, czekoladowy wafelek przepija gorącym earl greyem. Nieoczekiwanie z lektury wyrywa go telefon. Zerka na wyświetlacz. Gdy widzi, kto się dobija, aż wstaje z krzesła. Była cisza, będzie burza. Kolega z dniówki, przekazując mu służbę, mówił przecież: „W izolatce masz młodego Wojtaszka. Uważaj na niego, prześwietlaj częściej, bo coś jest z nim nie tak. Psycholog mówi, że chłopak może sobie coś zrobić”. Siedział w monitorowanej celi, ale Krzychu i tak co kilkadziesiąt minut podchodził pod drzwi, zerkał przez wizjer. Gdy na wyświetlaczu zobaczył jednak, że dzwoni obserwator – funkcjonariusz na bieżąco kontrolujący przed monitorami zachowanie skazanych w dozorowanych celach – od razu wiedział: jest dramat.

– Kurwa, zapierdalaj do dziesiątki! Gość ci wisi! – głos w słuchawce nie pozostawił wątpliwości. Był jak wystrzał na starcie.

Krzychu rusza przez oddział. To tylko kilkanaście kroków, ale w takich sytuacjach dłużej się jak maraton w upale. Dopada drzwi. Kryminał jest nowoczesny, wszystkie cele są otwierane „z przycisku” na dyspozytorni. Dobrze, że oddziałowy nie zawarł dolnego rygla. Drzwi puszczają więc błyskawicznie. Wbiega do celi. Wisi! Wisi na prześcieradle. Wisi i oczy ma już na wierzchu. Krzysiek chwyta za specjalny nóż przy pasie, przeznaczony do odcinania wisielców. Wskakuje na łóżko. Próbuje – nic z tego! Tępy! Nie idzie!

– Ja pierdolę! Niech mi ktoś pomoże!

Historie jak wiele innych

Krzychu zerknął na kartkę z przydziałem. Data, godzina – wszystko spoko. Ale miejsce? Co to za miasto? Pierwsze słyszy. Nazwę wklepał w sieć i nawet internet go wyśmiał. Bo tam brama, mury, setki złodziei na kilku oddziałach, a wokół szczerze pole i ani żywej duszy. Przez pół roku miał się tak uczyć fachu na wygnaniu. W miejscu do odnalezienia tylko na najdokładniejszych mapach.

Doskonale pamięta pierwszą noc. Siedział w rezerwie, myślał o kumplach zostawionych 250 kilometrów stąd. W jednej z cel złodziej piszczał ze strachu przed siedmioma czarnymi jeźdźcami. Schodził z alkoholowej deliry, kwik był jak podczas świńskiej przemiany w wieprzową półtuszę. „Zabierzcie mnie stąd! Przyjechali po mnie! Ratunku!” – darł się przerażony. Doświadczony oddziałowy wstał – „patrz, młody, i się ucz” – nalał do szklanki wody, wszedł pod celę.

– Walnij lufę.

– Aaa, dzięki, dzięki, dzięki... Lepiej już, lepiej...

– Masz tu jeszcze kawałek szluga.

Złodziej przyjarał i spokój był na kilka godzin. To pierwsza sytuacja w więzieniu, która utkwiła Krzychowi w pamięci. Dlaczego akurat ta? Pewnie dlatego, że wydała mu się absurdalna. Wtedy jeszcze nie wiedział, że więzienie stoi absurdem.

Historia to w sumie jak wiele innych. Najpierw był w wojsku. Niezła robota, pewna w miarę, ale od domu daleko, dojazdy irytowały, samochodu nie było. A tu wszystko na miejscu, zakład nowych przyjmował. Też mundur, a bliżej. Były już inne czasy, po nowemu, dostawał się każdy, kto z wyglądu i gadki nie sprawiał wrażenia upośledzonego. Dyrektor podczas rozmowy niektórych spytał jeszcze czasem, co to na przykład osłabiacz podrzutu, ale nawet jakby się kandydat zapowietrzył, robotę i tak by pewnie dostał. Pół roku porobił na wygnaniu i wrócił gotowy do walki.

Historia to w sumie jak wiele innych, bo idąc do zakładu, totalnie nie wiedział, z czym zakład się je. Czasem kumple mówili tylko, czym się go popija.

Dziś zrobiłby pewnie, jak robią dziesiątki trafiających tu teraz ludzi. Tydzień w służbie, lustracja brudu od środka, zrzucenie munduru po kilku dniach, bez mrugnięcia.

Nie ma co gadać: robota jest przesrana, a spływ tym rwącym potokiem gówna nie daje chwili wytchnienia. Bo skazanych ogrom, bo strażników za mało, bo złodziej roszczeniowy. Wszystko już mają, a wciąż im mało. Zje, wyśpi się, podleczy, telewizor obejrzy, na konsoli zagra, jak będzie grzeczny, to i podyma w mokrym pokoju. Co to za kara, jak ma lepsze życie od gościa, który go prowadzi na spacer?

Krzysiek robi już 14 lat. Patrzy i wie, że nie do takiego zakładu się najmował. Rzuciłby to w cholerę, ale szkoda, bo emerytura na horyzoncie. Rok raptem. A rok to i pod wodą wytrzymać można.

Karol? Historia to w sumie jak wiele innych. Poszedł do kryminału, bo ludzi szukali, blisko było, mundur, kasa pewna, emerytura nieodległa. Ale dzisiaj? Gdyby ktoś trzymał go pod odbezpieczoną bronią, i tak by się nie zgodził. Nie poszedłby. Bo dziś 25 lat musisz rąbać w pierwszym kontakcie. A to po prostu niemożliwe. Prędzej zwariujesz, niż dojedziesz do mety. Karol i Krzychu, oddziałowi, wiedzą o tym najlepiej.

Przedpiekle

Po dziesiątej. Krzysiek już w celi. Próbuje przeciąć prześcieradło, które więzień wykorzystał jako pas transmisyjny z tego na tamten świat. Nie idzie, nie idzie! Nóż tępy!

– Ja pierdolę! Niech mi ktoś pomoże!

W tej samej chwili do celi wbiega funkcjonariusz z rezerwy. Nawet się nie zatrzymuje, skacze na łóżko i błyskawicznym, energicznym ruchem przecina prześcieradło. Więźnia kładą na podłodze, ale sytuacja nie wróży niczego dobrego: siny i zero kontaktu. Reanimacja, kilka wdechów. Jest, odżył.

Wszystko trwało chyba wieczność i trochę, Krzychu ma przynajmniej takie wrażenie. Okazuje się, że od telefonu do wbiegnięcia kolegi i złapania oddechu przez osadzonego minęło maksymalnie kilkadziesiąt sekund, może minuta. Gdyby nie kamera i sygnał od kumpla z monitorów, właśnie odprowadzałby wzrokiem za drzwi oddziału czarny plastikowy worek.

Andrzej ma na rozkładzie kilkadziesiąt prób i kilkanaście trupów. Kumple w zakładzie nadali mu nawet pseudonim: Grabarz. Zgony naturalne, zawały, udary, powieszania, podcięcia żył. Wszystko.

– Odcinanie i reanimacja wisielca to jeszcze nic. Nie czujesz stresu. Działasz instynktownie. Największy stres nadchodzi, gdy w zakładzie pojawia się prokurator. Gdy postępowanie wyjaśniające rozpoczynają kontrolerzy z okręgu bądź centrali. Wtedy dopiero zaczyna się zabawa. I wtedy wszystko jest możliwe.

Cała paleta wnikliwych pytań o zachowanie procedur. Kiedy dostałeś zgłoszenie, kiedy wezwałeś pogotowie, kiedy pojawiłeś się na oddziale, kiedy rozpocząłeś i zakończyłeś reanimację. Czy więzień wysyłał sygnały, że może się targnąć? Czy wychowawca odpowiednio zareagował na takie podejrzenia? Wszystko. Do tego analiza monitoringu. Jeśli prokurator zobaczy, że reanimację zakończyłeś przed przyjazdem pogotowia, możesz być pewny, że postawi ci zarzut nieudzielenia pomocy. Klawisz wie, że nawet jeśli trup jest

zimny od kilku godzin, i tak musi go pompować do przybycia lekarza. Wtedy nie walczy już o niego. Walczy o siebie.

– Zdarzało się, że po zakończeniu akcji, po wyjeździe z zakładu prokuratora i karawanu, wracałem do domu i nie byłem pewny, czy za kilka dni nie dostanę wezwania z prokuratury. Krok po kroku analizowałem swoje postępowanie. Czy niczego nie pomiąłem. Każdego dnia mogłem stracić pracę, bo ktoś z tysiąca osadzonych postanowił pożegnać się z życiem. Czasem wyglądało to tak, że oni nie chcą już oddychać, a ty za fraki trzymasz ich na tym świecie.

Nie ma doświadczonego strażnika więziennego, który w zawodowej karierze nie gościł na zmianie kostuchy. Według oficjalnych statystyk publikowanych przez Centralny Zarząd Służby Więziennej w samym 2018 roku w polskich jednostkach penitencjarnych miało miejsce ponad 200 usiłowań samobójczych. 26 zakończyło się zgonem.

Nie ma klawisza, którego ominęłyby samookaleczenia, tryskająca krew, połyki, zasyпки oczu.

– Czasem co drugą noc trzeba było reagować – przyznaje Grzesiek. – To dość prosty mechanizm. Co ma zrobić chłop, który siedzi już kilka lat, przed nim jeszcze kilka, a właśnie dowiedział się, że żona mu się na wolności z sąsiadem prowadzi? Na widzeniu podchodzi do dzieciaka.

– Co tam, synek? – pyta.

– Weź, kurwa, odejź – słyszy odpowiedź i czuje na brzuchu odpychającą rękę.

W tym samym momencie wchodzi strażnik i mówi, że koniec widzenia. Kobieta rzuci jeszcze, że już sześć lat go nie ma, że wymaga paczek z wolności, widzeń. A ona nie ma na to czasu i pieniędzy. Musi pracować. Syn na odchodne palnie, że więcej nie przyjedzie, bo nie ma po co. Bo to już nie jest jego ojciec. A złodziej jest bezsilny, zostały mu jeszcze trzy lata. Wychodzi z widzenia i frustracja w nim buzuje. Każdy pęka. Możesz być najtwardszym chamem, a i tak pękiesz. Były momenty, w których wielkie byki, potężni bandyci wpadali w amok, rwali prześcieradła, chcieli się wieszać, płakali, wydzierali się jak psychicznie chorzy. Czasem nie dało się nad nimi zapanować, trzeba ich było składać na dźwięki. Kask, pasy i czekanie, aż się uspokoją.

– Błagam cię, Grzesiek, przyjdź tu! Przyjdź jak najszybciej! – Dowódca zmiany słyszy w słuchawce pełen przerażenia głos oddziałowej. Kobieta jest ewidentnie wstrząśnięta.

– Co się dzieje?! – stara się dopytać, ale bez skutku.

– Szybko, błagam!

Zrywa się na równe nogi. Na zegarze lekko po 23. Z wartowni na ósemkę to dobry kawałek, trzy minuty szybkiego biegu. Z dowódcą na oddział leci jeszcze chłopak z rezerwy. Co tam zastaną? Z jakim problemem będą musieli się zmierzyć? Gdyby chodziło o samobójstwo lub pocięcie, Renata byłaby w stanie wypuścić choć jedno słowo-klucz. „Trup”, „wisi”, „krew” – cokolwiek. A teraz? Zaćmienie. Grzesiek boksuje się z zakładowym życiem prawie dwie dekady, ale z taką reakcją podwładnej się jeszcze nie spotkał. Stąd ten bieg i dreszcz na plecach.

Wpadają na oddział, klucz, krata. Renata stoi na środku korytarza. Biała i w proszku, jak kolumbijska kokaina. Nic nie mówi, nie musi. „Ja pierdolę, co tu się dzieje?!” – myśli dowódca. Oddział wypełnia porażający, demoniczny wrzask. Podchodzi pod celę numer 14, zagląda przez wizjer i jakby ktoś go prądem poraził. Czuje w gardle gulę wielkości grejpfruta.

Ta historia wymaga szerszego kontekstu. W malutkiej wiosce, oddalonej od kryminału o raptem siedem kilometrów, żyje rodzina. Wielodzietna, patologiczna. Gdyby naukowcy z amerykańskich uniwersytetów chcieli przeprowadzić jedno ze swoich słynnych badań w dziedzinie psychicznych zaburzeń, po idealny materiał powinni przyjechać z Harvardu do Wolskich. O tam, za tą kupą gnoju skręciliby w lewo, z prawej minęliby rudere Kuczaka i na samym końcu trafiliby w oko cyklonu. Od lat bracia mają tu dzieci z siostrami, ojcowie z córkami, matki z synami. Nie mówią, komunikują się pohukiwaniem. Do tego totalne nieprzystosowanie. Napady z siekierą w rękę, złodziejstwo, pobicia. Okolica nie ma z nimi choć jednego pozytywnego wspomnienia. Jeśli Bóg koniecznie chciał doprowadzić do sytuacji, w której coś by mu się nie udało, to mu się udało.

Pod czternastką siedzi Agnieszka Wolska. Jest córką swojej siostry. Ojca mają tego samego.

Grzesiek jeszcze raz zerka przez wizjer i po prostu nie może w to uwierzyć.

– Dobra, otwieram. Odsuńcie się – mówi i szarpie zasuwę.

To trzyosobowa cela, więc dwie pozostałe złodziejki z przerażenia pochowały się po kątach. Na środku – ona. W długiej, białej koszuli sięgającej za kolana, na bosaka. Stopy od kopania w łóżko zakrwawione. Cała wysmarowana pastą do zębów, nastroszone włosy sterczą we wszystkie strony. Wydiera się przy tym i okłada pięściami po twarzy. Krew tryska z poranionych dziąseł i obitego nosa.

– Uwierz, to była scena jak z *Egzorcyzmów Emily Rose*. Wszedłem do celi i zobaczyłem twarz zdziczałego, opętanego człowieka. Praktyka nakazywała działać zdecydowanie i bez strachu. Chwyciłem ją za włosy, rzuciłem na ziemię i bujną fryzurę przydepnąłem z całej siły. Wyplakała się, dwie fajki zajęło, aż jej przeszło. Mam tę dziewczynę do dzisiaj przed oczami. Tak samo jak chłopaka, który dokonał niebywałego wręcz samookaleczenia. Najpierw maszynką do golenia ciął skórę na całym ciele. Gdy jednak maszynka przestała mu wystarczać, chwycił za połamany plastikowy nóż. Drapał się nim tak mocno, że zaczął rwać skórę. Na nogach, rękach, na głowie. Do tego nie pozwalał sobie pomóc. Gdy tylko ktoś próbował wejść do celi, nabierał krwi w usta i nią pluł. Nie byłby to wielki problem, gdyby nie fakt, że chłopak był nosicielem wszystkich możliwych chorób. Z HCV i HIV na czele. W końcu do celi wszedł największy klawisz, jaki był akurat na obiekcie. Kulturysta, *fighter*, sto dwadzieścia kilo mięsa i siła całej zmiany. A przy okazji z wolności znajomy pociętego złodzieja. Wszedł, serdecznie kolegę zagadał i korzystając z sekundy konsternacji, jednym ciosem w łeb powalił go na ziemię. Kolano na ucho, kajdany. Do dzisiaj widzę twarz tego chłopaka. Pociętą, z krwią ciekącą z czubka nosa, z szaleństwem w oczach. Ten obraz od czasu do czasu wraca do mnie w koszmarach.

Kryminal ma coś z przedsionka piekła. Czasem nie da się nawet tego opowiedzieć. By to zrozumieć, trzeba to przeżyć.

Karolowi pewnego dnia na oddział przenieśli dwóch Czeczenów.

– Coś im się nie podobało i rozpoczęli strajk głodowy – wspomina. – Nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść, widocznie ktoś przekazał im fanty podczas spaceru, a meteor ich nie wykrył. Wchodzę pod celę, patrzę, a oni sobie usta igłą i nitką zaszyli. Po prostu zacerowali sobie japy jak dziurawe skarpety. Druga sytuacja wydaje się jeszcze bardziej absurdalna, ale uwierz mi, też się

wydarzyła. Złodziej przyniósł sobie z remontówki gwóźdź, siadł na taborecie i przybił sobie do tego fikoła jaja. Sam widzisz: długie lata w tym miejscu sprawiły, że nic mnie już nie zdziwi. Nic mnie nie zszokuje. Nie chciałbym jednak znaleźć wisielca. Boję się tego. Boję się wybaluszonych oczu, które mogłyby na mnie spoglądać.

Krzysiek: – Połyki to osobna kategoria. Codziennosc. Śrubki, zszywki, zapalniczki. Był taki przypadek, że złodziej połknął siedemnastocentymetrowy pręt. Wyobrażasz to sobie? Takie sytuacje wyglądają mniej więcej tak:

– Połknąłem.

– Co połknąłeś?

– Śrubki.

– Chuj z tym, wysrasz – i rozczarowanie złodzieja, bo liczył chociaż na przejazdżkę do szpitala.

Ale czasem pada odpowiedź: – Pręt.

Wtedy trzeba działać. Konwój, SOR, rentgen. Drobinki wyjmują endoskopem, przy większych sprawach ich tną. Mnie to już w ogóle nie rusza. To jest chore, sam się na tym złapałem. Ostatnio skazany mówi do mnie:

– Połknąłem cztery śrubki.

Popatrzyłem tylko na niego i powiedziałem:

– No spoko. Głodny byłeś czy po chuj to zrobiłeś?

– Ale... Ale...

– No co: ale?! Siedź i nie marudź! Wysrasz!

Andrzej: – Więźniowie samookaleczają się z różnych powodów. Czasem nie wytrzymują psychicznie. A czasem chcą po prostu coś osiągnąć, ugrać, wymusić. Na przykład wychowawca odmówił skazanemu prawa do zwykłych widzeń. Za karę ma wlepioną na trzy miesiące pleksę, czyli widzenia jedynie przez szybę. Po odmowie osadzony idzie więc do celi i lekko podcina sobie żyły. Czasem to nic nie daje. A czasem wychowawca, dla świętego spokoju, podejmuje decyzję na korzyść skazanego. Albo osadzony jest już tak znudzony odsiadką, że symuluje chorobę bądź lęka przedmioty, by przejechać się karetką na wycieczkę do szpitala. Albo po prostu: powąchać kobietę, bo baby nie widział od trzech miesięcy.

Oficjalne statystyki prezentowane przez SW wykazują tylko 12 przypadków samouszkodzeń dokonanych przez osadzonych w 2018 roku. Dane zawierają jednak tylko te zdarzenia, które skutkowały rozstrojem zdrowia powyżej siedmiu dni. Spraw mniej poważnych w statystykach po prostu nie ujęto.

Wszystkie te sytuacje mają pewien punkt wspólny: system ochrony zdrowia za murami.

– Jeśli szukać największej patologii w kryminałach, służba zdrowia na pewno jest w czołówce – mówi Grzesiek. – Tu nie ma procedur, nie ma osób, które by tym zarządzały. Chaos jest taki, że w głowie się kręci. W efekcie złodziej dostaje wszystko, co tylko mu się zamarzy. I to w trybie ekspres. Idzie do lekarza i mówi, że chce USG, więc za dwa tygodnie jedzie na USG. A teraz ty, uczciwy obywatel, zapisz się na USG. Trzy miesiące będziesz czekać. Skazany ma to maksymalnie po czternastu dniach.

W 2017 roku osadzonym udzielono ponad miliona trzystu tysięcy porad ambulatoryjnych, z czego ponad 36 tysięcy wizyt u specjalistów miało miejsce w pozawięziennej służbie zdrowia. Rok później liczby były podobne.

Podczas nocek w większości zakładów karnych i aresztów śledczych w Polsce nie ma medycznego zabezpieczenia. Lekarze są bowiem zatrudniani na kontrakty i przyjmują tylko w konkretnych dniach i godzinach. Pielęgniarki będące na etacie SW są zazwyczaj dostępne w zakładzie jedynie od rana do wieczora. Gdy więc coś związanego z opieką zdrowotną dzieje się w nocy, wszelkie decyzje w sprawie zabezpieczenia medycznego musi podejmować dowódca zmiany. I są to sytuacje najtrudniejsze. Bo teoretycznie wystarczy zadzwonić po pogotowie i mieć wszystko gdzieś. Ale wiadomo, jak bardzo daleko bywa teoria od praktyki. Rocznie lekarze pogotowia ratunkowego udzielają w zakładach karnych i aresztach śledczych średnio ośmiu tysięcy porad. Takie statystyki utrzymują się od lat.

Andrzej: – Zmorą jest symulowanie chorób przez osadzonych. Skazany jedzie do szpitala, gdzie okazuje się, że nic mu nie dolega. Nieraz zdarzało się, że szedłem do celi, oceniałem, czy złodziejowi rzeczywiście coś jest, czy ściemnia. Bo przecież wysłanie go do szpitala to ogromny problem logistyczny – konwój, ściąganie ludzi do zakładu. No i ewentualne obciążenie finansowe zakładu w przypadku nieuzasadnionego wezwania karetki. Jasne, później sąd teoretycznie może obciążyć za to złodzieja, ale skąd on ma wziąć

pieniądze, żeby to spłacić? Kończy się dolewką dwóch czy trzech miesięcy, a on ma to gdzieś, bo jaką różnicę robią mu trzy miesiące przy zajechanych dwudziestu pięciu latach? I dalej symuluje, a dowódca dalej musi się z tym męczyć. Czasem zbagatelizuje skarżącego się złodzieja, tylko skąd może mieć pewność, że to symulacja, a nie pęknięty woreczek żółciowy? Decyzje w takich sprawach to zawsze stąpanie po cienkim lodzie. Jeden zły ruch, błędna ocena i z wartowni trafiasz na kilka lat na drugą stronę kraty.

Siedem grzechów.

Nieczystość

Człowiek ma coś ze zwierzęcia. Im bardziej nie wolno, tym mocniej kusi. Andrzej na początku drogi dopuszczał do siebie różne scenariusze, ale akurat tego pojąć nie potrafił. Był młodym funkcjonariuszem, dopiero po szkole. A w szkole – wiadomo – tłoczenie moralnego spoiwa w podatne na skrzywienia kręgosłupy. Trzeba było jednak zostawić teorię i wciągnąć w nozdrza smród zakładu. Szybko zobaczył, że wiele tu lin, po których kumple spacerują z lubością. Krawędzi do przyjemnego balansowania. Ci z małą wyobraźnią zapominali, że za każdą krawędzią czeka przepaść. Spadali więc i roztrzaskiwali się o kamienie przepisów, kodeksów i procedur. Im coś jednak mocniej zakazane, tym bardziej pożądane. Szczególnie w zakładach z oddziałami dla kobiet.

– Gdy przyjmowałem się do służby, mój pierwszy dowódca zmiany miał na zakładzie panienkę. Taką czarnulkę, niegroźną złodziejkę. Na radiowęźle robiła. Bujał się z nią po kryminale. Co dniówka szedł na apel wiele wcześniej, niż było to potrzebne. Osobiście wyciągał ją z celi i prowadził do roboty. Gdy pojawiałem się na oddziale, on akurat po czterdziestu minutach wychodził od niej z kanciapy. Na pewno nie ustalali w tym czasie planu audycji. Gdy szedł na emeryturę, ona akurat kończyła wyrok. Skumali się już za murami. Wyjechali gdzieś w Polskę – mówi Andrzej.

– Takie kontakty między skazanymi i klawiszami są normą?

– Zdarzają się, ale na pewno nie są normą. Szczególnie dziś, gdy nie ma zawodowej solidarności i złamanie procedur wypływa na powierzchnię z większą łatwością niż kiedyś. Ale tak, raz częściej, raz rzadziej to się za murami dzieje.

Grzesiek też pracował w zakładzie z oddziałami kobiecymi. Niedawno wybrał się na spotkanie klawiszy-emerytów. Jedno z pierwszych, na którym się pojawił. Lufa raz, lufa dwa. Wspomnienie raz, wspomnienie dwa. Im dłużej trwała impreza, tym coraz mocniej palił go wzrok Wandy. Na emeryturę odeszła rok przed nim. Chodzące doświadczenie, każdy złodziej na oddziale

był przez nią rozpracowany jak opozycjonista przez bezpiekę. Dobrym była wychowawcą. Złodziejki ją lubiły, więc mówiły jej więcej niż komukolwiek innemu. Ufały jej. W końcu podeszła i poprosiła Grześka o chwilę rozmowy na osobności.

– Chciała mi opowiedzieć coś, co strasznie ją gryzło, nie dawało spokoju. Nie „wylała” tego wcześniej, bo gdyby pisnęła choć słówko, wrzuciłaby dwójkę kolegów z pracy pod rozpędzony pociąg. Na naszym zakładzie zawsze były cztery zmiany. Czterech różnych dowódców. Cztery różne ekipy, wszyscy z innymi charakterami. Był taki moment, że jedna zmiana bardzo mocno odstawała. Żyła swoim życiem, wszelkie procedury leżały tam i kwiczały. Burdel na kołach. I to dosłownie. Wanda dowiedziała się, że na nockach na oddziale trzecim dochodziło do szokujących wręcz akcji. Oddziałową była tam Agnieszka, młoda dziewczyna. W rezerwie na wartowni siedział Kamil. Też szczył. W środku nocy brał klucze od cel – wszystkie klucze są wtedy zawsze na wartowni – i szedł na trójkę. Wchodził na oddział, otwierał celę z dwiema skazanymi. Agnieszka wyciągała jedną na świetlicę, a do drugiej wchodził Kamil. I tak było nocka w nockę. On bzykał w celi, ona na świetlicy. Sytuacja sto procent potwierdzona.

Zawsze poili nas ideologią, że kontakt funkcjonariusza ze skazaną, a nie daj Boże funkcjonariuszki ze skazanym, to gorzej niż korupcja. Zdarzały się jednak sytuacje, w których wiedzieliśmy, że kolega szedł kontrolować miejsce pracy, po czym zniknął z osadzoną na półtorej godziny. Wszyscy wiedzieliśmy, że ją tam puka. Dowódca miał jednak na tyle jaj, żeby wziąć go na bok i wyprostować go bez pisania papierów i kręcenia afery. Mieliśmy jednak takiego kierownika ochrony, który podobnych sytuacji nie tolerował. Pamiętam chłopaka, który chodził kontrolować pracę skazanych. I dmuchał je tam po kolei. Gdy kierownik się o tym dowiedział, w pięć sekund przedstawił dowody i kazał napisać raport o zwolnienie ze służby. Wykopał gościa z zakładu na zbity ryj.

Są pewne bariery. Staralem się nie patrzeć na skazaną jak na obiekt seksualny. Jasne, niektóre z nich mi się podobały. Bo miały fajny tyłek, supercycki. Przecież one siedzą, nie mają co ze sobą zrobić, więc z nudów co robią? Dbają o siebie. W celach to są prawdziwe salony kosmetyczne. Nie wszystkie są przecież biedne. Niektóre uzbierały na wolności hajsu jak lodu. Mają więc w tych celach kosmetyki, o jakich moja żona może co najwyżej

pomarzyć. Szminki za pięćset złotych, kremy za tysiąc. I chodzą później po spacerniaku jak po wybiegu w Paryżu. Dla mnie zawsze była to jednak najpierw skazana, a dopiero później kobieta. I takie myślenie wielu z nas uchroniło od pokus. Niektórzy jednak ulegli.

Albo niektóre.

W pewnym zakładzie na magazynie pracował skazany. Wielki cham, kafar. Cygan. Falowane włosy, lekki zarost, dobrze zbudowany. A oddziałowa taka, że ktokolwiek by podszedł i ją klepnął w tyłek, to ostatnią rzeczą, o której by pomyślała, byłoby złożenie doniesienia o molestowaniu. No i zaszła w ciążę. Urodziła. Dziecko wygląda dokładnie jak Cygan z tego magazynu. Złodzieja dziecko. Dziś wychowuje dzieciaka, jest na macierzyńskim, ale za moment wróci do roboty – mówi Grzesiek.

– Ciężkie ją czeka życie w zakładzie?

– Wiesz co? Nie wiem. Pewnie ze stu osób dziesięć powie jej: „Odejdź, kurwa, ze złodziejem się puściłaś”. A reszta? W dupie. Nie będzie z tym miała większego problemu, bo teraz to jest jej prywatna sprawa. Jeśli nie była złapana na gorącym uczynku, nie można jej teraz nakazać wykonania badań DNA. Gdyby wtedy złapali ją w tym magazynie, to oczywiście sprawą z urzędu zająłby się prokurator. To nielegalny kontakt. Nie odpowiadasz za to tylko dyscyplinarnie. Że cię z pracy wyrzucą i tyle. Odpowiadasz przede wszystkim karnie. Może nie wsadziliby cię za to do więzienia, ale na pewno dostałbyś wyrok w zawieszeniu.

Zjawisko nie jest powszechne i nagminne, ale na pewno obecne. To sytuacja jak wszędzie, gdzie przecinają się drogi kobiety i mężczyzny. Zakład pracy, materiał ludzki, biologia, chemia. Jak schodzą się ze sobą funkcjonariusze z funkcjonariuszkami, tak dochodzi czasem do kontaktów z więźniami. Dla mnie to już wyższy poziom niegodziwości. Chociaż z drugiej strony, zawsze najłatwiej oceniać z boku. Wrzucić kogoś na stos, nie mając pojęcia o kulisach. A życie pisze przecież najlepsze scenariusze.

Śmietnik

– Wyparłam, wyrzuciłam. Uleciały nawet imiona klawiszy, z którymi pracowałam. Może to efekt ostatniej terapii? Albo tych wcześniejszych? A może po prostu traktuję ten okres jak śmietnik? Do śmietnika się przecież nie zagląda. Służba Więzienna upokorzyła mnie tyle razy, że dziś nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Nazywam się Patrycja. Mam trzydzieści pięć lat. Powiem, co pamiętam.

Pamiętam jeden z pierwszych dni w służbie. Czyściliśmy z koleżanką broń. Wszedł dowódca, siadł na krześle. Skończyłyśmy, chciałyśmy wyjść. „Teraz siadziecie mi na kolanach” – powiedział. Zamarłam, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. „To polecenie służbowe” – nie zawahał się, gdy zobaczył nasze spłoszone oblicza. Nie siadłam.

Pamiętam pierwszy dzień po awansie na zastępcę dowódcy. Bardzo się cieszyłam, to był mój duży sukces. Ciężko na to pracowałam. Przyjechała kontrola, a jak kontrola, to pojenie gości zimną wódką. Inspektor z OISW, schlany, ale kontaktujący, popatrzył na mnie, później odwrócił wzrok do dyrektora i z totalną powagą, na głos, przy wszystkich, spytał: „Komu dupy dała, żeby dostać tę robotę?”.

Pamiętam ostatni dzień jako zastępca. Byłam na dłuższym zwolnieniu, miałam problemy osobiste. Przyjechała kontrola zatrudnienia. Zobaczyła mnie, odjechała. Wróciłam do pracy. Na biurku czekał papier: rezygnacja ze stanowiska. Nie dymisja, nie decyzja. Rezygnacja, z miejscem na mój podpis. Bo jeśli mam problemy w domu, to jak mogę sobie poradzić na tym stanowisku? Jaki miałam wybór? Podpisałam, wróciłam na oddział. Strasznie miałam przejebane. Gdy spadasz ze stołka, otoczenie zawsze dobije, zamiast rękę podać.

Pamiętam, jak niedługo później napisałam rezygnację ze służby. Wiele rzeczy się na to złożyło. Między innymi fakt, że od miesiąca mieszkała już ze mną Ulka. Poznałam ją w kryminale. Ja z jednej strony kraty, ona z drugiej. Coś się skończyło, coś się zaczęło.

Bo była

– Co cię, kobieto, zawiąło do roboty w zakładzie? Dlaczego ty w ogóle tam poszłaś? – pytam Patrycję.

Spotykam się z nią w centrum dużego miasta. W kawiarni kilkanaście osób, ale wzrok przyciąga tylko jedna postać. Po prostu piękna kobieta. Długie, czarne włosy, idealna sylwetka. To ważna informacja w kontekście tego, o czym za chwilę opowie. Kryminał sam w sobie jest miejscem specyficznym. Ale oddział dla kobiet to wyspa inności na oceanie odklejenia.

– Bo była – pada odpowiedź. – Kasa pewna, na państwowym. Poza tym nie miałam o tym chorym miejscu pojęcia. Zdałam egzamin, po czym bez ceregieli wrzucili mnie na oddział. Świeżak i pół setki recydywistek na półotworze. Do osiemnastej otwarte, poruszały się swobodnie po oddziale. Na starcie przeczołgały mnie przeokrutnie. Wyczuły, że krępują mnie zachowania homoseksualne. Zawsze było tego dużo, ale wtedy jeszcze popuściły lejce. Samo przejście przez oddział, gdy wieczorem siedziały zamknięte w celach, było dla mnie wyzwaniem. Stukanie obcasów o posadzkę wywoływało lawinę cmokania zza wszystkich drzwi. Słyszałam pogwizdywanie, tuż za nim falę okrzyków. „Lalunia! Kochanie! Piękna!”. Normą było ostentacyjne całowanie, by kreować krępujące sytuacje. Działy się też rzeczy o wiele mocniejsze. Do dziś mam przed oczami dwie dziewczyny odgrywające scenę w toalecie. Wchodzę, a one w miłosnym uniesieniu: jedna rozchyła nogi, druga z głową w jej kroku. Jak weszłam, tak wyszłam. Celowo to zrobiły.

Druga sytuacja: wydawałam listy, osadzona chwyciła mnie za rękę i przytrzymała. „Magda, co ty robisz?” – spytałam. Wyrwałam się i uciekłam. Spurpurowiałam w sekundę, zrobiło mi się gorąco w dwie. Wtedy pierwszy raz się zaniepokoiłam, że wzbudza to we mnie jakiegokolwiek emocje.

Mijały tygodnie, oswajałam się z tym miejscem. One oswajały się ze mną.

– Lalunia!

– Lalunia to pod latarnią – cięłam temat. – Byście się chociaż schowały. Przecież wiecie, że o tej porze zawsze tędy przechodzę – rzucałam do dziewczyn macających się na korytarzu.

Notorycznie próbowały mnie podrywać. Ich pomysłowość nie znała granic. Jedna miała pozwolenie na gitarę pod celą. Przechodziłam, a ona śpiewała

miłosne piosenki, które dla mnie pisała. Zakochiwały się. Nieraz wpadałam przez to w ogromne kłopoty.

Wezwano mnie na areszt. Tam – strasznie niedobra, niby grypsująca osadzona. Wszyscy postawili już na niej krzyżyk. Miałam być ostatnią próbą wyciągnięcia jej na prostą. Zatrudniliśmy ją jako bibliotekarkę. Gdy nie było mnie w zakładzie, wszyscy mieli ją w dupie. Tylko ja ją wyciągałam do roboty. Wyjęcie z celi, kontrola osobista, zamknięcie w bibliotece, kontrola książek, kontrola osobista, rozwieszenie książek, kontrola osobista, cela. I tak długi czas. Walczyłam o nią. Pewnego dnia, po ostatniej kontroli, mówi:

– Oddziałowa, muszę coś pani powiedzieć. Ale nie umiem. Nikt nie może tego słyszeć. Napisałam list – i daje mi kartkę. List okazał się gorącym wyznaniem miłosnym. Jak na nią działałam, co do mnie czuje. Poszłam do wychowawcy.

– Pomóż mi. Co ja mam z tym zrobić? Jak mam z nią porozmawiać, żeby za chwilę się nie pocięła? – spytałam.

Doradził. Poszłam.

– Szanuję twoją odwagę. Dziękuję, że wyznałaś mi uczucia, ale ich nie odwzajemniam. Poza tym to takie miejsce, w którym powinnaś hamować się z takimi wyznaniem.

Nagle totalny odwrót. Zaczęła mi uprzykrzać życie. Wróciłam po urlopie do roboty. Podeszła do mnie jedna z osadzonych.

– Karolina chce oddziałową oskarżyć o molestowanie w bibliotece. I ma już skazane, które to potwierdzą – powiedziała. Poszłam do inspektora ochrony, do dyrektora. Skończyło się przeniesieniem mnie na inny oddział.

Najtrudniejsze były kontrole osobiste. Homoseksualne skazane miały ogromny problem z rozbieraniem się przed oddziałowymi, które wpadły im w oko. Wiedziałam o kilku takich dziewczynach, unikałam sytuacji, w których musiałabym im robić kontrolę. Nie zawsze się udawało.

– Błagam, nie każ mi tego robić! Nie upokarzaj mnie! – stała przede mną jedna z nich i płakała.

– Monika, to jest normalne, to moje obowiązki – odpowiedziałam. Padła na kolana, wyciągnęła błagalnie ręce. Zrobiłam więc jej powierzchowną kontrolę i puściłam na celę. Unikałam jej, ale ona cały czas szukała ze mną kontaktu,

przez inne skazane podrzucała listy. Napisałam notatkę, przyspieszyli jej wyjazd na terapię alkoholową. Minął czas, wróciła. Prosto z transportu trafiła do mnie na osobistą.

– Tęskniłam za tobą – mówi.

A ja swoje.

– Zdejmij bluzkę. Teraz zdejmij stanik.

– Żyłam tylko myślą o tobie – ciągnie i wykonuje polecenia.

A ja swoje.

– Zdejmij spodnie.

– Pati, Pati.

– Pani oddziałowa. Jestem dla ciebie oddziałową!

– Patrycja! Popatrz na mnie! Proszę!

Wyszła na wolność, odnalazła mnie na Facebooku. Zaczęła wydzwaniać, zablokowałam. Wiele miałam podobnych akcji.

– Ulka też się do ciebie odezwała po wyjściu z zakładu. Jej nie zablokowałam.

– Ale to była zupełnie inna sytuacja...

Empatia

– Prowadziłam na magazyn nowe skazane. Jedna zwróciła moją uwagę. Miała ponacinane uszy. Wyglądały jak ponadrywana kartka. Zerkam dalej. Nie ma kępy włosów. Wyżej – blizna. Na karku – nacięcia. Mimowolnie zaczęłam się na nią gapić.

– Oznaki wieloletniej przemocy. A ten skurwysyn przeżył – z zawieszenia wyrwały mnie jej słowa. Zorientowała się, że wwiercam się w nią wzrokiem. Głupio mi się zrobiło, ale słuchałam dalej: – Lał mnie dwadzieścia lat. W końcu nie wytrzymałam. Ubijałam mięso na obiad, odwróciłam się i jebnęłam go w łeb. Chciałam go zabić. Taką miałam myśl. Ale przeżył. Zadzwoiłam po pogotowie, zabrali go do szpitala. Mnie policja przywiozła tutaj. Mąż chce wycofać oskarżenie. Przyzwyczał się, że przez lata miał w domu ofiarę pod ręką. A teraz? Nie ma kogo napierdalać.

Szkoda mi było tej kobiety. Byłam wyrozumiała dla morderczyń swoich mężów.

Co tu dużo gadać: to była klasyczna historia, bez fajerwerków i „Love” na murach. W tym naszym grajdole się poznaliśmy. Kolega kolegi imprezę robił, taką z rodzaju czteropak i paprykowe laisy. Stałam w pokoju i z kumpelą gadałam, gdy wszedł, przywitał się i momentalnie go trafiło. No i tak poszło. Od spaceru i lodów, przez kawę i ciastko, aż do samego ołtarza. Naprawdę go kochałam, pojawiło się dziecko. Ale później nasz związek podtopiła woda. On podtopił. Ten stan trwał w nieskończoność. Nie umiał sobie z tym poradzić. W końcu powiedziałam: dość.

Był moment, gdy pracowałam w kryminale na bramie. Wpuszczałam na zakład koleżankę. Tylko na mnie popatrzyła i od razu spytała: „Patrycja, wszystko w porządku?”. Zwykle pytanie, a ja pęłam. Zaczęłam wyć. O jedno zdanie za wiele. Zamknęłyśmy się w jednym z pomieszczeń. Powiedziałam o moich problemach. W tym momencie ruszyła maszyna.

Rozwód trwał w najlepsze, byliśmy w separacji, ale wiadomo, jak to w Polsce z sądami. Jasiek nie dostał nakazu opuszczenia domu. Byłam w ciężkiej depresji, wciąż ciągnano mnie po sądach. Do tego robota w kryminale, która tylko mnie dobijała. Koledzy klawisze widzieli we mnie desperatkę. Że jeśli baba nie ma chłopa, to na pewno potrzebuje bzykacza. Nachalność w tym czasie była porażająca, a ich teksty jeszcze gorsze. Jeśli praca za murami otworzyła mnie na inne sfery seksualne, to cały ten życiowy syf dodatkowo pchnął mnie w stronę kobiet. O problemach dowiedziały się osadzone. Zresztą one zawsze wszystko wyczuwały. Jak czarownice. Wystarczyło kilka postawionych kroków na oddziale, inne tempo wystukiwane przez obcasy i wszystko wiedziały. „Pani oddziałowa, zła noc, co?”. „Oddziałowa, widzę, że w domu przejebane”. Albo po prostu: „Okres?”.

– Szydziły z twoich problemów?

– Skąd. Rozumiały mnie. Wczuwały się, były bardziej empatyczne niż większość kolegów z pracy. I oferowały pomoc. Że mogą załatwić mojego męża. To były propozycje na poważnie. Ale nie. Przecież to ojciec mojego dziecka.

W tym syfie zabrzączał telefon

– Dwie historie. Pierwsza. Wiedzieli, że będzie afera, więc wezwali mnie do pomocy na inny kobiecy oddział. Była tam złodziejka, którą poinformowano, że wyjeżdża w transport na drugi koniec Polski. Poszłam totalnie nieprzygotowana, w spódnicy, wysokich butach. Wpadła w szal, zaczęła nam uciekać po schodach, korytarzach. Goniąc ją na tych obcasach, wypieprzyłam się na twarz. Zabarykadowała się w jadalni. Kilkanaście minut forsowałyśmy z inną oddziałową zapórę, a gdy już się udało, ruszyła na nas ze stołem. Dowódca zmiany – wielki chłop, w mig zrobiłby z nią porządek – siadł z boku i tylko się przyglądał.

– Dowódco, pomóż!

– Dacie sobie radę... – odparł uśmiechnięty, pełen luzu i spokoju.

Skończyło się po prawie godzinie. Wszystkie potargane. Rzuciłyśmy ją na glebę, siadłam jej na grzbiecie, żebyśmy w ogóle mogły ją skuć kajdankami. Popatrzyłyś na to z boku i pomyślałbyś: kabaret, a nie kryminal.

Druga. Siedziała u mnie na oddziale małolata. Nie lubiła mnie, ewidentnie coś do mnie miała. Okazało się później, że szło o inną skazaną. Młoda się w niej kochała, a tamta spuściła ją na drzewo i powiedziała: „A ja kocham oddziałową!”. I gówniarę zaślepiła zazdrość. Przepis mówi jasno: pod celę powinno się wchodzić w dwie osoby. Przepis jednak przepisem, a życie życiem. Na szybko chciałam coś załatwić. Weszłam sama. Odwróciłam się i tylko usłyszałam świst powietrza. Ruszyła na mnie. Chwyciła taboret i chciała mnie nim wałnąć w łeb. Zawsze się narzekało na szkolenia, ale okazało się, że jednak coś dają, bo momentalnie, odruchowo ją obezwładniłam. Oczywiście podczas postępowania zarzucono mi błędy, bo zamiast zawołać kogoś do pomocy, by wyprowadził resztę skazanych spod celi, nie zrobiłam tego i obezwładniałam napastniczkę. A ta darła mordę do reszty: „Stoicie! Patrzycie się! Zróbcie coś! No jebnij jej!”.

Nawet nie zdążyłam poczuć strachu. Tak samo jak nigdy nie czułam strachu, gdy ratowałam dziewczyny po samouszkodzeniach, samobójczych próbach. Był tego ogrom, cała masa. Na oddziałach kobiecych jest tego zdecydowanie więcej niż u mężczyzn. Nie wytrzymują psychicznie, pękają.

Dlaczego o tym opowiadam? Na tym właśnie polega specyfika kobiecego oddziału. Na emocjach. Kobiety znoszą izolację gorzej od mężczyzn. Trzeba mieć tu naprawdę grubą pancierz, by wszystko po tobie sływało. By

funkcjonować mechanicznie. Wśród kobiet w kryminale jest więcej agresji wynikającej z bezsilności. Jest też większe pole manewru dla strażników, by psychicznie osadzone gnoić. I nie ukrywam, czasem nawet ja to robiłam. Przykład? Telefon. To coś wymarzonego, wyczekanego. Mają dwa w tygodniu. Dzwonią do synka, córeczki, a z drugiej strony ktoś nie zdąży podnieść słuchawki. Jeśli jesteś wyrozumiała, a złodziejka nie robi ci na oddziale problemów, to nie odhaczasz jako zaliczony. Ale jeśli przez cały czas osadzona ma cię w dupie, wciąż kręci ci afery, to dlaczego nagle masz być dla niej pomocna? Zaliczony, wyjazd pod celę. I krzyk, wrzask, wyzwiska.

Na męskich oddziałach było inaczej. Pewnego dnia, już jako zastępca, dostałam polecenie: „Idź na piątkę, sprawdź, o co chodzi, bo ponoć afera jakaś”. Poszłam. Dożywotka, drugi też przybite w cholere. Rozpytałam, ewidentnie ustalali między sobą zeznania.

– Proszę pani, potknąłem się, uderzyłem o kant łóżka i nos rozbiłem!

Dobrze się bawili. W końcu jeden powiedział, o co poszło.

– Cwaniakował, cwaniakował, to mu przyjechałem. Należało się skurwysynowi – mówi gość z dożywociem.

Rzeczywiście mu się należało, pomyślałam, napisałam papier. Wszystko doszło aż do okręgu, wróciło z milionem uwag. Że wady, błędy, złamane procedury. Kto dostał po dupie? Tylko ja. Tak właśnie wygląda wsparcie w kryminale. Na odprawie szkoleniowej zostałam jeszcze wysmiana przez dyrektora i kierownika ochrony.

Tu były problemy w domu, degradacja, depresja, sądy. Totalne rozbicie. I nagle, w tym syfie, zabrzączał mi telefon.

„Ulka przesyła wiadomość”.

Idę, cześć

– Teoria o pierwiastku homoseksualizmu tkwiącym w każdej kobiecie jest prawdziwa, tylko nie każda ma warunki i okazję, by to w sobie odkryć. Ja odkryłam, choć na początku tego nie rozumiałam. To się we mnie budziło, później budowało, wzrastało. Najpierw tliło, dopiero później buchnęło żywym ogniem.

Siedziała za napady, pobicia. To był jej drugi wyrok. Żeby było jasne: u mnie zaczęło się to dopiero, gdy wyszła na wolność. Wcześniej nie zdawałam sobie nawet sprawy, że myśli o mnie w takich kategoriach. Inne skazane wysyłały liściki, gitara, śpiewy, próby skracania dystansu, ocieranie się, łapanie za ręce. Gdybym zapaliła zielone światło – czy to cela, czy dyżurka – poszłyby po całości. Ale ona granicy nie przekraczała. Nic, totalnie nic. Choć raz wystrzeliła do mnie szczerymi pretensjami.

– Dlaczego mi pani nie powiedziała, że tak długo pani nie będzie?! – krzyknęła.

– Słuchaj, dziecko mi się rozchorowało, musiałam iść na zwolnienie. Ula, co się dzieje? Dlaczego tak reagujesz? O co ci chodzi? – instynktownie się wytłumaczyłam, choć przecież nie powinnam tego robić.

– Dzięki temu, co pani dla mnie zrobiła, traktuję panią jak siostrę! Ja panią po prostu kocham jak siostrę! Chcę dla pani jak najlepiej!

Przypadek, jakich miałam za murami wiele: wszyscy skreślili dziewczynę, a ja o nią zaważczyłam. Chciałam, żeby pracowała, żeby znalazła dobrą ścieżkę. Szukałam w niej człowieka, gdy wszyscy inni widzieli tylko złodziejkę. Zrobiłam dla niej tylko tyle i aż tyle.

W końcu wyszła na wolność.

„Ulka przesyła wiadomość”.

Najpierw ogólnie, oficjalnie. Później coraz głębiej i głębiej. Wiedziała o moich problemach. Czula moje potrzeby. Bo ja wtedy miałam potrzeby emocjonalne, a nie fizyczne. Po dwóch miesiącach zapukała do moich drzwi. To był już jednak taki przyrost emocji i pragnienia, że się zadziało samo. Żaden instruktaż nie był potrzebny.

Gdy przyjechała do mnie na miesiąc, pracowałam jeszcze w służbie. Musiałam z tego zrobić gigantyczną tajemnicę. W końcu podjęłam decyzję: chcę się zwolnić z kryminału, chcę być z Ulką. Wyjechałyśmy do Amsterdamu. Uczciwie pracowała, dziecko chodziło do przedszkola, ja się uczyłam. Wyjazd był moją ucieczką od męża, problemów, depresji, toksycznego środowiska, brudu kryminału, miasteczka, w którym każdy miał swoją historię na mój temat. Taki stan potrwał rok.

Dziś żałuję tego tylko z jednego powodu: dziecka. Zmiana otoczenia, przedszkola, obcy ludzie, z dala od rodziny. To było złe. Synek wiedział, że z nią jestem. Lubił ją, a ona była dla niego ciepła. W pewnym momencie pojawił się jednak problem. Zrobiła się agresywna. Pobiła mnie, skończyło się zawiadomieniem na policji. Trafiła do psychiatryka na leczenie. Pewnie nie wytrzymała w takim życiu. Dla niej to była totalna zmiana. Wcześniej szemrane towarzystwo, w którym była kimś, łatwych pieniędzy pod dostatkiem. A tu? Kobita z dzieciakiem, niewysoka pensja. Wiem, że wróciła na dawną drogę. Kontakt mamy sporadyczny.

Wróciłam do Polski.

– Żałujesz, że pracowałaś w kryminale? – dopytuję na koniec.

– Nie żałuję. To ukształtowało mój charakter. Ale dziś powiedziałam już o tym ostatnie słowo. Idę, cześć.

Siedem grzechów.

Nieumiarkowanie w (jedzeniu i) piciu

Główna droga pożegnała ich jakiś czas temu. Sunie więc więzienna suka po nadzianej dziurami ścieżce, podrywa za sobą tumany kurzu zasysanego z pobocza. Za kółkiem – Rysiek, kierowca. Po prawej – Grzesiek, dowódca konwoju. I jeszcze Grażyna, funkcjonariuszka. Plan wyjazdu był prosty: w jednym z kryminalów na południu Polski zostawić wpakowanych im rano w kabarynę skazanych. Później nocleg w oddalonym o 30 kilometrów kryminale, by z rana załadować kilku złodziei i przywieźć „do domu”. Fura podskakuje więc na sfatygowanej drodze. Na pace pusto, do wieczora daleko.

– Ej, może my źle pojechaliśmy? – głośno zastanawia się Grażyna. Skanuje otoczenie, ale poza pijanym gościem na składaku ani śladu cywilizacji.

Ujeżdżają jeszcze kilka kilometrów, z prawej mijają tartak. Wielkie bale drewna i pordzewiała suwnica.

– Kurwa, gdzie my jesteśmy?! – rzuca ze śmiechem Grzesiek, po czym kręci korbką i opuszcza szybę. – Panie! A tu jaki zakład karny to jest?! – pyta mężczyznę w brudnych, roboczych spodniach i flanelowej koszuli.

– No jest! Tu o! Miń pan hałdę, skreć w prawo, ujeź ze pińdziesiont metry i będzie brama! – odpowiada miejscowy z dokładnością sugerującą, że naprowadzanie skołowanych klawiszy nie jest dla niego czymś nowym.

Mały to kryminal na 300 ludzi, ale poważnych. Zakład ma duże zabezpieczenia, więc wpakowali tu zabójców i członków zorganizowanych grup przestępczych. Zjeżdżając jednak na zakład, konwojenci nie mogą się wyzbyć wrażenia, że jakoś tu przasnie, dziwnie. Bramowy siedzi w budzie, tablicę z guzikami ma dwa metry od siebie. Pod ręką – dwumetrowy kij na sznurku, którym nadusza przyciski. „Ja pierdołę, co za kołchoz” – myśli zszokowany dowódca konwoju. W wielu różnych miejscach bywał w przeszłości, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Wchodzą na wartownię, trzeba zdać pistolety.

– Gdzie mam broń zostawić? – pyta Grażyna.

– A tu pierdolnij – odpowiada funkcjonariusz i wskazuje szafę pod ścianą.

Grzesiek podchodzi, uchyla skrzypiące drzwiczki, a tam garnki, talerze, widelce, nawet kuchenka elektryczna. Wszystko potrzebne do wyprawienia niedzielnego obiadu, ale nie do schowania pistoletu. Wielkie oczy na tutejszego klawisza.

– Kurwa, gdzie mam tę broń zostawić?! – irytuje się Grzesiek.

– No pod tą kuchenką położyć możesz – odpowiada miejscowy i kwituje zdanie giwer.

Kurczak się grzeje w piekarniku, a pod nim trzy pistolety z konwoju. To już jednak nie problem przyjezdnych. „Jak zajebią, to ich wina. Papier, jak coś, mam” – Grzesiek układa to wszystko w głowie w jeden, w miarę spójny kawałek. Ogarnęli się w pokojach, żołądek zdążył się dopomnieć o swoje. Na wartowni doradzili gościom wyjście z zakładu i spacer wzdłuż rowu, aż do miasteczka. Tam smażona świnia, kartofle z wody, po dwa piwa. Tylko co tu dalej robić? Znów wzdłuż rowu, powrót na pokoje. W końcu nadeszła oczywista myśl, która nadejść musiała: mało było te dwa browary.

– Grażka, idę jeszcze po pół litra – informuje Grzesiek koleżankę. W tle słycać brzęczące kraty, pstrykające radia. Jest chwila po 18.00, na zakładzie trwa wieczorny apel. – Poczekam pół godzinki, niech się troszkę uciszy, później skoczę po flaszkę, to rozpykamy wieczorem na spokojnie.

Ubiera się, chwyta klamkę, otwiera drzwi, a tam dowódca zmiany i dwóch koni po sto kilo.

– Gdzie idziesz, kurwa?! – mocne pytanie.

– Po bułki.

– Chuja! Po wódkę idziesz! – burczy nieproszony gość i wyciąga butelkę zza pazuchy. – Masz. – Podaje flaszkę. Etykieta krzyczy cyrylicą.

– Co to, wódka czy spirytus?

– No spirytus! Rozrób z czymś na pół.

Dobrze, że została jeszcze z drogi woda niegazowana, więc dwa razy przechylił i do lodówki chce wstawiać.

– Gdzie, kurwa?! Lej od razu! To do picia, nie do lodówki! – krzyknął miejscowy funkcjonariusz. I tak się zaczęło.

Grzegorz: – Dowódca tak się urobił, że zasnął mi na ramieniu. Drugi gość non stop walił po pięćdziesiątce. Poza tym co chwila wchodził ktoś nowy. Na zmianę: jeden oddziałowy, drugi oddziałowy, trzeci. Pojawiały się kolejne butelki. Zanim dowódca „umarł”, spytałem:

– To jest u was normalne?!

– Normalne!

– To do was kierownik albo dyrektor na inspekcje nie przyjeżdżają?

– Przyjeżdżają! Staremu to ostatnio odbiło i nas opierdalał, że najebani jesteśmy. A tak to z nami pije!

Chwilę później pyta mnie:

– Lejecie u siebie złodziei?

– Nie lejemy – odparłem w sumie zgodnie z prawdą. Nikt dla rozrywki nigdy nie lał u nas osadzonych. Gdy dowódca usłyszał moją odpowiedź, kazał zadzwonić na pawilon, żeby oddziałowy wyciągnął jednego złodzieja na łaźnię.

– Pójdiesz z moim zastępcą. Trochę sobie poćwiczysz.

Musiałem ich długo przekonywać, że nie chcę takiej zabawy. Gdy to wszystko widziałem i słyszałem, byłem w ciężkim szoku. Starłem się dotrzymać im tempa, ale nie dawałem rady. Oszukiwałem, opuszczałem kolejki. Non stop żarłem parówki, które kupiliśmy sobie na rano. Siedzieli u nas długie godziny, później wyrzuciłem ich z pokoju, bo do Grażyny zaczęli się przystawiać.

– Albo się ruchasz, albo ci przypierdolę – palnął jeden z nich.

– Jak masz tak mówić, to lepiej stąd idź. Albo jesteś mundurowy, albo zwykły chuj – skasowałem temat.

I poszedł. Drugi, ten największy, wziął śpiącego dowódcę, wrzucił na plecy i go po prostu wyniósł. Rano jak ich zobaczyłem, to był obraz nędzy i rozpacz. A oni w furi i się rozjechali do domów.

Słucham opowieści Grzegorza i też nie mogę dać wiary. Dopytuję: – Który to był rok? 1999? 2000?

– Co ty, zwariowałeś? Już po nowemu było. 2012.

Grzesiek zarzeka się jednak, że to, czego wówczas doświadczył, nie jest normą. Jest absurdalnym wyjątkiem. U niego w zakładzie nigdy przez 20 lat

nie widział, by ktoś łoł wódę podczas służby. Jasne, po służbie, pod bramą, zanim się mały fiat dogrzał, a i owszem. Było tylko: „Grzechu! Leć po szklanki!”. I zawsze w czterech: on, Młody, Koniu i Arek, połówkę w duraleks na raz rozlewali. Pyk, skrzywiony pysk, resztką kanapki zagryzł i w auto.

– Dawaj, szybko, póki jeszcze na oczy widzę! Jedziemy do domu!

Ale to było za dawnych lat, długo przed otwarciem nowego pawilonu. Zresztą z tamtych czasów to przeróżne historie można łowić sieciami wprost z oceanu wódki. Jeśli chodzi o przekraczanie granic prawa, również w kwestii alkoholu, klawisz mógł sobie pozwolić na więcej. Bez specjalnych konsekwencji.

Złodzieje z kryminału Andrzeja byli oddelegowani do budowania bloku mieszkalnego w miasteczku nieopodal. Skończyli dzień pracy, wracają do zakładu. Stuk-puk w bramę. Bramowy otwiera. Liczy złodziei.

– Kurwa, jednego nie ma! Gdzie jest?

– A tam, z tyłu idzie.

Bramowy patrzy, a złodziej idzie z karabinem na ramieniu i prowadzi półprzytomnego, pijanego klawisza, który miał ich pilnować cały dzień. Dużo śmiechu, zero krzyku.

A ilu było takich, którzy siadali za kółko pod wpływem? Zatrzęsienie, tuziny! Grzesiek nie jest nawet w stanie zliczyć wszystkich znanych mu przypadków.

– Kiedyś do zakładu przyszedł raport policji, że kierownik ochrony jechał nagrany z imprezy i przypieprzył na rondzie w policyjną sukę. Impet był tak duży, że kabaryna wywalila się na bok i sześciu policjantów zostało rannych. Klawisz jechał totalnie spruty, normalnego Kowalskiego dwa razy by za to zamknęli do więzienia, a wcześniej obili jeszcze na dołku. Ale on pokazał legitymację z zakładu i nawet prokurator na miejscu się nie pojawił. Zabrali mu tylko prawo jazdy, wysłali listem do dyrektora kryminału. Ten wezwał kierownika i mówi: „Patrz, chuju głupi! Twoje prawo jazdy! Nie będziesz jeździł! O, tu, do szuflady idzie! Na dwa lata!”. Po czym po dwóch miesiącach kierownik przychodzi do dyrektora i mówi: „Wiesiu! Kurwa! Przejebane! Baba mnie jebie, że tak późno do domu wracam, bo autobusem jeździć muszę... Daj mi te lejce...”. „Masz i spierdalaj! Więcej nie pij!”. Wielu jednak w taki sposób wylatywało ze służby. W skali kraju, a mam dobre informacje, są to dziesiątki,

a nawet setki ludzi. Wartościowych ludzi. Włączyła się ułańska fantazja i było po robocie. Osobiście też zwolniłem za to kilka osób.

1 stycznia. Wszyscy zawsze doskonale wiedzieli, że jeśli po sylwestrze masz się pojawić na dniówce, możesz chlapnąć dwie lampki Igristoje, a o pierwszej w nocy masz już spać, bo o szóstej trzeba stanąć na odprawie i trzymać fason. Grzesiek jedzie do roboty, jest już dowódcą zmiany. Śniegu po pas. W połowie drogi widzi, że w rowie leży auto, tylko rura wydechowa wystaje ponad zaspę. Zatrzymuje się koło niego, podchodzi i widzi, że za kółkiem siedzi młody Lipiński w mundurze. I głowę chowa.

– Dobra, dobra, wodzu! Git jest, dam radę! – informuje.

Grzesiek od razu wyczuwa, że coś tu śmierdzi. Dojeżdża do firmy, przebiera się w mundur. Po jakimś czasie schodzi na wartownię i mówi:

– Chłopaki, ale Lipińskiemu to bronie nie wydawajcie. Muszę z nim najpierw pogadać, bo coś mi się nie podoba.

– Za późno, już wziął broń, poszedł na odprawę – usłyszał w kontrze.

Grzesiek wchodzi na wartownię. Lipa ledwo stoi. Zniszczony kompletnie. Alkomat: 4,02. Prosto z imprezy.

– Nie mogę cię, chłopie, wziąć do roboty, bo zrobisz albo sobie, albo komuś krzywdę.

– No i chuj – tylko tyle był w stanie odpowiedzieć.

Oddał broń, samochód zostawił, chłopaki z nocki go zawinęli i powieźli do domu. Wyleciał z roboty. Nie było gadki. Nie dało się tego zamieść. I niech się cieszy, że nie dostał zarzutów karnych. Inny, też prosto z imprezy, skoro świt jechał autem do kryminału i mu się bramy wjazdowe pomyliły. Przypieprzył z całym impetem w więzienny mur. Jeszcze tego samego dnia kryminał był dla niego przeszłością. Niektórych chłopaków próbowało się wyciągać z tego bagna. Na przykład Tomek, bardzo fajny gość. Niziutki, na zakładzie fizycznie i psychicznie mocny niesamowicie. Ale bez baby, samotny. Wieczorami wszystko topił w wódzie. Raz, drugi przyjechał do roboty i zionął ogniem. Na bramie wyczuwali, więc zanim postawił nogę na terenie kryminału, odsyłali go do domu. Można lubić każdego, ale gdy ktoś odstawia takie akcje, tworzy kumplom dodatkowe problemy, bo przecież awaryjnie trzeba ściągać człowieka

do zmiany. Piąty taki przypadek z Tomkiem był na służbie u Grzegorza. Podwładni poinformowali:

– Tomek poszedł do szatni, ale jest spruty w chuj. Jeszcze chyba dzisiejszy, rano musiał poprawić.

Kilka kroków do szatni. Wystarczyło jedno spojrzenie dowódcy.

– Tomasz, wypieprzaj do domu. Ale umówmy się: to ostatni raz. Wiesz, że jestem konsekwentny i dotrzymuję słowa. Jutro pojedziemy do Aśki, ona prowadzi terapię. Powie ci, jak to załatwić – zakomunikował Grzesiek.

Na drugi dzień osobiście wioził go do ośrodka dla anonimowych alkoholików. Minęły dwa tygodnie. Grzegorz miał wolne, nie było go w robocie. Zadzwoił telefon. Kumple zdali relację: znów to samo. No i wyleciał. Dobry chłopak, tylko co z tego? Wio. Nie było zmiłuj.

W 2018 roku funkcjonariusze służby więziennej 23 razy ponosili odpowiedzialność dyscyplinarną za przewinienia popełnione pod wpływem alkoholu lub podobnie działającego środka. Pięć z tych przypadków zakończyło się wydaleniem ze służby. To jednak tylko te sprawy, które trafiły na papier.

Grzegorz: – Jeśli pytasz mnie, czy za murami się pije, odpowiadam: nie, nawet mimo historii, którą sam przeżyłem w 2012 roku. Jeśli natomiast pytasz, czy alkohol jest problemem, odpowiadam: tak. Wielu funkcjonariuszy stres związany z wykonywaniem tej roboty topi w butelce. Skala się zmniejsza, bo jeszcze kilka lat temu klawisze nagminnie pojawiali się w robocie na wielkim kacu albo w stanie po wczorajszym spożyciu. Dziś jest tego mniej, ale wciąż się to zdarza. Na pewno w większym zakresie niż w każdej innej robocie.

Eska rock, część pierwsza

W *Milczeniu owiec* jest taka scena. Clarice Starling (grana przez Jodie Foster) wchodzi na oddział, by porozmawiać z Hannibalem Lecterem. Mija cele budzących przerażenie psychopatów. W powietrzu unosi się napięcie i obłąd. Jeden z więźniów obrzuca ją lepką substancją.

– Nazywam się Piotrek i pracuję właśnie w takim miejscu. Jestem wychowawcą na esce, czyli oddziale terapeutycznym dla skazanych z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi lub upośledzonych umysłowo. Bez mała setka osadzonych na dwóch piętrach. To oddział dla recydywistów, a w całym systemie służby więziennej nie ma nic gorszego niż superpołączenie recydywista penitencjarny i eska. Co innego oddziały dla niepsychotycznych, ale skazanych po raz pierwszy. Tam większość więźniów normalnie pracuje, zarabia pieniądze. Stwarzają problemy, ale idzie przeżyć. A u nas siedzą ludzie, którzy nie dość, że są poważnie zaburzeni, to na dodatek w dużej części nie zaznali życia poza kryminałem. Wsiąknęli w to miejsce na zawsze. Mierzymy się przez to z takimi problemami, których nawet w filmach się nie widuje. Gdyby nie fakt, że tu pracuję, nigdy bym nie uwierzył, że na świecie istnieją takie miejsca.

Patrz pan, jeża pilnuję

Pociąg Kolei Śląskich powolutku wtacza się na peron. Zimno, już po godzinie 17, robi się ciemno. Piotrek czeka w aucie niedaleko dworca. Trochę po trzydziestce, niepozorna, uśmiechnięta postać. Z auta nie wychodził, żeby nie widzieli go kumple z roboty. To taka godzina, że właśnie tym pociągiem wielu przyjechało do kryminału na nocną zmianę. Knajpa w centrum miasta. Siadamy z dala od innych gości. Szczegółów lepiej im oszczędzić, skoro pochylają się właśnie nad talerzami z makaronem.

– Niedawno poszedłem do psychiatry. Zdążyłem wejść do gabinetu, zamknąć drzwi, usiąść na krześle i powiedzieć, czym się zajmuję. Lekarz poprosił mnie tylko o wyciągnięcie rąk przed siebie. Zerknął na trzęsące się dłonie. Nie

zadając zbędnych pytań, wypisał miesięczne zwolnienie. Jestem właśnie w trakcie ładowania baterii – mówi Piotrek.

– Co jest najgorsze? – pytam.

Mija dłuższa chwila, nim pada odpowiedź.

– Najgorszy jest smród nie swojego gówna – wypala. – Do wszystkiego jesteś w stanie się przyzwyczaić, ale do tego – bez szans. Obcuję z tym codziennie.

Jeden z podopiecznych miał być przeniesiony do innej celi. Nie chciał, więc trzeba było zastosować środki przymusu. Zanim pojawiła się ekipa, osadzony najpierw narobił na łóżko, a później calutki się tym wysmarował. Od czubka głowy do stóp. No i problem, bo jak go stamtąd wyciągnąć? Chłopaki poszli po kombinezony BHP, przebrali się i dopiero tak przyszykowani ruszyli na gościa.

Pewnego razu oddziały zbierał listy. Każdy ma prawo do korespondencji, więc jest tego sporo. Przeszedł po wszystkich celach, idzie do swojej dyżurki i czuje, że coś mu strasznie załatuje. Rzucił koperty na biurko, obwąchał się i mało się nie porzygał. Przejrzał stos listów. Okazało się, że jeden z więźniów narobił do koperty i zaadresował ją do sądu okręgowego.

Jeszcze inny osadzony, by robić funkcjonariuszom na złość, regularnie stawia kloca na środku celi. W gówno wtyka zapalki i kuca nad swoim dziełem, wpatrzony w nie jak w obrazek. Gdy wchodzi funkcjonariusz, osadzony krzyczy: „Patrz pan! Jeża pilnuję!”.

Jeszcze inny magazynuje kał i mocz, by później obrzucać i oblewać tym każdego, kto przychodzi do niego pod celę.

To ledwie procent tej rzeczywistości.

Boże, Kopsnij Rozumu

W dużym skrócie i bez medycznych formułek: zaburzenia psychiczne dzieli się na psychotyczne i niepsychotyczne. Pierwsza kategoria to po prostu choroby psychiczne, które można i powinno się leczyć farmakologicznie. Kto popełnił czyn karalny w stanie niepoczytalności, nie powinien zostać umieszczony w zakładzie karnym, a w szpitalu psychiatrycznym. Z kolei zaburzenia niepsychotyczne nie zniekształcają oceny i odbioru otaczającej rzeczywistości, dlatego cierpiący na nie ludzie mogą odpowiadać przed sądem

i trafiać do więzienia. To skazani przejawiający zaburzenia dyssocjalne, adaptacyjne, zaburzenia zachowania, preferencji seksualnych. Są tu także skazani upośledzeni umysłowo. 31 grudnia 2018 roku w oddziałach dla osób z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi lub upośledzonych umysłowo przebywało 1552 osadzonych.

– Siedzą u nas tacy, u których już na samym początku coś nie zagrało, wręcz w okresie prenatalnym. Gdy czyta się orzeczenia psychologiczno-penitencjarne z ośrodków diagnostycznych, często jest tam charakterystyka nieprawidłowego przebiegu ciąży. Poza tym są to często ludzie ze środowisk patologicznych, w których nie ma mowy o normach społecznych. O kulturze tym bardziej – mówi Piotrek.

– Widać po nich, że odstają od normy? – dopytuję.

– Założmy, że osadzony się jeszcze nie odezwał, bo wtedy wszystko będzie jasne. Oczywiście, że widać. Wyobraź sobie, że spotykasz na ulicy upośledzonego, zachowującego się niestandardowo człowieka. Od razu myślisz, że jest coś nie tak. Są to w dużej części takie właśnie przypadki. Poza tym jest wiele znaków zewnętrznych, które rozwiewają wątpliwości. Na przykład wytatuowane twarze. Na zwykłych oddziałach rzadko się zdarza, by ktoś miał tatuaż na twarzy. Jasne, pojawiają się „cynkówki”, „mgiełki”, „migawki” (małe kropki w okolicy oczu symbolizujące przynależność do grupy grypsujących – przyp. aut.), ale to tyle. A u nas są osoby z wytatuowaną całą twarzą. Na dodatek z wielkim tatuażem „BKR” – Boże, Kopsnij Rozumu – na czole. Albo z wydziabanym na twarzy czymś, co według niego udowadnia, że jest robotem. Poza tym – pocięcia. Przecież niektórzy są cali zdewastowani. Blizna na bliźnie. Ich ręce wyglądają, jakby wsadzili je kiedyś w maszynę do szycia. Wielu z nich nie ma już na ciele miejsca na kolejne cięcia, wszędzie są poharatani. W brzuchy mają powkładane siatki, bo lekarze już nie mieli jak ich zszywać. Po prostu się rozsypywali.

Wkręt o działaniu na szkodę

Piotrek myśli o mieszkańcach tego oddziału i od razu wrzuca ich w konkretne grupy. Pierwsi – jest ich najmniej – osoby bardzo inteligentne. Trafiają tu, bo wiedzą, że będą mogli wykorzystywać innych osadzonych i na

tym zarabiać. Poprzez samookaleczenia zmuszają kierownictwo zakładu, by wysłano ich do ośrodka diagnostycznego, a stamtąd na eskę.

– Z nimi jest największy problem, bo zmuszają, nakręcają, podburzają, wykorzystują mniej inteligentnych i upośledzonych złodziei. Przeniesienie takiego człowieka z powrotem na zwykły oddział to bardzo trudna sprawa. Widzę, że odstaje od reszty, że wykorzystuje upośledzonych, ale procedura trwa. Jak już trafisz na oddział, szybko cię stąd nie przeniosą. Wynika to z ogromu czynności, które skazany musi wykonać, by była podstawa do skierowania wniosku o zmianę podgrupy klasyfikacyjnej. Zajęcia profilaktyczne, psychoedukacyjne, grupowe, indywidualne w zależności od cech psychofizycznych... Cała masa zadań. Trwa to kilka miesięcy – tłumaczy Piotr.

Druga grupa – upośledzeni. Teoretycznie powinna być grupą najtrudniejszą do prowadzenia, ale Piotrkowi pracuje się z nimi najlepiej. To w większości duże dzieci. Skazani, którzy nie emanują agresją i złością, ale stwarzają inne problemy. Trzeba ich na przykład częściej kontrolować i bronić przed silniejszymi oraz bardziej rozwiniętymi.

Trzecia grupa – roszczeniowcy.

– Skargowość to zhora wszystkich oddziałów terapeutycznych w Polsce. Skargi dotyczą dosłownie wszystkiego. Na przykład więzień pisze skargę do ministerstwa, że żarówka świeci na żółto i to jest źle. Bo powinna świecić na złoto. Ministerstwo przyjmuje taką skargę, następnie przesyła ją do Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Centralny Zarząd śle ją do właściwego Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej. A Okręgowy Inspektorat – do wyjaśnienia do nas. I nie masz prawa tego zbagatelizować. Musisz odpisać, wyjaśnić, skąd takie światło w żarówce. Następnie pismo pokonuje taką samą drogę, tylko w drugą stronę. Ostatnio do pawilonu wleciał nam gołąb. Osadzony napisał więc skargę, że Służba Więzienna zorganizowała zamach na jego życie, bo wpuściła gołębia na oddział. Według osadzonego ptak miał za zadanie zarazić go „śmiercionośną” chorobą. Jeszcze inny wystosował pismo, w którym oskarżył nas o działania zmierzające do wykonania na nim kary śmierci, którą jego zdaniem wydali na niego prominentni politycy. To nic, że gość żył do tej pory, jak to się mówi, pod mostem. To nie są żarty. Oni przez zaburzenia naprawdę tak myślą. Na moim oddziale są więźniowie, którzy uważają, że wszystkie służby mundurowe są skorumpowane i współpracują

z ugrupowaniem politycznym, wykonują karę śmierci. A że w Polsce nie ma kary śmierci jako takiej, robimy więc wszystko, by wykończyć ich za kratami, a sekcja zwłok nic nie wykazała. „Robią to poprzez wrzucanie do jedzenia szczątków ludzkich, które chemicznie...” – i opowiada w ten sposób niestworzone historie. Jeśli staniesz przy nim na piętnaście minut, będzie mówił w ten sposób piętnaście minut. Jeśli staniesz przy nim na osiem godzin, będzie mówił bez przerwy osiem godzin. Ślinotok absurdów.

Piotrka najbardziej irytuje roszczeniowość w obrębie więziennej służby zdrowia.

– Jako zwykły obywatel marzyłbym o takim dostępie do lekarzy. Na tym oddziale mają każdego możliwego specjalistę maksymalnie do tygodnia. Raz w tygodniu jest tu psychiatra, dwa razy w tygodniu lekarz ogólny. I to nie dla całego zakładu. Oni są delegowani tylko do tego pawilonu! Stomatolog jest codziennie. Korzystają z tego, jak tylko mogą, i jeszcze piszą skargi. Że pielęgniarka się nie uśmiechała i to uderza w ich godność. Gotuje się we mnie, gdy o tym wszystkim opowiadam. Nie dlatego, że tak się zachowują. Zachowują się tak, bo mają swój świat. Gotuje się we mnie, bo my te skargi musimy później analizować i na nie odpowiadać.

Za moment niezbędna przerwa na fajkę. Ale zanim fajka – jeszcze jedna grupa: samouszkodzeniowcy.

Przyczyna pocięcia: sygnał antenowy

– Niesamowicie trudna grupa. Zawsze chcą już, teraz, natychmiast. Jeśli nie, po kilkunastu sekundach są pocięci i leje się krew. W większości nie chcą zrobić sobie krzywdy, rany są powierzchowne, mają na celu tylko wymuszenie. Czasem jednak przesadzą i w grę wchodzi już ich życie. Staramy się dmuchać na zimne, nie dopuszczać do samookaleczeń. Powody są przede wszystkim dwa: pierwszy związany jest z wychowawcami wciąż mającymi misję pomagania. Uważają, że w przypadku każdego osadzonego jest nadzieja na naprawę. Drugi dotyczy osób, które w tej beznadziei całkowicie zapomniały o ideałach. Robią wszystko, by zapobiegać samouszkodzeniom i nie pisać stosu papierów. Każdy przypadek trzeba wprowadzać do systemu, każdy jest liczony, analizowany. I z każdego funkcjonariusz musi się tłumaczyć. Zawsze pojawia

się wtedy pytanie: „Dlaczego jest tego tak dużo?”. Przełożeni chcą konkretnej odpowiedzi. A to zależy od wszystkiego, również od pogody, ciśnienia atmosferycznego i pory roku. Bywa, że jednego ranka mamy na oddziale sześć samouszkodzeń. Są dni, że nie mamy żadnego. Możesz mi wierzyć albo nie, ale czasem przychodzę rano do pracy, osadzeni zachowują się koszmarnie – demolują cele, krzyczą, tną się. A ja mówię: „Kurczę, chyba będzie padał deszcz”. Mija kilka godzin i jest ulewa. Zdarza się, że w jednym tygodniu na esce dochodzi do kilkunastu samouszkodzeń. Dla pracowników zwykłych oddziałów w zakładach karnych takie liczby są niewyobrażalne.

Tną się wszystkim. Plastikowym nożem jednorazowym, jednorazowymi maszynkami do golenia, które klawisz ma obowiązek im wydawać. Poza tym wszystkim, co uda im się znaleźć. Kawałkiem ostrego kamienia przyniesionym ze spacerniaka. Kawałkiem szyby, którą zbił. Kawałkiem lusterka. Jest przecież wymóg, że w łazience osadzony musi mieć lusterko. Więc rozbijają je, by się ciąć. A tuż po zdarzeniu trzeba mu zapewnić kolejne. Rekordzista na oddziale Piotrka miał w ostatnim czasie ponad 300 szwów. Ręce, policzki, głowa, szyja, klatka, łydki. Cela wyglądała jak po teksańskiej masakrze.

– Dlaczego się pociął? – dopytuję.

– Nigdy byś nie zgadł. To gość z kartoteką jak cały PRL. W aktach ma wyraźnie wpisane: „Powód dokonywania samouszkodzeń: sygnał antenowy”. Wystarczy, że niebo się lekko zachmurzy, telewizja zaczyna szeleścić, a facet momentalnie jest pocięty. Na pierwszy rzut oka nie do stwierdzenia, ale w notatkach służbowych od dawien dawna przy każdym pocięciu figuruje wzmianka o telewizorze. Temu nie da się zapobiec. Musiałby siedzieć ze mną dwadzieścia cztery godziny na dobę, żebym błyskawicznie miał możliwość reagowania, przeszkodzenia mu. A to niemożliwe.

Samookaleczenia na tym oddziale zdarzają się takie, że trudno je objąć rozumem. Przykładów jest tyle, że można nimi robić emocjonalne naloty dywanowe. Pewnego dnia jeden z osadzonych wyrwał ze ściany kran starego typu. Taki długi, zakrzywiony. Wsunął to sobie do gardła, a że nie mógł przełknąć, zeskoczył z całym impetem z łóżka, by metal zsunął mu się do żołądka. Skomplikowana operacja, ledwo przeżył. Inny nie wiadomo jakim cudem przemycił do celi druty z parasolki i połknął je w całości. Jeszcze inny zrobił sobie „krzyżak” z kilku śrub i kawałka metalowej siatki, która spadła na

parapet podczas remontu dachu. Próbował to połknąć, gardło i przełyk poranił tak dotkliwie, że jest już po czterdziestu operacjach.

– To bardzo zaburzony osadzony, ale efekt swojego zachowania poczuł na sobie. Bo stracił zdrowie, bo go bolało i wciąż boli. Gdybyś jednak wszedł teraz na oddział i powiedział im o abstrakcyjnym „zagrożeniu życia”, otworzyliby tylko paszcze i zaczęliby się drapać po głowach. Nie mieliby zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Dla nich informacja o „zagrożeniu życia” jest tyle samo warta co komunikat, że pojutrze w Nowym Jorku spadnie deszcz. Nie rozumieją tego.

Nie jestem delikatny, trudno mnie obrzydzić. Raz zdarzyło mi się jednak zwymiotować tuż po wejściu do celi. Osadzony dokonał samouszkodzenia. W na tyle nowatorski sposób, że krew tryskała mu ze zgięcia łokciowego, leciała łukiem i spadała na ziemię, gdzie tworzyła się biała piana. Do celi wszedłem dynamicznie w reakcji na krzyk, nie wiedziałem, że facet się pociął. Wszedłem i się na tej krwi poślizgnąłem. Momentalnie uderzył we mnie straszliwy fetor. To było gorące lato, więc obrzydliwy smród krwi na posadzce mnie rozmontował – wspomina wychowawca.

Skazani robią to przede wszystkim w celu wywarcia wpływu na administrację. Na przykład tylko zmianę osadzenia. Ale są też samouszkodzenia na tle emocjonalnym. Te często zamieniają się w próby samobójcze. Na oddziale jest kilka cel monitorowanych, w tym też dla enek, czyli więźniów niebezpiecznych.

Funkcjonariusze mają takie powiedzenie: „Jeśli ktoś bardzo chce się zabić, w końcu to zrobi. Nie masz szans, żeby temu zapobiec”. W środowisku krąży opowieść o facecie, którego podejrzewali o samobójcze myśli. Wsadzili go do celi z łóżkiem przytwierdzonym na stałe. Nic więcej tam nie było, więc teoretycznie nie miał możliwości, by zrobić sobie krzywdę. Wszedł jednak na łóżko i skoczył głową na ziemię, by skrócić sobie kark. No i skrócił. Tak spektakularnego przypadku Piotrek jeszcze u siebie nie miał, ale inne owszem. Najczęściej powieszienia. Ostatnie kilka tygodni temu. Facet wstał w nocy, po cichutku, nie włączając światła, poszedł do kącika. I już stamtąd nie wyszedł.

Piotrek za chwilę opowie o miłości na oddziale dla niepsychotycznych. Ale to by było na raz zbyt wiele.

– Idź, przyjaraj, ochłoń. Poczekamy.

Siedem grzechów.

Chciwość

– Co jest? – rzuca w słuchawkę wołającego domofonu Grzesiek. Wtedy robił jeszcze na oddziale.

– Panie oddziałowy! Można na słowo?

Funkcjonariusz od razu rozpoznaje głos. To Włodek Karczewski, jeden z najgorszych bandziorów ulokowanych w tej części kryminału. Akta wyłożone na kilkumetrowym stole w sądzie dawały obserwatorom rozprawy jasno do zrozumienia: gościowi siedzącemu na ławie oskarżonych z prawem było w życiu wybitnie nie po drodze. Dowodził zorganizowaną grupą przestępczą. Wyjątkowo brutalną, bezwzględną. Okradali transporty, ściągali haracze, porywali ludzi dla okupu. Jej członkowie na bardzo długiej liście grzechów odhaczyli w trakcie kilkuletniej działalności wszystkie możliwe pozycje.

– Podejdzie pan? To ważne – jeszcze jedno, grzeczne jak na otoczenie zdanie.

Przywódcy najgorszych, najbardziej bezwzględnych organizacji są za kratami przeważnie ułożeni, spokojni. Nigdy nie robią większych problemów. Choćby dlatego, że od kręcenia afer mają tam swoich ludzi. Inni się brudzą, a oni zawsze na peroncie stają na baczność, czyściutcy, wyprasowani, „dzień dobry, panie dowódco, do widzenia, panie oddziałowy”.

Grzesiek idzie pod 113. Nie chce mu się schylać do karmnika, więc ciągnie zasuwę, przekręca klucz i uchyla drzwi. Karczewskiego nigdy się nie bał, choć tamten aparycję miał bardziej gościa przeciągającego sznurkiem tiry niż wiolonczelisty. Zawsze dobrze żyli, dogadywali się. Złodziej patrzy, lekko się uśmiecha i chce coś powiedzieć, gdy nagle, przez szparę między drzwiami a futryną, widzi Wojtka, młodego wychowawcę. Chłopak zatrudnił się raptem kilkanaście dni wcześniej. Przyszedł tu do roboty z zakładu oddalonego o 60 kilometrów. Karczewski momentalnie zmienia front, robi się czerwony, jak wściekły byk rusza przed siebie. Drzwi, a Grześka razem z nimi, odrzuca jak firanę.

– Ty szmato jebana! Wzięłeś pieniądze i gdzie jest interes zrobiony?! Łatwo się przytuliło, szmaciarzu, co?! – wydziera się bandzior, trzymając młodego za fraki. Na oddziale poruszenie. Akcja trwa jednak tylko chwilę.

– Puść go! Puść go, kurwa! W tej chwili na celę, bo źle ci się dzień skończy! – szybka reakcja Grześka gasi pożar. Zasuwa, klucz. No i pytanie: o co chodziło?

– O co dokładnie chodziło? – pytam Grześka po kilku latach od tego zdarzenia.

– Dokładnie? Pojęcia nie mam. A ogólnie? To proste: o złodziejsko-klawiszowskie interesy – odpowiada. – Gdybym wtedy nie zareagował, Włodek by tego chłopaczka rozmazał o ścianę. Wracając jeszcze pod celę, rzucił mu na twarz dwie kurwy. A młody blady jak ściana. Był krok od zesrania się w gacie ze strachu. Nie dość, że przerażony, to na dodatek reakcją przyznający się do winy.

Grzesiek napisał z tego zdarzenia oficjalną notatkę. Wychowawca, zanim papier trafił do dowódcy zmiany, próbował jeszcze interweniować. „Weź tego nie pisz. Przecież to jakieś stare tematy. Trochę z nim zadarłem, dostał za to dolewkę, to teraz się mści” – tłumaczył. Notatka trafiła wyżej. Co dalej było ze sprawą, trudno powiedzieć. Chyba nic poważnego, bo żadnej afery z tym związanej nie odnotowano.

– Ostatnio byłem na dużej zakładowej imprezie. Kilka setek osób, oficjele z okręgu i centrali. Wyszedłem na papierosa, a przed budynkiem cała zgraja ludzi. W środku, centralnie, zabawiający ich Wojtuś. Zobaczył mnie i serdecznie przywitał: „O, cześć! Dalej jesteś tak ambitny i piszesz notatki na kolegów?”. A mi jakby ktoś w mordę strzelił. Poczułem, jak uśmieшки lądują na moim pagonie. „O, cześć, Wojtuś! A tobie pokończyły się już wszystkie złodziejskie sprawy? Bo jak twoi kumple wyjdą z chlewa, to taki radosny już nie będziesz” – odpowiedziałem i przyjarałem fajka. Uśmiezków już nie czułem.

– Klawisze często układają się ze złodziejami?

– Często. To w więziennictwie duży problem – uważa Grzesiek.

W pasek wyszukiwarki wystarczy wklepać frazę: „Afera w zakładzie karnym”. Około 300 tysięcy wyników wyszukiwania. Najciekawsze? „Głos Wielkopolski”: „W zakładzie karnym we Wronkach rozbito szajkę, która sprzedawała narkotyki w więzieniu. Wśród zatrzymanych są funkcjonariusze”.

TVN24: „Czterem osobom, w tym dwóm funkcjonariuszom Służby Więziennej Zakładu Karnego w Sztumie, postawiono zarzuty dotyczące dostarczenia więźniowi narkotyków. Jeden z funkcjonariuszy miał wziąć za to łapówkę. Został aresztowany”. I tak dalej.

– Przez takie zachowanie podwładnych miałem w zakładzie duże afery. – Marek wspomina czasy, gdy był dyrektorem w kilku zakładach karnych i aresztach śledczych. – W latach dziewięćdziesiątych bardzo trudno było się dostać do więziennictwa. Wokół ogromne bezrobocie, padały kolejne fabryki. A tu? Budżetówka, pewny pieniądz. I przede wszystkim pieniądz solidny, pozwalający na godne życie. Lata jednak mijały, czasy się zmieniały, kraj się rozwinął. Poziom życia Polaków poszedł do góry. Gdy zaczynałem pracę, na sześćdziesiąt zatrudnionych osób tylko pięć miało samochody. Gdy odchodziłem niedawno na emeryturę, tylko dwóch chłopaków nie miało aut. Człowiek ma dziś zupełnie inne potrzeby. Jest większy dostęp do towaru, usług, dóbr. Wycieczki zagraniczne, przyjemności, zajęcia dodatkowe dla dzieciaka. Człowiek chce korzystać z życia. Jak ma jednak to robić, jeśli po przyjściu do roboty w kryminale dostaje pensję na poziomie dwa tysiące dwieście złotych brutto?! Czy to jest wystarczająca kwota dla trzydziestoletniego mężczyzny, który musi utrzymać żonę i dwójkę dzieci? To jest kpina. I tu niestety pojawiają się dla funkcjonariuszy pokusy. Żeby nie został jednak źle zrozumiany: nie usprawiedliwiam zachowania godnego potępienia, jakim jest nielegalny kontakt i współpraca z osadzonym. Staram się tylko pokazać szerszy kontekst.

Marek przez całą swoją karierę wywalił za to z zakładu trzech ludzi. Co ciekawe, nie wszyscy z nich byli strażnikami. Jeden pełnił funkcję więziennego kapelana. Regularnie przenosił za mury grypsy. W końcu padło na niego podejrzenie. Dokładna kontrola, wywalone kieszenie, a tam wiadomości dla osadzonych. Krzyż na drogę.

– W kwestii nielegalnego kontaktu problemem jest też środowisko. Miałem ten plus, że gdy zaczynałem pracę, jeszcze jako strażnik w pierwszym kontakcie, byłem z zewnątrz. Przyjechałem tu do roboty z innego miasta. Nie miałem kolegów z podwórka, rodziny. Ale ci, którzy się ze mną przyjęli, mieli gorzej. Bo za kratami mieli koleżków, wujków, szwagrów. I każdy prosił o pomoc. Zawód wymaga zdystansowania. Przyznaję jednak, że rozumiałem

niektórych wpadających na tym kumpli. Trudno być zawsze zdystansowanym, jeśli o pomoc prosi cię najbliższa rodzina. Przypadków za mojej kadencji jako dyrektora było wiele, jednak skończyło się tylko na trzech zwolnieniach. Po prostu nie zawsze pisało się z takich zdarzeń papiery. Analizowało się sprawę i jeśli nie było to niebezpieczne zachowanie, wystarczało pogroźnięcie palcem. Albo pstryczek w ucho. Nie na tym polega kierowanie ludźmi, żeby zawsze ich karać najwyższym wymiarem kary.

Zdarza się też, że organizacje przestępcze mają interes, żeby „włożyć” swojego człowieka do zakładu – kontynuuje Marek. – Zatrudnia się i funkcjonuje za murami jako szpieg, łącznik. Nie wiesz o tym aż do momentu, gdy wpadnie. Albo gdy się zwolni, a ty poskładasz zdarzenia w jeden obrazek. Zawsze wiedziałem, ile wylewało się z zakładu zupy, więc zrobiłem analizę. Wyszło mi, że szpiegami musieli być konkretni funkcjonariusze, którzy zwalniali się na przykład po dwóch latach pracy.

Nosi się różne rzeczy. Grypsy, telefony komórkowe, tablety, narkotyki, alkohol.

Karol, oddziałowy: – Chciałbym wierzyć w jasną stronę mocy, ale niestety wiem, że klawisze dorabiają w ten sposób. Wiem, że oddziałowi w innych zakładach biorą od złodzieja pięć dych za wniesienie pół litra wódki. Taka to frajerska stawka. Niedawno na kipsiszu znalazłem w celi trzy stówki. Bankowo było to przyszykowane dla strażnika za wniesienie telefonu. Zarekwirowałem, przekazałem wychowawcy, poszło do depozytu. Złodzieje byli na mnie wściekli. Z oskarżeniami o noszenie trzeba jednak bardzo ostrożnie. Niedawno we Wrocławiu była głośna sprawa: funkcjonariusze zostali posądzeni o udział w tego typu procederze. Prokurator postawił klawiszom zarzuty, po czym okazało się, że to osadzeni założyli „spółdzielnię” i jechali równo ze strażnikami. Ściemniali i zwalniali w ten sposób wszystkich, którzy im zaszedli za skórę. Zarzuty okazały się wyssane z palca. Cóż jednak z tego, skoro chłopaki są dawno poza służbą?

W ostatnich latach do centrali było zgłaszanych w skali całego kraju średnio od kilku do kilkunastu przypadków nielegalnego kontaktu funkcjonariuszy z osadzonymi. Wiązało się to z uruchomieniem procedury i wymierzeniem kar dyscyplinarnych, a w niektórych przypadkach z wydaleniem ze służby. W 2017 roku z pracą pożegnało się w ten sposób trzech klawiszy. Rok później –

czterech. Ilu dostało po prostu po uchu od kierownika ochrony bądź dyrektora, bez pisania kwitów – takich danych nie poznamy nigdy. Ciemnej liczby nie zna nikt. Skala jest jednak na pewno o wiele większa, niż mówią oficjalne dane.

Andrzej nie przypomina sobie, żeby ktokolwiek wyleciał z jego zakładu za tego typu współpracę z osadzonymi. Przemyt sam w sobie to jednak coś, z czym walczy się za murami non stop.

– Złodzieje i ich ludzie mieli zawsze tyle sposobów, ile głów nad nimi myślało. Z upływem lat musiały się przez to zmieniać przepisy. Nie można już było podawać kielbas w paczkach, orzechów włoskich, jogurtów. Milion rzeczy było zabronionych, bo we wszystkim znajdowało się narkotyki bądź inne przedmioty. Przykład? Żółty ser, taki w bloku, oryginalnie pakowany. Okazało się, że ktoś w mleczarni zatopił komórkę w serze, później zapakował w folię i przywiózł do zakładu. Udało się to wykryć, bo oddziałowy przed wydaniem chciał ten ser przekroić. Dalej: pasta do zębów. Niemiecka, oryginalnie pakowana, ze zgrzanym plastikowym dzióbkiem. Oddziałowy wyczuł jednak, że coś było nie tak, bo tubka zbyt trudno się zginała. W środku była aluminiowa rurka z czterema gramami amfetaminy. Jak na zakład karny to ilość hurtowa. Jeszcze dalej: złodziej za zgodą dyrektora dostał telewizor. Rodzina przywiozła pudło. Klawisze mają obowiązek taki sprzęt rozkręcić śrubka po śrubce. Efekt? Za kablami, znakomicie ukryta, podklejona do obudowy, była komórka. Zresztą telefon nie musi trafić do złodzieja bezpośrednio na zamek. Wystarczy, że obok zakładu przejedzie auto, ktoś odkręci szybę i wrzuci telefon przez mur na spacerniak. Kto tego pilnuje? Nikt! Przecież teraz nawet kogutkowego nie ma na budzie. Fakt: gdy złodzieje wychodzą na spacer, oddziałowy musi sprawdzić teren. Ale przecież nie będzie patrzył co trzy centymetry. Poza tym na spacerniak wychodzą też złodzieje P2 albo P3. Nikt ich wtedy nie pilnuje. Znajdują telefon, wracają na oddział i później ich w tym głowa, żeby komórkę dostarczyć adresatowi na zamek. Sposobów jest sto milionów. Osadzeni tam też wychodzą do pracy, na kuchnię, na warsztaty. Widzą się z innymi. Zresztą co ja będę dużo gadał. Wyobraź sobie: w jednej części zakładu siedzi kobieta. W zupełnie innej części – mężczyzna. Nigdy w życiu się nie spotkali, na oczy się nawet nie widzieli. I nagle okazuje się, że ona jest z nim w ciąży. Jak myślisz, jak to możliwe? Chabeta, czyli przerzucając jak najszybciej, na sznurkach, oknami od celi do celi, złodzieje przekazali spermę w kondomie na

drugą stronę kryminału. I zaciążyła. Jeśli więc złodziej coś sobie wymyśli, klawisz musi naprawdę stanąć na głowie, żeby mu to uniemożliwić. W przeciwnym razie więzień jest w stanie zrealizować każdy pomysł. A jeśli mówimy o współpracy skazanych z klawiszami oraz przemyście, funkcjonariusz nie musi przecież sam czegokolwiek wnosić. Wystarczy, że po prostu przymknie na coś oko.

Andrzej przypomina sobie sytuację. Wspomina ją zawsze, gdy chce zobrazować podstawową zasadę funkcjonowania za murami. Idą z psem przez oddział. Jedna cela, druga, pies wącha, szuka prochów. Wchodzą na areszt, kolejne cele. I nagle – znalazł! Afera! Narkotyki w zakładzie! Okręg został poinformowany, że pies w toku prowadzonych czynności znalazł niezidentyfikowany biały proszek. Prawdopodobnie narkotyki, które zostały wysłane do badania. Nie mieli jeszcze w zakładzie narkotesterów, więc przyjechała policja. Obadali prochy, po czym wszyscy pękli ze śmiechu.

– Robicie aferę, a to przecież proszek do pieczenia! – i dalej w brecht.

– Jak to proszek? A pies?! – dopytuje dowódca zmiany.

– Bo proszek ma w sobie substancje, które psy wskazują jako narkotyki.

Okej, wszystko jasne. Ale skąd Rosjanka, bez widzeń – kobieta z Nowosybirsk, złapana niedługo wcześniej podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy – ma proszek do pieczenia pod celą?! Ogólnie superbaba, do rany przyłóż, jaka tam złodziejka. Po prostu bez wizy chciała wejść do Niemiec. Dużo tu takich siedzi. Dwa tygodnie na areszcie, później deportacja i tyle jej było w lepszym świecie. Z niej taki przestępca jak z papieża. Albo może nawet papież jest większy bandzior od niej. Sytuację trzeba jednak wyjaśnić. Idą, dopytują, ale ona nic nie wie.

– Panie! Jakie narkotyki?!

– Skąd pani to ma?

– Bo ja chciała na kuchence upiec naleśnika! I nie było proszku do pieczenia, to ja powiedziała panu na spacerze, temu od was, temu z wąsami, żeby mi przyniósł proszku do pieczenia. Jaki dobry ten człowiek!

– Kiedy to było?!

– Przedwczoraj.

Biegiem na wartownię, książka, rozpiska spacerów. Sprawdzają: 8 kwietnia, spacer, godzina 10.

– Gienek! Chryste Panie, co za gamoń!

– No okej, ale co to za przewinienie? Zerowy kaliber – komentuję.

– Człowieku, jaki zerowy kaliber! Jeśli gość wniósł taki proszek, to mógł wnieść każdy inny. Mógł wnieść broń, amunicję – wszystko! Właśnie o to chodzi, po prostu nie wolno utrzymywać takich kontaktów!

To nie jest jednak tak, że „współpraca” funkcjonariusza z osadzonym ma tylko zły, czarny wymiar. Pewnego dnia klawiszowi zginął samochód. Wieczorem stał jeszcze pod blokiem, ale rano, gdy dzieciaka trzeba było wieźć do szkoły – puste miejsce. Szukaj wiatru w polu. Sprawa została zgłoszona na policję, ale klawisze zaczęli działać na własną rękę. Grzesiek miał na oddziale „kolegów” złodziei, o których wiedział, że wciąż kręcą tym interesem zza murów.

– Zginął mi opel astra. Zielony, na takich blachach. Weź, Wuj, pomóż mi to znaleźć. Będziesz miał tu lepiej – mówi do jednego z nich.

Chłopak się tylko uśmiechnął, podszedł do telefonu, wykręcił numer. Nawet się nie przedstawił, nie przywitał.

– Na Osiedlu Słonecznym zginął we wtorek rano opel astra. Do jutra rana ma być na swoim miejscu – wycedził. Bez pożegnania rzucił słuchawką. Klawisz rano się obudził, zerknął przez okno, a auto stało tam, gdzie je dwa dni wcześniej zaparkował.

Podobna sytuacja miała miejsce pewnej późnej wiosny. W jednym z miast wojewódzkich odbywała się duża, międzynarodowa konferencja połączona z ćwiczeniami, odprawami i strzelaniami. Przyjechała delegacja z Niemiec. W aucie sześciu gości. Do tego cały kufer broni na pace. Pistolety, strzelby, karabiny – wszystko. Podjeżdżają pod strzelnicę, ale zanim ćwiczenia, wiadomo – polska gościnność. Szeregowy krawężnik przekazał informację od komendanta: „Zapraszamy na mały poczęstunek”. Niemcy podjechali więc pod komendę wojewódzką. Auto zaparkowali tuż przy głównym wejściu.

– Wychodzą po jakimś czasie, patrzą, a tam samochodu nie ma. Samochodu z bronią, rozumiesz?! Międzynarodowy skandal! – wspomina ze śmiechem Grzegorz. – Nówka transporter, dopiero co zjechał z taśmy, na dodatek

nieoznakowany. Złodziej aż się ślini, gdy taki widzi. A przecież nie ma auta, którego nie da się ukraść. Mądry złodziej skroi wszystko. Niemcy – konsternacja i panika. Nasi nie wieźli ich nawet na strzelnicę, tylko od razu posłali swoją kabaryną do Berlina. Wstyd niebywały. Całe województwo, tysiąc dwieście osób, momentalnie zostało zaprzęgnięte do roboty przy tym temacie. Sprawy w swoje ręce wziął w końcu stary, doświadczony policjant. Znał wszystkich bandziorów i miał takie same metody działania jak my w więzieniu. Na gangusa, o którym wiedział, że kręci całym miastem, nasłał „czarnych”. O szóstej rano zrobili mu wjazd na chatę. Granaty hukowe, kominiarki – po prostu Hollywood. Powieźli go w kajdankach na komendę.

– Do rana wóz z bronią ma się znaleźć, bo ty, kurwa, nie sprzedasz nawet lewego papierosa w tym mieście. I ty, i wszystkie twoje frajery pójdziecie pierdzieć w pasiaki. Uwierz, poświęcę całą swoją karierę, żebyś miał złe życie. Jutro widzę furę. A teraz cię nie ma. Wypierdalaj stąd – powiedział gliniarz. I go puścili. Minęło kilka godzin, na komendzie zadzwonił telefon. „Kufel z bronią stoi w starym golfie na cepeenie pod Wrocławiem. Busa nie uratowałem. Niech go Niemcy kupią w częściach. Dawno rozkręcony”.

Przenikanie się środowisk funkcjonariuszy i więźniów to jednak kwestia o wiele szersza niż nielegalny kontakt. Często ma to także wpływ na zwykłe życie poza murami.

– Wyobraź sobie, że mieszkasz i pracujesz jako klawisz w małej przygranicznej miejscowości. Działa tam nieduży areszt śledczy. W środowisku mówi się na to miejsce „Caracas”, bo miasteczko stoi złodziejami. Chyba każdy mieszkaniec już siedział. A jak jeszcze nie siedział, to siedział będzie. Złodzieje doskonale znają więc funkcjonariuszy, mijają się na ulicach, witają się w kościele, stoją w tych samych kolejkach w mięsny. Idziesz do miejscowej restauracji ze swoją kobietą i dwójką znajomych. Normalne prawo każdego z nas, by czasem się pobawić. Zanim zdążysz zająć stolik, podchodzi do ciebie wielki koń, chwyta za ramię i burczy: „Albo stąd wypierdalasz, albo masz zaraz ryj obity”. No i co zrobisz w takiej sytuacji? Bić się będziesz?

Dokładnie takie coś spotkało niedawno mojego szwagra. Wyszli z knajpy, na stacji benzynowej zjedli po hot dogu, wzięli pod pachę zero-siedem, popitkę i poszli się napić w domu.

To już jednak zupełnie inna historia. Sposób, w jaki możesz zostać potraktowany na ulicy, jest najczęściej wynikiem tego, jak zachowujesz się za murami.

Eska rock, część druga

– Przepraszam, nie jestem w stanie długo wytrzymać bez fajka. Nie mam innych nałogów, nie piję, nie ćpam, ale papierosów rzucić nie umiem. Tyle czasu gadać i nie zapalić? Sam się sobie dziwiłem – mówi Piotrek, ściągając kurtkę i popijając dawno wystygłą latte. – To na czym skończyliśmy? A, miała być miłość. *Love story*. Wielkie uczucia między osadzonymi na esce. Zagadnienie jest powszechne, bardzo częste i dotyczy wszystkich grup, o których ci mówiłem. Nie tylko upośledzonych.

Zrobię loda za papierosa

Doskonale pamięta zdarzenie z jego pierwszych dni pracy na oddziale. Przez chaos, który tu zastał, chodził totalnie oszołomiony. Niewiele brakowało, by na amen dobił go starszy kolega, bardzo doświadczony oddziałowy.

– Chodź, młody, szybko! – krzyknął do Piotra tuż po tym, jak zajrzał przez wizjer. Poważna mina i jeszcze poważniejsza komenda to w tym miejscu przecież nic nadzwyczajnego. – Zobacz, co tam się dzieje! Oni chyba coś kombinują! – podkreślił temat.

Wychowawca zrobił pięć szybkich kroków, nawet nie zerknął przez kukiel. Zasuwa górna, zasufa dolna. Otworzył drzwi i o mało nie doznał zawału serca. Jak stał, tak zbladł. Jego oczom ukazali się dwaj Cyganie, zupełnie bez skrępowania uprawiający seks analny. Oddziałowy mało nie pękł ze śmiechu, gdy zobaczył reakcję młodego.

– To chyba jedno z najbardziej traumatycznych wspomnień, jakie mam zza murów. Od razu pomyślałem sobie: „Matko Boska, gdzie ja trafiłem? Co ja tu, do jasnej cholery, robię?”. To był moment, w którym na poważnie zastanawiałem się nad rzuceniem tej roboty – wspomina wychowawca.

Męski oddział dla skazanych z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi lub upośledzonych umysłowo to miejsce specyficzne na mapie kryminałów również z powodu seksualnych kontaktów osadzonych. Na zwykłych, kobiecych oddziałach homoseksualne kontakty to norma. Gdyby

doszło do takiej sytuacji w męskiej części kryminału, momentalnie wylałoby się to poza celę. A gdy się wylewa, amatorzy takich zabaw w okamgnieniu są degradowani na samo dno więziennej drabinki. Z kolei na esce takie kontakty są częste, wynikają z głębokich zaburzeń osadzonych.

Piotr: – Znam dokumenty wszystkich „mieszkańców”. Wielu z nich w przeszłości było ofiarami wykorzystania seksualnego. Pedofilskiego dotyku ojca, wujka, brata czy księdza. Poza tym zdecydowana większość z nich nie pochodzi z normalnych domów. Najczęściej wywodzą się z głębokiej patologii, spod mostów, z noclegowni, melin. Różnego rodzaju dewiacje są w takich miejscach obecne i akceptowalne. Seksualne zachowania na naszym oddziale są wynikiem w chory sposób pojmowanej „miłości”, ale także po prostu chęci zapalenia papierosa, dostania dodatkowej porcji jedzenia, zjedzenia czegoś słodkiego z paczki od rodziny. No i kawa. Za kawę też można tu wiele zrobić. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi godzących się na takie kontakty oczywiście się tym nie afiszuje. Z naszej strony musi zaistnieć daleko idąca profilaktyka. Nawet jeśli mam tylko podejrzenie, bez pewności, że między dwoma skazanymi może się coś takiego dziać, muszę od razu reagować. Wystarczy, że zbyt długo siedzą ze sobą w celi bez konfliktów i to już dla mnie sygnał, czerwona żarówka. Znajdują się również tacy, którzy wprost, na spacerze, ogłaszają swoje usługi. „Zrobię loda za papierosa!” – krzyczy gość, a my od razu musimy interweniować. Po pierwsze – nie dopuścić, by oferta została zrealizowana. Po drugie – chronić takiego człowieka. Nigdy nie wiadomo, czy odważny i na swój sposób przedsiębiorczy złodziej po wyjściu na spacer w ogóle z niego wróci.

Są tu również osoby deklarujące odmiennosc płci. Jeden z panów poinformował, że rozpoczął terapię hormonalną, a zaraz po wyjściu na wolność ma przejść operację zmiany płci. Zaznaczył wyraźnie, że w więzieniu nie szuka wrażeń, od nikogo niczego nie chce. Bo on z mężczyznami to nie potrafi. Oddziałowi bardzo dokładnie mu się przyglądali i okazało się to blefem, bo błyskawicznie zakochał się we współosadzonych i dążył do wspólnego osadzenia – wiadomo, w jakim celu. Zespół musiał mieć oczy dookoła głowy, żeby nikt go po prostu nie zabił. Pewnego dnia wyszedł na spacer, oczywiście stawiając kroki z kobiecą gracją, a cały kryminał ryczał z cel, że go rozjadą. Strażnicy zgarnęli chłopaka ze spacerniaka, zrobili wszystkie możliwe

czynności, włącznie z zaprowadzeniem na zakupy do kantyny i do łaźni. Gdyby puścili go od razu na oddział, mogłoby być nieciekawie.

– Zapobieganie kontaktom seksualnym to jedno z naszych głównych zadań. Homoseksualizm sam w sobie nie jest chorobą, ale stosunek to zagrożenie ich przenoszenia. Przecież większość z tych ludzi nosi w sobie mniej bądź bardziej poważne choroby. Nie wyłączając wirusowego zapalenia wątroby czy HIV. Odkąd tu pracuję, trzy razy zdarzyło mi się przyłapać osadzonych na gorącym uczynku. Zawsze jest to dla mnie doświadczenie wstrząsające – przyznaje wychowawca.

Gościu, co ty tutaj robisz...

Siedzą w celach jednoosobowych, podwójnych i potrójnych. Żaden wychowawca nie wyobraża sobie tu większych cel, takich, jakie są na pozostałych pawilonach. Piotrek na oddziale dla niepsychotycznych robi więcej zmian osadzenia w ciągu tygodnia, niż robił na zwykłych oddziałach w dwa miesiące. Każdego dnia wybuchają konflikty, pojawiają się niezgodności charakterów. Czasem oczywiście o skrajnie absurdalnym podłożu.

– Chłopak ma w celi telewizor i uważa, że ten telewizor do niego mówi. Ogląda, akurat leci reklama. I on tę reklamę czyta jako przemówienie kierowane do niego, że ma zrobić krzywdę współosadzonemu. Wstaje, chwyta taboret i zaczyna okładać kompana – opowiada. – Albo wchodzisz do celi, sprawdzasz, co robią. Grają w karty, jest spokój. Mijają trzy minuty, a w celi wybucha trzecia wojna światowa. Lecą szyby, osadzeni okładają się pięściami, rzucają taboretami. Bo pokłócili się o kartę. O krzywe spojrzenie. O otwarcie okna. Porównuję to do sytuacji, w której pomieszczenie wypełniłbyś gazem i nagle pojawiłaby się malutka iskierka. Co ważne, zdecydowana większość osadzonych na esce ze względów bezpieczeństwa nie kwalifikuje się do siedzenia samemu. Muszą siedzieć w dwójkach lub trójkach. A co, jeśli każdy z każdym już siedział? Jeśli każdy z każdym się pokłócił, poszarpał? Na szczęście z nimi jest jak z dziećmi. Dziś się biją, jutro są przyjaciółmi. No i porządek: w ciągu ostatnich czterech lat miałem ledwie dwie osoby, które może nie były czyściochami, ale wychodząc z celi, były czyste. Na całej reszcie po prostu rośnie brud. Nie mogę ich zmusić, na siłę zaciągnąć do łaźni. Jeśli

jednak nie przypilnuję, czasem nawet sposobem nie namówię na wyjście pod prysznic, to sam na to nie wpadnie. To owocuje takim syfem, wręcz niebywałym smrodem, że naprawdę nie umiesz sobie tego wyobrazić.

Siedzi tu każdy wymiar kary. Od pół roku do dożywocia. Krótkie wyroki to przeważnie upośledzeni. Włamał się komuś do altanki, ukradł kosiarkę, sprzedał, a pieniądze przepił. Inny mieszka na popegeerowskiej wiosce, w której sklep jest otwarty od godziny 12 do 14. Wsiadł pijany na rower i jechał do sąsiedniej wioski po wino. Zatrzymali, statystyki, zamknęli. Piotrek patrzy czasem na niektórych i w duszy pyta: „Gościu, co ty tutaj robisz?”. A on upośledzony. Ukradł rurę ze złomu. Albo nasikał w parku. Trzeba było wyrobić statystyki, więc policja go skasowała, a sąd dał rok wyroku. Siedzi tu na przykład chłopak bez szkoły, który pracował u bauera. Cwaniak mu nie płacił, więc chłopak przyszedł i zrobił awanturę. Rolnik za telefon, na policję, oskarżył go o grożenie śmiercią. Radiowóz, półtora roku. Siedzi w celi i płacze jak dziecko: „Ale za co? Ja tylko chciałem swoje pieniądze!”.

Bądźmy jednak uczciwi. Całe tuziny to tutaj skazani na ćwiary albo dożywocia. Popelnili takie czyny, że od samego opowiadania o nich ręce się trzęsą. Piotrek opowie. Ale później, po następnym fajku.

Prawdziwe zwierzęta

Robota jest wykańczająca psychicznie również z innego, podstawowego powodu. Spokoju nie daje bezustanny stan zagrożenia. Niebezpieczeństwo, które może nadejść niespodziewanie i z każdej strony. 60 procent osadzonych to wprawdzie ludzie upośledzeni, niestanowiący zagrożenia fizycznego. Ale reszta, czyli kilkadziesiąt osób? Gdy przyjmuje się ich na oddział, robi się to w asyście funkcjonariusza. Do tego złodziej musi być w kajdankach. Każda inna czynność też w asyście, w kajdankach. W oddziale funkcjonuje specjalne pomieszczenie, w którym między drzwiami a osadzonym jest jeszcze krata grodziowa. Wszystko po to, by skazany nie zrobił krzywdy na przykład psychologowi przeprowadzającemu z nim oddziaływanie. Gdy tego pomieszczenia nie było, skazani notorycznie pisali skargi, że musieli się poddawać oddziaływaniom, a nad nimi stali żołnierze z atandy. I że nie mogli się wtedy uzewnętrznąć.

Przełożeni życia zazwyczaj nie ułatwiają.

Klawisze mogli kiedyś podawać posiłki przez karmniki, czyli otwory w drzwiach. Wydano jednak zarządzenie nakazujące otwieranie wszystkich drzwi.

– Ale na Boga! Przecież oni są skrajnie niebezpieczni! Jest tu wielu takich, których bez przesady można nazwać prawdziwymi zwierzętami. Tylko czekają, aż będą mogli zrobić ci krzywdę – opowiada Piotrek. – By przeprowadzić ich z punktu A do B, musi to robić trzech funkcjonariuszy, pozakładać im kajdanki na ręce i nogi. Nie liczą się z niczym i nikim. Jeśli tylko wszedłbyś do kogoś takiego do celi bez asysty kolegów, od razu by na ciebie ruszył. Dla niego najważniejsze to zrobić krzywdę, zaszkodzić. Mamy tu też totalnie zafiksowanych na kobiety. Gdy widzą naszą panią psycholog, grożą jej śmiercią, są pobudzeni. A my musimy otwierać cele i karmić ich przy otwartych drzwiach. Rozumiesz to? Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak często zdarza się, że osadzony dostaje michę, zagląda w nią, nie podoba mu się bufet i startuje z pięściami do wydającego posiłki. Strażnicy już się tego nauczyli i zawsze tak się ustawiają, by można go było od razu obezwładnić. No i nie pytaj, ile razy zostałem oblany zupą.

Niedawno na tutejszej esce pojawiła się wycieczka funkcjonariuszy z innego zakładu. Oddziałowy otworzył jedną z cel, a skazani, zamiast siedzieć na kojach, wisieli na kratkach jak małpy. Kilku przyjezdnych głośno przełknęło ślinę. Miejscowych takie zachowania w ogóle nie dziwią. To normalne, że złodzieje łażą po kratkach na drzwiach, wiszą na tygrysie. Ot, codzienność. Poza tym równie charakterystyczne są krzyki. Gdy zaczyna się drzeć jeden, od razu podłapuje drugi, trzeci i po chwili wydziera się już cały oddział, 40 lokatorów. Przeważnie są to obelgi na kogoś z osadzonych albo funkcjonariuszy.

Mają tu wielu takich zawodników, ale najbardziej irytujący jest zabójca i gwałcień z wręcz obrzydliwymi przestępstwami na koncie. Chuchro, każdy położyłby go w sekundę na glebę, ale nigdy nie wiesz, co ma akurat pod ręką i czym może cię uderzyć. Nie ma dnia, by nie ubliżał funkcjonariuszom. „Rozpierdolę cię! Zajebię! Ty kurwo! Ty szmato!”. I tak non stop. Pracujący tu klawisze robili już na niego szereg doniesień do prokuratury, ale zderzyli się z betonem. Odpowiedź zawsze była taka sama: „On i tak ma dożywocie”. I umorzenie.

Piotrek: – Mimo stosowania wszelkich środków bezpieczeństwa ten człowiek robi nam ogromne problemy. Od siódmej do dwudziestej drugiej wydziera się na funkcjonariuszy. Którego pierwszego zobaczy, tego dojeżdża. Nazwiskami, personalnie. „Kowalski, zajebię ci syna! Twoja córka będzie dymana!”.

Piotrek najbardziej boi się jednak chorób. Być może to efekt sytuacji, która spotkała go przed kilkoma laty. Oddziałowy doprowadził do niego jednego ze skazanych, który zażądał natychmiastowej zmiany osadzenia. Wychowawca się nie zgodził, więc ten wyjął z kieszeni ostrze maszynki do golenia, błyskawicznie pociął skórę na ręce i zaczął chlapać Piotrka krwią po twarzy. Zanim zdążyli zareagować – sytuacja była przecież nagła, niespodziewana – wychowawca był już cały we krwi. Jak łatwo się domyślić, osadzony był chory na wszystkie choroby świata. Funkcjonariusz przez pół roku nie miał życia, bo musiał przyjmować tabletki antyretrowirusowe.

– Oni doskonale wiedzą, co mogą ci zrobić, nawet gdy są za kratą albo mają kajdanki. Nie zawsze mają cię przecież jak uderzyć, więc przegryzają język, zbierają w ustach krew i plują. W miesiąc na esce widziałem więcej niż przez sześć lat na zwykłym oddziale – mówi Piotr. W 2018 roku we wszystkich więzieniach w Polsce osadzonych było 610 nosicieli wirusa HCV i 100 nosicieli wirusa HIV.

Ideały matematycznie ujmując

Tak, siada. Siada na łeb. Wiesz, że to niepsychotyczni, ale i tak siada. Piotrkowi zdarza się czasem utonąć w swojej kanapie i dopiero wtedy wszystko do niego dociera. „Po co człowiek się pół życia uczył? Po to, żeby teraz ktoś taki wycierał mną ryj? Albo moją rodziną?”. Inni też czasem o tym myślą. I się palą. Odchodzą ze służby. Idą na zwolnienia. Codziennie musisz nurkować w akwariium pełnym piranii. Nic dziwnego, że pęka nawet najtwardszy materiał.

Robota go wysysa. Gdy przyjmował się do kryminału, ważył 96 kilo. Dziś staje w łazience na wadze i wskaźnik zatrzymuje się na 80. Planuje odejść na emeryturę w 2023 roku.

Siedzimy w niewielkiej knajpie. Wygrzebujemy reszki nierozpuszczonego cukru z wysokich szklanek. Trzeba się powoli zwijać. Nie daje mi jednak

spokoju pewna sprawa, zawarta w kilku pytaniach: Po co? Dlaczego? Nie lepiej się zwolnić? Zmienić robotę?

Pytam.

– Świeżo po studiach chciałem naprawiać świat. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej w kryminale ani słowem nie wspomniałem o wcześniejszej emeryturze. Nawet o tym nie myślałem. Na stanowisko wychowawcy szedłem z radością, ideałami. I teraz ty mi mówisz: „Zwolnij się”. To nie jest takie proste. To moje życie, moje marzenia. Cały czas chcę tu pracować, ale powoli zaczynam dochodzić do wniosku, że są jednak ważniejsze sprawy niż ideały albo wcześniejsza emerytura.

Minął mi już ten czas, gdy chciałem zmieniać świat. Człowiek pracuje dla pieniędzy. U nas w mieście jest kilka prężnie działających firm i kryminał. Gdy pracowałem w pierwszej, w miarę dużej firmie, idąc do Biedronki, kłaniałem się jednej trzeciej miasta. Gdy przeszedłem do drugiej, też dobrze rozwiniętej, witałem się już z dwiema trzecimi. Teraz, gdy robię w zakładzie, kłaniam się wszystkim. Wszyscy się znają. Wiemy, jakie są warunki pracy. Jeśli w prywatnym przedsiębiorstwie człowiek już dziesięć lat temu zarabiał ponad pięć tysięcy złotych, a w zakładzie karnym na wstępie dostałem dwa i pół tysiąca, to o czym my w ogóle mówimy?

Najważniejsze są zdrowie i rodzina. Chwilę słabości miałem w zeszłym roku. Złożyłem podanie do innej firmy. Chciałem zmienić pracę, bo moje napięcie sięgało zenitu. Zdałem wymagane tam egzaminy, wszystko było gotowe. Myślałem sobie: spokojniejsze życie. Przyszły jednak przemyślenia i nostalgia. Pojechałem więc tam i powiedziałem przyszłemu szefowi: „Przepraszam, ale matematycznie rzecz ujmując, w zakładzie mam jeszcze cztery lata pracy, a u pana dwadzieścia. Szesnaście lat różnicy. Porobię jeszcze te cztery, odejdę na emeryturę, która wcale nie będzie taka wspaniała, jak można czytać w mediach. To będzie czterdzieści procent uposażenia, ale wystarczy na czynsz. Minimum z minimum. Resztę dorobię w takich warunkach, dzięki którym za szybko nie umrę. W naszym środowisku często zdarza się, że chłop idzie na emeryturę, mija rok i już go nie ma. Nie chcę tak skończyć.

Po uszy w białym gównie

Styczeń, śniegu wszędzie w cholere i trochę. Grzesiek wychodzi z wartowni, ostatni raz sprawdza, czy wszystko zabrał. „Broń, papiery, żarcie na drogę – dobra, wszystko” – myśli i idzie w kierunku auta. Mercedes mieszczący 15 złodziei, już napakowany 12 osadzonymi. Wchodzi na tył, zerka za kraty. Wszystkie twarze w jego stronę. Dwóch mocnych, ale swoich, zawsze dobrze się z nimi dogadywał. A reszta – gamonie. Powinno być spokojnie.

– Dobra, panowie. Chipsy wam rozdali? Colę? Aviomarin łyknięty? – rzuca dla rozluźnienia atmosfery.

– Temat jeszcze jakiś byście nam tu wrzucili, dowódco – słyszy odpowiedź. Rechot wypełnia wesoły autobus.

– Dobra, dobra, spokojnie. Startujemy do Poznania. Rozdamy was tam szybciotko, polecicie dalej w Polskę, a ja wracam do domu – komunikuje specyficznym pasażerom i sam idzie na przednie siedzenie. – Ruszamy – mówi do kierowcy.

Pod Poznaniem, przed Komornikami, jest charakterystyczna, długa prosta. Z jednej strony pole, z drugiej pole. Gdyby Grzesiek nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy w życiu by w to nie uwierzył: momentalnie, w 10 sekund z pół nawiało tyle śniegu, że zasypało autobus. Kierowca szarpie, ale nic z tego – dalej nie pojedzie. To samo z innymi samochodami na drodze. Grzesiek próbuje otworzyć drzwi, robi to z ogromną trudnością. Wysiada i wpada w białą masę po pas.

– Ja cię pierdolę, ale żeśmy się wjebali! – rzuca do kierowcy.

Co większy cwaniak próbuje się przedzierać lewą stroną jezdni, ale tam śniegu jeszcze więcej. W końcu wszyscy się zakopują na amen. Mija pierwsza godzina, druga, trzecia. Sytuacja w samochodzie robi się coraz bardziej napięta.

– Srać, szczać, palić, żreć, czyli potrzeby, bez których złodziej nie przeżyje. A ty ich nie możesz wypuścić. No i co masz zrobić? Byłem wtedy w niełasce u kierownika ochrony, więc nie zostałem dowódcą konwoju. Wyznaczył Rafała,

małolata bez doświadczenia. Siedzimy w tym łajnie, mówię młodemu: „Rafciu, ogarniaj! Wiem, że sobie poradzisz! Wierzę w ciebie! Jak będę widział, że nie dajesz rady, to ci pomogę”. A że to ostry chłopak, to z miejsca do nich: „Co, kurwa?! Zamknąć ryje!”. To tylko podpałiło temat. Minęło kilka minut i kabaryna zaczęła po prostu fruwać. Lewo, prawo. Lewo, prawo, lewo, prawo. Rafał momentalnie abdykował. Dzwonimy na stanowisko dowodzenia, a tam zapijaczony facet – w robocie zawsze na kacu, po robocie zawsze na fleku – który nie ma zielonego pojęcia, co to więzienie. A to ważna postać w strukturze, odpowiedzialna za koordynację procedur ochronnych w okolicznych zakładach. Zasłynął w środowisku tym, że potrafił przyjść rano do kryminału w koszuli obrzyganej podczas wieczornej imprezy i w takim stanie rugać wszystkich na wartowni. Dzwonimy, przedstawiamy sytuację, a on opowiada herezje, kompletne głupoty. Skupia się przy tym na absolutnie kluczowej kwestii: dlaczego dowódcą konwoju jest funkcjonariusz niższy stopniem. Chwilę później kręcimy do dyrektora zakładu, który sam siebie nazwał protoplastą „gisów”. Komandos, nawet na co dzień chodził w amerykańskim mundurze.

– Panie dyrektorze, mam tu po prostu ogień. Stoję po uszy w białym gównie i mi się kabaryna trzęsie. Złodzieje zaraz mi pospierdalają! Róbcie coś, do kurwy nędzy! Macie przecież zarządzanie kryzysowe. Powiadomcie kogoś, niech chociaż mi tu jakiegoś policjanta do pomocy przyślą!

Minęło kilkadziesiąt minut, przyszło dwóch, cali mokrzy. Siedli z nami, ale to niewiele dało, bo przecież nas łącznie było czterech, z nimi sześciu, a złodziei dwunastu. I co możesz zrobić? Jak ci się rozpruje fura, to oni spierdolą na czworakach pod śniegiem, nigdy ich nie znajdziesz. Dzwonię jeszcze raz do dyrektora-komandosa, a ten do mnie:

– Grzesiek, nie pierdol się! Masz moje pozwolenie: wyciągać ich z kabaryny, kłaść na ziemię i pod bronią trzymać!

Ręce załamałem.

– Dobra, cześć – mówię i kończę rozmowę. Johnny Karabin się znalazł.

Po prostu ludzie skrajnie niekompetentni! Mam powiedzenie: jeśli masz wyższe wykształcenie, to musisz mieć jeszcze średnie wyobrażenie i podstawowe wychowanie. Ten gość na pewno nie miał wyobrażenia. Całe życie za biurkiem, nic nie widział, gówno wiedział.

W końcu udało się załatwić ładowarkę, która przebiła się przez pole i utorowała drogę. Zdążyli wydzwonić Grupy Interwencyjne Służby Więziennej. Jedna przyjechała z Wronek, druga z Rawicza. Śrem też wypuścił dwóch pistoletów z kierowcą. Zajechali w Komornikach na stację benzynową. Wyrzucili wszystkich ze stacji i parkingu. Podjechali w taki sposób trzema autami, że zrobili nam dziedziniec. My podstawiliśmy się naszym autobusikiem i spokojnie można było zrobić „handel”. Kogo mogliśmy, rozdaliśmy. Resztę wzięliśmy na Poznań. A że mieliśmy dwóch cwaniaczków – płotki jakież, ale najwięcej nam bruździli, podkręcali resztę ekipy – to gdy ich na tym dziedzińcu rozdawaliśmy, rzuciłem do znajomego dowódcy GISW:

– Kuba, tych dwóch zostaw sobie na deser, bo mi trochę brykali.

I nagle u nich strach w oczach.

– Ja nie wsiadam! – wypluł jeden.

– Nie? Spoko, to wskoczysz...

Rocznie wszystkie pojazdy konwojowe Służby Więziennej przejeżdżają w Polsce kilkanaście milionów kilometrów. Codziennie z dużego zakładu potrafi wyjść kilkanaście konwojów. Łączna liczba transportów wychodzących z zakładów karnych i aresztów śledczych oscyluje w granicach stu tysięcy. Osadzonych konwojuje się w różne miejsca i z różnych powodów. Do innych zakładów karnych, na oddziały terapeutyczne, do publicznych placówek służby zdrowia. Każdy doświadczony klawisz w zawodowym życiu przebył tysiące kilometrów w więziennej suce.

Przypadki zdarzają się przeróżne. Czasem tragiczne.

– Auto, które sam wysyłałem kiedyś w Polskę, uległo bardzo poważnemu wypadkowi. Zderzyło się z samochodem dostawczym. Kobieta, która go prowadziła, zginęła na miejscu. Na szczęście naszym funkcjonariuszom nic się nie stało, ale przewożone złodziejki były bardzo poobijane – opowiada Andrzej.

Zdarzają się też sytuacje tragikomiczne. Złodziej miał zaplanowaną wizytę lekarską w szpitalu oddalonym od kryminału o 60 kilometrów. Dowódca spakował konwój, dwóch klawiszy uzbroił w broń krótką i długą. Wzięli pistolety i strzelbę Winchester. Mija kilka godzin, samochód wjeżdża przez bramę. Złodziej zadowolony, bo pół dnia spędził poza kryminałem, strażnicy

też szczęśliwi, bo za moment fajrant i będą w domu. Wchodzą na wartownię uchachani, a dowódca pyta:

– Ty, młody, a gdzie ty, kurwa, masz strzelbę?

Chłopak w pół sekundy zrobił się zielony.

– Ja pierdolę, nie mam winchestera! Jezu, nie mam tej jebanej strzelby!!

– Gdzieś go zostawił?!

Nie powiedział nawet słowa, wskoczył w samochód i na bombach pognął do szpitala. Tempo, tempo, szybko, jedno piętro, drugie, trzecie, drzwi gabinetu. Bez pukanina i pozwolenia wparowuje do pomieszczenia. Zaskoczony lekarz siedzący za biurkiem patrzy zszokowany. Młody sięga za parawan, maca i z ulgą na twarzy wyciąga zza niego wielką strzelbę.

– Dziękuję, przepraszam, do widzenia!

Oficjalnego biegu sprawie nie nadano.

Siedem grzechów.

Gniew

Niedziela była, wieczór, już trochę po godzinie 22. Przez całą dniówkę coś się tu działo, ale od zachodu słońca – cisza jak makiem zasiał. Jakby zmęczony chaosem zakład ogarnął głęboki sen. Andrzej podkręcił lekko radyjko, charakterystyczny głos pana redaktora Janisza wyrecytował sportowe wiadomości. W sreberku czekała już na uwolnienie kromka z krakowską i serem, nad papierami dymiła gorąca herbata. Na wartownię niespodziewanie wtoczył się Waldek Kozłowski. Z przepustki miał wrócić kilka godzin temu.

– Ty, Kozłowski, gdzie ty byłeś?! – dowódca pyta stanowczo, choć i tak w miarę spokojnie jak na ciężar przewinienia. Chłop przesiedział już dobrych kilka lat, do finiszu kary nie zostało mu wiele. Nigdy nie sprawiał większych kłopotów. Cichy, spokojny, na terenie robiący jako palacz w kotłowni.

Klawisz, siorbiąc gorący napój, zerka w stronę spóźnionego. I widzi problem. Złodziej może nie jest totalnie zniszczony, ale ewidentnie trafiony.

– Stara mnie w domu wkurwiła, dowódco. Musiałem... – potyka się o własny język. Zionie wódką.

– Czyś ty, człowieku, zwariował? Przecież ja cię muszę zamknąć. A teraz to i kwit wypisać. Po chuj ci to było? – rzuca funkcjonariusz z rezygnacją.

– Panie dowódco! Obiecuję, że jak pan nie wypiszesz, to wracam na oddział, kładę się i nikt o niczym się nie dowie! Jak Bożę kocham!

– Chodź... Chodź, chuju głupi – mówi Andrzej.

Wstaje zza biurka, chwyta klucze i za fraki wyprowadza pięćdziesięciolatka z wartowni. Prowadzi go sam, by nikogo nie wtajemniczać. Wcześniej wydzwania tylko oddziałowego.

– Kozłowski przyjechał wypity. Przyprawdzą ci go. Jest sam w celi, bo ten drugi też na przepustce. Niech się kładzie i morda w kubel.

Idą Marszałkowską, klawisze mówią tak na główną ulicę zakładu. Już wiosna, w miarę ciepło, zawiewa tylko chłodny wietrzyk. Po prawej mijają piątkę. Cisza, nawet rozmów w celach nie słyszać. W oddali szumi las.

Kolejnych kilkanaście kroków, z lewej sterczy kogut ze znudzonym strażnikiem. Pijanemu złodziejowi nagle coś się przestawia w głowie. Zatrzymuje się, patrzy na dowódcę, mruży oczy i ciągnie za spust:

– Ty gestapowcu jebany! – krzyczy na cały zakład. Tak głośno, że aż kogutkowy wyszedł na balkon.

– Co ty, kurwa, mówisz?! – dowódca nie wierzy własnym uszom.

– Ty chuju pierdolony! – kolejny pocisk ziemia–powietrze. Ledwo zdążył jednak wypluć ostatnie słowo i zamachnąć się ręką, a dowódca – jeb! Lampa! Gość aż przez klomb przeleciał. Strażnik na wieżyczce złapał się za głowę.

– Jezu! Panie dowódco! Nie za mocno! – krzyknął.

– Do budy tam włącz!

Kozłowski się ocknął. Pierwsze, co usłyszał, to cedzona przez zaciśnięte zęby groźba: „Jeszcze słowo i po tobie”. Wchodzą do pawilonu.

– Kozłowski, gdzie mordę rozbiłeś? – dopytuje oddziałowy, wpatrując się w obity pysk osadzonego.

– Trochę popiłem, to się przewróciłem – i wchodzi do celi. Za nim Andrzej.

– Obraziłeś mnie strasznie. Teraz włączysz do łóżka, a pogadamy sobie na kolejnej służbie.

Nikt się o niczym nie dowiedział. Andrzej po dwóch dniach przyjeżdża na dniówkę i wie, że Kozłowski siedzi w kotłowni. Ogarnął bieżące sprawy i po apelu idzie do swojego „pijanego przyjaciela”. Uchyła blaszane wrota, uderza go ciepło wielkiego pieca. Na stołku siedzi Kozłowski.

– No i jak tam, gestapo?

Złodziej zrywa się na równe nogi, łeb spuszcza.

– Panie dowódco, człowiek po wódzie to głupi jak but...

– Dobra, zawieramy układ. Ja z tego niczego nie kręcę, a ty masz mnie informować o wszystkim, czego nie wiem. Wszystko masz mi mówić.

– Dobrze, dowódco! Zawsze!

I tak Andrzej zyskał swoje najlepsze ucho w karierze. Wiedział o wszystkim: komu szykuje się sklepanie maski na spacerniaku, kto i przez kogo podaje grypsy na wolność, kto ma zacier w słoiku schowany za kibelem.

W tym miejscu stawiam pytanie: – Czy klawisz bije więźnia?

Andrzej: – Tak, zdarza się.

Grzesiek: – Są sytuacje, w których trzeba złodzieja złamać.

Karol: – Czasem, gdy kamera nie łapie, zasadzi się skazanemu kopa. Ale zawsze wie, za co.

Patrycja: – Oczywiście. Sama brałam w czymś takim udział. Były to dla mnie najtrudniejsze sytuacje, bo nie godziłam się z nimi moralnie.

Marek: – Tak, ale to już nie to co kiedyś. Strażnik na pewno się na więźniu nie wyżywa. Najczęściej ma to związek ze stosowaniem środków przymusu.

– W powszechnym wyobrażeniu klawisz to gość zapijaczony, zarośnięty, z brzuchem i lejący pałą wszystkich jak leci. Ten etap minął jednak kilkanaście lat temu – uważa Grzesiek. – Nigdy nie widziałem, żeby funkcjonariusz bił dla samego wyzycia się. Jeszcze niedawno zdarzały się różne sytuacje, ale chodziło przede wszystkim o złamanie stwarzającego na oddziale problemy złodzieja. Dostał kilka placków, berłem od kibla pojeździło mu się po ryju, łbem zamieszało w muszli i gość pękał. Nie kochał nas, ale wiedział, że lepiej nie pajacować, bo nas jest więcej i jesteśmy silniejsi. Możliwości mimo monitoringu wciąż są. Takich metod się już jednak nie stosuje. Nikt nie ma odwagi, bo solidarność klawiszy zdechła jak dinozaury. Każde, nawet najmniejsze tego typu przewinienie to z kolei dla ciebie prokuratorskie zarzuty. Kiedyś wiedziałem, że jak załatwię temat na swój sposób, to nawet jeśli coś się wyleje do dyrektora, zostanę maksymalnie opieprzony. Powie: „Zjebaliście. To było pod kamerą, poza tym źle opisaliście procedury”. A teraz? Nie zdążysz nawet wymyślić historyjki, a prokurator będzie miał na ciebie gotowe kwity.

Wyobraź sobie faceta, który od małego mieszkał na melinie, jadł, co znalazł, i sam się o siebie troszczył. Matka od zawsze zwracała się do niego per „chuju”, a co tydzień nowy, zachlany ojczym okładał czym popadło. Matka karała go zamykaniem w piwnicy z gryzącym, głodnym psem. Ojczym wielokrotnie gwałcił go kijem od szczotki. Umówmy się, taki człowiek nie miał szans zostać normalną jednostką. Non stop więc nam fikał. Mówił, że gdy zwracamy się do niego słowami: panie Wontor, proszę to, proszę tamto – buntuje się, bo nie rozumie, o co nam chodzi. Sam prosił, by go czasem zaprosić do kujawiaka, sprzedać dwie lepy i garść bluzgów, bo bez tego czuł zagrożenie. I tak długi czas z nim postępowano. Pewnego dnia wziąłem go jednak na rozmowę, cztery

godziny mi wył w mundur. Chłopak od urodzenia żył w piekle. Gdy mi o wszystkim opowiedział, nie miałem sumienia dokładać na jego grzbiet kolejnych krzywd. Na odprawie wyjaśniłem, na czym polega jego problem. Zakazałem mojej zmianie częstowania go liściami, mimo że się tego domaga. Po tym wszystkim, co widziałem w pudle, trzymam się jednej, podstawowej zasady: zawsze najpierw bądź człowiekiem, dopiero później funkcjonariuszem.

Andrzej nie chce ściemniać. Czasem zdarzało się, że po przyjsciu na służbę od razu słyszał, że złodziej koniecznie zabiega o spotkanie z dowódcą. Szedł więc na oddział, stawał w drzwiach celi.

– Dowódco, ale mi wjebali! – skarżył się osadzony.

– Kto ci wjebał?!

– Tamta zmiana! Dostałem po ryju!

– Nie wierzę, przecież w więzieniu nie bije się osadzonych! Powiedz, co zrobiłeś, to może coś wymyślimy.

– Wie pan, wkurwił mnie dowódca, to mu powiedziałem, że jest skurwysynem.

– Człowieku, sam bym ci za to przyjebał!

Tak mniej więcej wyglądał każdy dialog. I tyle – drzwi, zasuw, klucz – koniec tematu. Nikt nawet nie wpadł na pomysł, żeby skargi pisać. A nawet jeśli taka powstała, nie wychodziła poza oddział. Oddziałowy na nocce nie miał czasu nawet kanapki zjeść, bo czytał wszystkie papiery złodziei. Dzisiaj klawisz nie ma prawa ich dotknąć, bo może za to z roboty wylecieć. A bicie? Katowania nigdy nie było. Żadnych pał, znęcania się. Jak trzeba było, gość trzy razy dostał z liścia w ryj, żeby śladów nie zostawiać – mówi Andrzej.

Na przestrzeni dwóch dekad czasy w tym względzie zmieniły się jednak totalnie. Dziś większość powierzchni w zakładach karnych jest monitorowana. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości zewnętrzne instytucje wyjaśniające (z okręgowych inspektoratów, centralnego zarządu bądź prokuratury) zawsze opierają się na zapisie wideo. Poza tym procedura użycia środków przymusu bezpośredniego zakłada konieczność nagrywania. W każdej takiej akcji bierze udział funkcjonariusz, który rejestruje wszystko cyfrową kamerą. Kiedyś klawisze potrafili to obejść. Gdy podczas stosowania środków chcieli

osadzonemu pokazać miejsce w szeregu, na umówiony znak kamerzysta udawał, że traci równowagę, i przez kilka chwil kamerował sufit. Albo podkręcał zoom na maksa. Dziś nawet to jest niemożliwe, bo zła jakość filmu wiąże się z konsekwencjami dla dowódcy i funkcjonariusza.

Różne akcje w przeszłości się jednak zdarzały. Grzesiek pamięta przede wszystkim tę z 2009 roku. Dwóch osadzonych pokłóciło się z wychowawcą. Chcieli podpalić celę. Wychowawca zdążył chwycić gaśnicę i zasypać pomieszczenie proszkiem, ale w tym samym momencie na oddział wpadła atanda.

– Dwóch niewinnych osadzonych w miarę delikatnie wyjęli na korytarz, a pozostałą dwójkę po prostu rozmazali. Horda trzydziestu klawiszy wparowała do celi i każdy się tylko dopychał, żeby kopnąć złodzieja. Nawet na kamerze było później widać, że wynoszą gościa, a kierownik ochrony wchodzi jeszcze do celi i uderza drugiego. Na nieszczęście kierownikowi pękł od tego pacnięcia pasek od zegarka. Gdy on to zobaczył... Był wielki jak ty i ja. Łapę miał, jakby go dopiero od bron odciągnęli. Sprzał złodzieja niemiłosiernie. Wszystko działo się na dniówce. Mnie przy tym nie było. Przyjechałem do roboty po kilku godzinach, na nockę. Pierwsze, co usłyszałem: „Sprawdź, czy oni w ogóle żyją. Bo ponoć z nimi niewesoło”. Poszedłem, jeden leżał wpięty w pasy. Dosłownie galareta. Łeb miał tak opuchnięty, że nie wiedziałem, gdzie jest oko, a gdzie ucho. Straszna afera z tego była. Kierownik ochrony dał dupy na całej linii, dowódca zresztą też. Akcja mieściła się już w pojęciu buntu, a nawet oficjalnego zgłoszenia nikt nie zrobił. Poza tym nie może być tak, że z biur zlatują się cywile, żeby kopać złodziei... Z tego wydarzenia zewnętrzni kontrolerzy postawili łącznie pięćdziesiąt sześć zarzutów. Okręg wsiadł wtedy na nasz zakład okrutnie. Pięćdziesiąt sześć błędów w procedurze! Ogrom! Nie wyszedł z tego większy gnój, bo zastępcą dyrektora odpowiedzialnym za ochronę był wtedy facet wiedzący, co to jest więzienie i na czym polega. Strasznie wymagający, ale szedł za nami w ogień. Z pięćdziesięciu sześciu zarzutów obalił pięćdziesiąt cztery. Gdyby nie on, pozwalnialiby nas wszystkich w cholerę. Nawet mnie, mimo że tylko zobaczyłem, czy złodziej żyje. A według papierów miałem obowiązek wezwać pogotowie. Powiadomić prokuratora i dyrektora.

Patrycja też ma wiele do opowiedzenia. Na areszcie siedziała skazana, z którą wiecznie były problemy. Awantury, krzyki, pretensje, agresja wobec strażników.

– Pewnego poranka na oddział wszedł dowódca zmiany i powiedział: „Robimy porządek”. Mieliśmy ją wziąć na niemonitorowaną celę i spuścić jej wpierdol. Powiedziałam, że nie dam rady, że się z tym nie zgadzam, że mogę stać przed drzwiami i pilnować, ale nie chcę jej bić. Stanęło na tym, że kazali mi ją trzymać za ręce z tyłu. W pomieszczeniu byłam ja, druga oddziałowa i jeszcze jeden funkcjonariusz. Zaczęło się od kilku słów od oddziałowej. „Ty kurwo, szmato jebana. Myślisz, że kim ty tu jesteś?”. I dalej psychiczny pojazd. W pewnym momencie oddziałowa kiwnęła do mnie głową. Złapałam złodziejkę za ręce z tyłu. Koleżanka przypieprzyła jej z całej siły plaskacza. Nie dałam rady, puściłam, przez co doszło do niekontrolowanej sytuacji. Na szczęście nic więcej się nie stało, ale dowódca i tak mnie później opieprzył.

Często stosowały takie metody. W niektórych przypadkach nawet Patrycja była ich zwolenniczką. Kiedyś na oddziale miała skazaną z obrzydliwymi aktami. Na wolności jej dzieci (w wieku trzech i pięciu lat) mieszkały w ośrodku.

– Brała je na weekendy do siebie. Mówiła, że bardzo je kocha, że będzie je widywała częściej, ale nie mogą zdradzić ich tajemnicy. Nie mogły powiedzieć, że zaciągała je do garażu, w którym czekał konkubent. Wykorzystywał je seksualnie, gwałcił, a ona to wszystko nagrywała na kamerę. Gdy zobaczyłam akta, myślałam, że się porzygam. Trzymała te papiery u wychowawcy, żeby żadna ze skazanych się nie dowiedziała, za co garuje. Zaczęła się jednak panoszyć po oddziale. Pisała skargi, podburzała osadzone przeciwko funkcjonariuszom. Z wychowawcą wzięliśmy ją na bok i dojechaliśmy psychicznie. „Zdajesz sobie sprawę, że podczas kontroli osobistej twoje akta przypadkowo mogą trafić na celę? Z podkreślonym artykułem, za który siedzisz? A wiesz, że jest coś takiego jak radiowęzeł, przez który może pójść jakaś informacja? Wiesz, czym to grozi? Wiesz, że twoje bezpieczeństwo jest w naszych rękach?”. Poryczała się, później miałyśmy już spokój. Takie działanie jest czasem niezbędne, żeby pokazać, kto rządzi w więzieniu. A bicie? Według mnie jest nieskuteczne.

Andrzej doskonale zdaje sobie sprawę, że dużej części społeczeństwa po przeczytaniu tego ciśnie się na usta tylko jedno słowo: skandal.

– Wiem, że stoję na straconej pozycji i dyskusja nie ma sensu. Według systemu wartości obowiązującego poza zakładem nie da się usprawiedliwić mojego zachowania. Że uderzyłem skazanego. Powiem tylko tyle: dla klawisza to zawsze ogromne ryzyko, bo może to być ostatecznie uderzenie w jego zawodowym życiu. A i tak się czasem to ryzyko podejmuje. Nigdy nie byłem za tym, żeby w taki sposób rozwiązywać problemy. Zawsze byłem też przeciwko stosowaniu środków przymusu. Problem w tym, że inaczej się czasem po prostu nie da. Każdy podejmuje jednak decyzje za siebie.

Kapcie i podomka

Wysoko wiszące słońce męczyło od samego rana. Kto musiał biegać między pawilonami, trzy razy zdążył przepocić mundur. Przez cały dzień ani nawet cienia wartowni. Lipcowy dramat. Jest przed godziną 17, Andrzej prowadzi spacer. Dziś ostatni, więc w głowie układa już sobie plan na resztę czwartku. Wsiądzie w auto, w drodze do domu zahaczy o spożywcza. Kupi dwa – albo nie – kupi cztery zimne okocimy. Na osiedlu zaparkuje na swoim miejscu, pod wielką lipą. Zadzwoi domofonem, syn znów powkurza staruszkę, bawiąc się przyciskiem otwierającym drzwi. Stary się wstrzeli, pociągnie za klamkę w odpowiednim momencie. Na dzień dobry pacnie młodego z uśmiechem w czerep, odsmaży ziemniaki, o godzinie 19 siądzie na balkonie. Zasyczy spoconą puszką.

Ale jeszcze kilkadziesiąt minut...

Na ziemię ściąga go wyjąca syrena. „Ja pierdołę, co się dzieje?!” – myśli zszokowany. Jako młody funkcjonariusz jeszcze nigdy wcześniej nie znalazł się w podobnej sytuacji. Jakiś pożar na mieście? Nalot? Co się, do kurwy nędzy, stało?!

Na spacerniak wbiega doświadczona oddziałowa. Wydziera się: – Koniec spaceru! Wszyscy do cel! Natychmiast!

Człowiek w takich sytuacjach nie dyskutuje. Gdy dzieje się coś poważnego, działa jak automat. Złodzieje na oddział, wszyscy pod klucz. Szybkie działanie w milczeniu.

– Co jest? O co chodzi? – może w końcu spytać koleżankę.

– Uciezka z zakładu – słyszy odpowiedź. W tym samym momencie w ucho wpada mu komenda dowódcy zmiany nadana przez radiotelefon: – Sześć-osiem, na wartownię! Do mnie!

Na polu spacerowym, z drugiej strony zakładu, dwóch złodziei przeskoczyło przez jedną siatkę, później przez drugą, przegramolili się przez wysoki betonowy mur i uciekli do lasu. Na budzie stał funkcjonariusz z karabinem.

– Stój! Stój, bo strzelam! – krzyczał na całą okolicę, aż las odpowiadał echem. Strzału jednak nie oddał. I bardzo dobrze. Złodzieje głupi nie są. Nie uciekali ani pięć minut wcześniej, ani pięć minut później. Uciekli dokładnie o godzinie 17.01, bo ludzie – 40 osób – właśnie o piątej wychodzili z prywatnego zakładu pracy przylegającego do muru kryminału. Uciekinierzy byli pewni, że gdy na horyzoncie będzie cała chmara wracających z roboty pracowników cywilnych, strażnik karabinu nie użyje. Nie odda nawet strzału ostrzegawczego. Bo co, jeśli kulka przypadkowo odbiłaby się od czegoś i zabiła Bogu ducha winną osobę?

Procedury. Grupa pościgowa. Błyskawiczne rozkazy, wezwanie funkcjonariuszy, uzbrojenie. Ruszyli w pościg! Dowódca informuje dyrektora zakładu, kierowników, ogłasza alarm, wzywa policję. Kryptonimy: alfa, brzoza. Jak w filmach! Zamieszanie potrwa do godziny 23, wszystko zakończy się sukcesem. Zbiegów złapie dwóch klawiszy. Doprowadzą ich do zakładu, po wszystkim będą jeszcze musieli napisać dokładne wyjaśnienia. By poznać kulisy, Andrzej zabiera Darkowi – gościowi, który ujął sprawców afery, na co dzień oddziałowemu – papier z zeznaniem.

„O godzinie 17.20 zostałem wezwany do zakładu. Dowódca wyznaczył mi trasę pościgu w kierunku na północ wraz z sierżantem Wachowskim. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach usłyszałem w lesie szelest, po czym złapaliśmy obu. Jeden znajdował się w zagajniku, drugi na drzewie” – czyta Andrzej. I w tym miejscu Darek powinien zakończyć swoją relację. Podpisać się i oddać papier kierownikowi. Ale nie, on pisze dalej: „Następnie wziąłem pasek od spodni, wykręciłem jednemu rękę i je związałem”.

Andrzej nie może pohamować śmiechu.

– Ale ty jesteś, kurwa, głupi! A gdzie ty miałeś kajdanki?! – pyta kumpla, zanosząc się śmiechem.

– No... przy pasie.

– To napisz tu, matole, że mu kajdanki założyłeś, a nie paskiem związałeś. Przecież jak oni w okręgu to przeczytają, to ciebie zamkną, a nie jego. I jeszcze ci nagrody nie dadzą!

Jak się później okazało, złodzieje-uciekinieryzy byli wózkowymi, dwoma najlepszymi „kolegami” Darka na oddziale. Gdy tylko ich zobaczył w lesie,

wykrzyczał:

– Bartnik! Ty skurwysynu! I tak cię złapią i do mnie przyprowadzą! Złaż z tego drzewa! Ale już!

A ten błyskawicznie, cyk, po gałęziach na dół. Taka to była ucieczka, rozpoczęta przez nieporadnych zbiegów i zakończona przez klawiszy z ułańską fantazją.

– Ucieczka to zdarzenie ekstremalne. Uruchamiane są specjalne procedury. Na szczęście nie zdarza się to często. Przez dwadzieścia lat przeżyłem tylko dwa takie przypadki. Poza gonitwą po lesie u mnie na służbie była jeszcze jedna historia. Złodziej chciał jechać na urodziny córki. Był niegroźny, na co dzień pracował za murami, a tylko na noc wracał do kryminału. Wychowawca, w złości, powiedział mu: nie ma szans. No to nie. Po skończonej pracy skazany wsiadł w autobus i pojechał świętować z córeczką. Nikt go nie szukał, bo po cholere szukać papudraka, złodzieja kaczek? Policja go zawinęła po dwóch dniach. Osobiście jechałem na komisariat, żeby go odebrać. „Po chuj to zrobiłeś?” – spytałem. „Prosiłem tyle czasu, żeby mi pozwolili pójść na urodziny. Nie pozwolili. To mówię: pierdolę ich, w dupie mam tego wychowawcę”. Wystarczyło dać chłopu dzień przepustki i nie byłoby kłopotu. Ważniejsza była jednak zła wola wychowawcy – wspomina Andrzej.

Rocznie dochodzi w Polsce do kilkuset uciezek. Zdecydowana większość z nich nie jest jednak uciezkami z terenu zakładu karnego (na przykład w 2017 roku nie było ani jednego takiego zdarzenia, rok później – jedno, w zakładzie o niskim rygorze). Ponad 90 procent zdarzeń to oddalenie się z miejsca zatrudnienia. W 2017 roku takich przypadków było 255. Rok później – 263.

W świecie zakładów karnych i aresztów śledczych funkcjonuje coś takiego jak „iskierki”. Mówi się tak na specjalne raporty tworzone przez kryminały po zdarzeniach nadzwyczajnych. Konkretny zakład wysyła informację z dokładnym opisem zdarzenia do centrali w Warszawie, a centrala – w formie raportu – śle to do wszystkich pozostałych placówek. Dowódcy zmiany bądź kierownicy ochrony podczas odpraw informują funkcjonariuszy, co ciekawego wydarzyło się w poprzednim tygodniu w Polsce. Na przykład „Areszt Śledczy Białolęka: 23 kwietnia o godzinie 17.20 doszło do bójki osadzonych”. Albo „Zakład Karny Sztum: 17 maja o godzinie 10.12 Jan Kowalski uciekł z konwoju do szpitala”. Gdy w Polsce dzieją się rzeczy spektakularne, podczas szkoleń

penitencjarno-ochronnych zawsze ponownie czyta się raporty i je omawia: gdzie popełniono błędy i co robić, by ich unikać. „Iskierki” przychodzą regularnie. Zwykle absolutnie pospolite i niewarte uwagi. Bywają jednak widowiskowe, poważne, telewizyjne.

Andrzejowi utkwiała w pamięci ta z 1995 roku. Dotyczyła jednej z najbardziej spektakularnych i najgłośniejszych ucieczek w historii polskiego więziennictwa. Z zakładu karnego w Dębicy uciekło pięciu osadzonych. Przez prawie trzy miesiące drążyli łyżkami i miskami tunel. Wykopali kilkunastometrowy podkop wychodzący z celi i prowadzący pod spacerniakiem aż za więzienny mur.

– Według grafiku cela na oddziale może być kontrolowana nawet pięć razy w ciągu miesiąca. Przychodzi dwóch funkcjonariuszy, osadzonych wywalają na świetlicę i centymetr po centymetrze wszystko przeszukują. Okna, ściany, łóżka, podłogi. Korespondencję, książki. Każda rzecz, która znajduje się w celi, musi być wzięta do ręki. Szuka się narzędzi niebezpiecznych, grypsów, przedmiotów niedozwolonych. Podkop w Dębicy robiony był przez wiele tygodni. Cela w tym czasie była kontrolowana wielokrotnie. Przez niechłujstwo nikt niczego nie wykrył. Może wszedł, rozejrzał się i wyszedł? A może w ogóle nie skontrolował, tylko się podpisał pod raportem z wykonania? Dlatego zawsze wszystkim powtarzałem: robota w kryminale musi być dokładna. Dokładna! Bo przez głupotę można pójść siedzieć. Tak jak w tym przypadku, bo w Dębicy skończyło się wyrokami dla strażników – mówi Andrzej. – A najgorsze jest to, że jeśli w zakładzie prowadzone jest postępowanie wyjaśniające po wypadku nadzwyczajnym, jak na przykład po ucieczce albo pobiciu, i nawet jeśli wyjdzie w nim, że funkcjonariusze zrobili wszystko zgodnie z prawem, to i tak nie ma się z czego cieszyć. Bo jeśli postępowanie dotyczy cukru i z cukrem wszystko było okej, to niemal na pewno podczas postępowania zostaną wykryte rzeczy z cukrem w ogóle niezwiązane. O których się zapomniało, zachachmęciło rok wcześniej i myślało, że sprawy nie ma. Dlatego niechłujstwo w procedurze ukryć w więzieniu niebywale trudno.

Karol najbardziej boi się konwojów. To jasne: z konwoju w miarę łatwo uciec. A że nie jeździ często i nie jest do tego przyzwyczajony, to gdy już rusza poza

zakład, zawsze stara się mieć oczy dookoła głowy. Niedawno jego kumplom uciekł młody chłopak.

– Nie zakuli go w kajdanki, bo gość nie miał jednej dłoni. Gdy zaczął uciekać, rzucili się za nim w pościg. Problem w tym, że jeden funkcjonariusz ważył sto pięćdziesiąt kilo i po przebiegnięciu stu metrów padł niemal trupem. Drugi podczas pościgu przypieprzył ręką w klamkę i zalał się krwią. Chłopak bez dłoni uciekł, złapali go po kilku dniach na melinie. Funkcjonariuszom pojechali po trzynastce. Do tego wlepili im nieprzydatność do zajmowanego stanowiska, a to bardzo ciężka kara. Kilkanaście miesięcy masz ucięte wszystkie dodatki i trzynastkę – mówi Karol. – Dlatego wolę siedzieć u siebie na oddziale. Przynajmniej wiem, czego mogę się tu spodziewać.

Grzesiek spektakularną akcją, którą w środowisku nazwano później totalnym ośmieszeniem służby więziennej, przeżył w 2011 roku. Media o tym nie informowały, a przecież w wyniku tego skandalu wymieniono w jego zakładzie całą kadrę zarządzającą.

– To był efekt totalnego poluzowania procedur i rutyny. W takim zakładzie jak nasz po prostu nie miało prawa się to wydarzyć – wspomina Grzegorz. – Przepis mówi: na pas ochronny, czyli wydzielony, zabronowany, kilkumetrowy fragment ziemi między wygrodeniem wewnętrznym (płotem) a ogrodzeniem zewnętrznym (murem), wstęp ma tylko dowódca zmiany lub zastępca i osoby im towarzyszące. Gdyby samodzielnie wszedł tam nawet dyrektor, kogutkowy ma obowiązek położyć go na ziemi. To teoria. A praktyka? Dwóch złodziei szło na przepompownię ścieków, bo coś się zatkało. „Wodzu! Idziemy na przepompownię!” – darli japę. „Dobra, idźcie!” – padała odpowiedź. I tak to działało. Prowizorka. Strażnik na wieżyczce wiedział, że to złodzieje. Zawsze tego pilnowaliśmy, bo broń to nie zabawka. Jeszcze by mu się coś w głowie przestawiło i by złodzieja zastrzelił. Informowało się: „Słuchaj, na pas idzie dziesięć kobiet i mają grabić. Masz je dozorować”.

Były jednak też takie zmiany, które wpuszczały kogoś na pas, a strażnikowi na budzie nic nie mówiono. Sam się musiał domyślać, że to złodziejki, które mają jakąś robotę do zrobienia. Gdy czasy zaczęły się całkowicie psuć, masowo przyjmowano do roboty po znajomości. Także ludzi, którzy za cholerę nie powinni pracować w zakładzie. Gdybyś z jednym czy drugim pogadał, od razu byś pomyślał, że gość jest upośledzony. I właśnie taki pewnego dnia siedział na

kogucie. Zobaczył kobietę, która biega po pasie. Pomyślał, że ktoś ją wpuścił, żeby zielsko plewiła. A ona przeszła przez pierwsze ogrodzenie. Wskoczyła na pas. Jakieś piętnaście minut biegała po pasie, wspinała się po murze, co chwila z niego spadała. Efekt był taki, że spierdoliła z zakładu typu zamkniętego! Kamery, broń na posterunkach. Wszystko, a ona uciekła! Mało tego, upokorzyła nas dodatkowo, bo działo się to o dziesiątej, a dopiero o siedemnastej oddziałowa się ogarnęła, że nie ma jednego złodzieja. Gdy ją już złapali, zeznała szokujące, ale jak się okazało, prawdziwe rzeczy. Doszła do miasta, weszła do pierwszego napotkanego bloku, zapukała do drzwi. Otworzyła jakaś baba i zobaczyła kobietę w podomce i kapciach. „Pani, zimno mi i głodna jestem. Daj pani jakąś bluzkę i bułkę”. I baba jej dała. Okazało się, że ta kobieta z bloku była naszą oddziałową. Totalny przypadek! A że nie znasz przecież wszystkich twarzy z więzienia, to złodziejki nie poznała.

O siedemnastej ogłoszono alarm. Cała akcja koordynowana była przez dyrektora i dowódcę zmiany. Powstał sztab, wdrożono procedury. Szykowano grupy wsparcia. Klawisze wkurwieni, bo wszystko działo się w dniu finału Ligi Mistrzów. Grille rozpalone, piwo gotowe w lodówkach, kumple zaproszeni, a tu nagle telefon z zakładu, żeby za złodziejką biegać. Znaleźli ją kilkaset kilometrów dalej. Miała problemy z matką. Nie dostała przepustki, więc uciekła i pojechała do niej autostopem. Totalne upokorzenie – baba upośledzona umysłowo wyszła z więzienia jak z komórki z węglem. I jeszcze nasza oddziałowa ją odziała i nakarmiła! Wylali po tym dwóch dyrektorów, po uszach dostali kierownicy i dowódca zmiany. Słusznie i niesłusznie. Choćby dlatego, że na pasach ochronnych zainstalowano nam bariery mikrofalowe. Jak je założyli, to za ich działanie był odpowiedzialny informatyk. Tak je nastawił, że gdy pierdnąłeś na wartowni, włączały się alarmy. To był tak przeraźliwy pisk, że łeb wybuchał. I ten alarm się non stop, kurwa, włączał. Co więc robił dowódca zmiany? W nerwach dezaktywował cały system. „Kogutkowy! Masz wyłączone bariery!” – szedł tylko komunikat.

Wszyscy od zawsze wiedzieli, że bariery są wyłączone. Tylko gdy przyjeżdżała inspekcja, na szybko się je aktywowało. No i wtedy wystarczało, że wróbel przeleciał, wszystko w zakładzie wyło, a dowódca zarządził: „Rezerwa, natychmiast sprawdzić, co się dzieje!”. Dyrektor patrzył – dobrze działają, brawo! Po czym wsiadał w samochód, odjeżdżał, a dowódca włączał alarmy.

Wiele razy prosiliśmy, by ktoś to cholerstwo wyregulował. Nie wyregulował, więc działało na wszystko, tylko nie na to, na co powinno. Winny całej sytuacji był dyrektor. Powinien dopiąć procedury. „Nie chcę nikogo widzieć na dziko na pasie! Jak zobaczę, od razu po torbie! Albo wyjebię z roboty, albo wpierdolę z dowódcy na oddział!”. Wtedy wszyscy by się stosowali. A tak – był totalny burdel, z którego zrodziła się jedna z większych kompromitacji Służby Więziennej ostatnich lat.

Ślad

Rzeczywistość kryminału w większym bądź mniejszym stopniu odciska piętno na każdym klawiszu. Niektórych dopada, zaciska, nie puszcza, co przekłada się nie tylko na zachowanie funkcjonariusza, ale na jego cały dom. Inni starają się odcinać, nie nasiąkać, ale człowiek nie jest przecież z poliestru.

Piotrek zdaje sobie sprawę ze swoich zaburzeń. Po robocie nigdy nie wchodzi do domu głównymi drzwiami. Idzie przez kotłownię, tam zrzuca z siebie ciuchy, następnie prosto pod prysznic. Dopiero wtedy zakłada domowe ubranie i wita się z rodziną. Ciuchów, w których chodzi do kryminału, nie trzyma w szafie w sypialni. Codziennie spotyka się z materiałem biologicznym: krwią, kałem, moczem. Nie chce, by rodzina też z tym obcowała.

– Mając dzisiejszą wiedzę i dawne lata, do roboty w kryminale poszedłbym jeszcze raz. Na pewno. Ale nie na dwadzieścia pięć lat! Zmieniło się prawo, nie ma już wcześniejszych emerytur, a na ćwierć wieku nie zaciągnęliby mnie tam nawet wołami. Związki zawodowe wywalczyły zdjęcie granicy pięćdziesięciu pięciu lat przy odchodzeniu na wcześniejszą emeryturę, ale prawda jest taka, że nie da się przepracować 25 lat w pierwszym kontakcie i być normalnym człowiekiem – uważa Piotrek i tłumaczy: – Po powrocie z pracy przez pół godziny non stop chodzę po mieszkaniu. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Gdy zejdzie ciśnienie, siadam na tapczanie, mija pięć minut i zasypiam. Odcina mnie. Nie dostrzegałem tego, dopiero żona zwróciła mi na to uwagę. Ostatnio staram się kontrolować, nie siadać. Zawsze jestem wyczerpany fizycznie i psychicznie. I nie daj Boże, bym usiadł po pracy do obiadu, a żona zadała mi pytanie o robotę. Gdybym coś takiego usłyszał, chyba bym ją walnął. W normalnej rodzinie rozmawia się o tym, jak minął dzień. U mnie jest to niemożliwe i zakazane, bo wszystko mi się przypomina. Działa jak płachta na byka.

Regularnie jeździ do psychiatry. Pierwszy raz zapisał się na wizytę, gdy rozpętał w domu szaloną awanturę o nic. Wcześniej mu się to nie zdarzało. Siadł na łóżku i sam nie wierzył w to, co właśnie zrobił. Raz na pół roku zalicza więc wizyty w gabinecie. Łyka tabletki na uspokojenie.

Piotrek: – U kumpli wygląda to różnie, bo są dwie kategorie ludzi. Straszne nerwusy odrywają się od środowiska i nie poznają cię nawet na ulicy. Wyciszeni tłumią wszystko w sobie, ale szukają później upustu. Stres często topią w wódce. To jeden z powodów, przez które zacząłem jeździć do psychiatry mimo braku stwierdzonej choroby. Nie chcę skończyć jak wielu moich kolegów po fachu. Jeśli mój syn powie kiedyś: „Tato, idę do służby więziennej”, pierwsze, co zrobię, to spakuję nasze manatki i ucieknę w miejsce, w którym do najbliższego zakładu karnego będzie sto kilometrów. Nie pozwolę. Za Chiny Ludowe nie pozwolę.

Krzyškowi zaczął się po nocach śnić złodziej, który był wobec niego bardzo agresywny, opryskliwy. Groził, wymachiwał rękoma. Śniło mu się, że skazany wyszedł przez „karmnik” i chciał go zabić.

– W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że stałem się bardziej nerwowy. Sam zrozumiałem, że nie potrafię zapanować nad emocjami. Bardzo szybko wpadam w złość, wystarczy najmniejsza pierdoła. Najgorsze, że zdarza się to w domu. Kiedyś taki nie byłem – przyznaje Krzysiek. Zaczął się leczyć u psychiatry. – Ale lekami nie chcę się faszerować. Nie biorę ich, bo ostatnio poczułem, że trochę wyluzowałem. Zbliża się odejście na emeryturę. Został mi rok. Kiedyś się angażowałem, teraz mi to wszystko zwisa. Kierownik powiedział mi nawet ostatnio, że stałem się obibokiem. To też mam w dupie, bo robię wszystko, co robiłem dotychczas, tylko wolniej. Większość moich kolegów z pracy się leczy. Bardzo często występują zaburzenia snu, coraz częściej zdarzają się depresje. Stąd ogrom wyjazdów na szpital. I widzę, że ten szpital im pomaga. Wyciszają się. Wracają spokojniejsi. Kowary, Cieplice, Złocieniec, Moszna – leczniczy turnus trwa trzy tygodnie.

Karol: – Nie odczuwam, by zakład siadł mi na głowę, choć prawdą jest, że stałem się bardziej nerwowy. Na pewno mam mniej cierpliwości, czego doświadcza czasem moja żona. Zauważam to. Dlatego na oddziale można robić maksymalnie dziesięć lat. Nie więcej. Więcej każdemu zryje берет. U lekarza nie byłem. Koledzy chodzą, ale według mnie w dużej części po to, żeby mieć później wyższą emeryturę za uszczerbek na zdrowiu. Mamy dyrektora, który był dowódcą zmiany. Czuje temat. Ostatnio dwóch od nas było w szpitalu – chłopak z oddziału i gość z biura. Dyrektor wezwał do siebie tego z biura i go opieprzył. „Kurwa, człowieku, nie wygłupiaj się. Siedzisz w papierach, złodzieja

na oczy nie widziałeś, a o problemach gadasz?”. Ale nie oceniam. Może inni odbierają to wszystko inaczej.

Grzesiek nie ma najmniejszych wątpliwości: jeśli widzisz ludzkie tragedie, czytasz o takich sprawach, od których włosy na głowie dęba stają, i interweniujesz w najstraszniejszych przypadkach, również śmiertelnych, to gdy wychodzisz za mur, nie możesz tego obciążenia zrzucić jak przepoconego munduru. To zostaje na całe życie. Zaczynają się przez to problemy w domu: z żoną, dziećmi.

– W robocie jesteś zmuszony do obcowania z ciemną stroną człowieka. Profesjonalne zachowanie nie pozwala ci okazywać przy tym żadnych emocji. Na twarzy kamienna mina, a w żyłach krew ci się gotuje. I tak dzień w dzień. Kumulują się trudne, toksyczne tematy do rozwiązania, powstaje frustracja, której nie da się oddać do pisuaru. Wystarczy jedna iskra, mała przeciwność i puszczają lejce. Czasem dochodzi do zwykłego zwarcia, które normalnie rozwiązałbyś jedną rozmową. Ale ty jesteś obciążony tym syfem, więc zaczynają się awantury, krzyki, wybuchy. Wszyscy klawisze mają zszargane nerwy. Po odejściu na emeryturę nauczyłem się tego na nowo, ale gdy pracowałem za murami, nie potrafiłem rozwiązywać problemów w cywilizowany sposób. Od razu darłem mordę. Zdarzało się, że podczas awantur latały w domu przeróżne rzeczy. Od garnków po doniczki. Dzieci patrzyły na moje zachowanie i uważały mnie za debila. Rozszedłem się z żoną na pół roku. Z różnych względów, między innymi przez to. Nie potrafiła mnie okiełznać. Do tego każdy ma przecież swój charakter, temperament – opowiada Grzesiek.

Tu pojawił się psychiatra. Kolejne seanse, rozmowy, pigułki. I wspólna walka.

– Terapie mają to do siebie, że są skuteczne dopiero w momencie, gdy zdasz sobie sprawę, że masz problem, i chcesz się naprawić. Jeśli masz żonę, która będzie cię wspierała – a ja taką mam – to można z tego wyjść. Ale są dziewczyny, które nie rozumieją, że masz tak kurewsko obciążającą pracę. Wydrzesz na nią mordę, to obróci się na pięcie, weźmie dzieciaki, trzaśnie drzwiami i tyle ją widziałeś. Już nie wróci. I problemy się piętrzą, mnożą. Dajesz w palnik albo idziesz w narkotyki. U mnie na szczęście takich ciągot nie było. W środowisku wielu chłopaków jednak w ten sposób zamazuje problem.

A on nie zanika, on się tylko lekko odsuwa. Zawsze najpierw jest stres, na stres jest wódka. Kolejnego dnia jest spokój, bo gość jest zamulony. Ale później scenariusz się powtarza. W konsekwencji chłop dopiero co skończył pięćdziesiątkę i ma raka albo inne nieuleczalne gównno. To bardzo częste. Z pokolenia, które przyuczało mnie do zawodu, kilku już dawno zjechało do bazy.

Człowiek, który stoi z boku, zawsze chętnie ocenia. Że on w wódę nigdy by nie poszedł, że na żonę by nie warknął. Nie masz pojęcia, jak twoja głowa zareagowałaby na zdarzenia, z którymi my obcujemy codziennie. Nie wiesz, co działałoby się w twojej głowie po lekturze akt mogących być dowodem na istnienie diabła. Czasem czytałem papiery i orientowałem się, że pot leci mi po plecach, a coś zaciska żołądek – kończy Grzesiek. – Uwierz, to zostawia w głowie ślad na zawsze.

Dylematy

Jeśli pytasz, co człowiek jest w stanie zrobić drugiemu człowiekowi, odpowiedź brzmi: wszystko. Nie ma limitu. Nie ma granic. Nie ma wątpliwości.

Andrzej został poproszony o pomoc w znalezieniu 30 złodziei do pracy przy kurczakach na fermie. Nie każdy nadaje się do pracy poza murami. Skazani za narkotyki, dilerzy, wysokie wyroki z małą odsiadką – ich odrzuca się już na wstępie. Żeby skompletować tak wielką grupę, trzeba przewertować więc papiery 150 osób.

Kilka razy dowódcę zahaczyła wcześniej kobieta. Ani młoda, ani przesadnie stara. Ani brzydka, ani ładna. Totalnie nijaka. Chciała koniecznie do pracy. „Bardzo proszę, panie dowódco, ja się nadam. Ja chcę pracować. Ja chcę za mur, choć na chwilę”. Andrzej przerzuca tę makulaturę i przez przypadek wpada na papiery właśnie tej nijakiej kobiety. Kojarzył ją, ale nigdy wcześniej nie czytał jej akt. „Okej, zobaczmy. Może rzeczywiście się nada”. Otwiera teczkę, wertuje kartki i czuje, że robi mu się sucho w gardle. Jak rażony piorunem chwyta akta i ciska nimi przez całą wartownię. Zastępca, siedzący z drugiej strony biurka, aż podskakuje przestraszony.

– Co pan, panie dowódco?! Co się stało?! – pyta zszokowany zachowaniem czterdziestopięciolatka. Ten nic nie odpowiada, wskazuje tylko na leżące z drugiej strony pomieszczenia papiery. Zastępca wstaje, czyta. Rozumie.

– Ogólnie nadawała się do tej roboty. Prawie koniec wyroku, został jej rok odsiadki. Do tego P3, czyli osadzona na bardzo luźnym oddziale. Ale za to, co zrobiła? Do pracy? W życiu! Niech siedzi w celi! – wspomina Andrzej.

– A co zrobiła? – drąży.

– Wpakowała dwójkę dzieci, żywych, oddychających, do worka po nawozie, zawiązała sznurem i wrzuciła do rzeki. No kurwa! Czy ty to rozumiesz?! Bez przesady! Dostała za to dwadzieścia pięć lat. Przez ponad dwie dekady funkcjonowania w tym miejscu zrozumiałem, że kobiety potrafią zrobić takie rzeczy, o jakich największy gangus-mężczyzna nigdy by nawet nie pomyślał.

Nadchodzi taki moment, że chwycenie za akta i ich czytanie jest dla ciebie po prostu zapoznaniem się z kolejną historią. Trochę jak literatura faktu. Na początku drżą ci łapy, ale to ustaje, bo zdajesz sobie sprawę, że jest po prostu coraz gorzej. Dawno poszedłeś tam, skąd nie ma powrotu.

Lato, późny, ale wciąż jasny wieczór. Grzechu idzie główną ulicą zakładu. Z lewej oddział numer pięć, z prawej szóstka. Przy nodze równiutko, karnie idzie pies-narkoman, zwierzak „zatrudniony” w kryminale do wykrywania prochów. Wabi się Neri. Zwyczaj w SW nakazuje, by imiona wszystkich antynarkotykowych psów rozpoczynały się od „N”. Wytresowany idealnie, ani drgnie w innym kierunku niż wytyczany przez opiekuna. Nawet mimo faktu, że 50 metrów dalej, w opuszczonym budynku, tuzin dachowców irytuje psa głośnym miauczeniem. Lęły się tam przez lata, nikt ich nie tępił i teraz co wieczór dają prawdziwe koncerty. Suka się tylko napnie, lekko zawarczy, ale nic poza tym. Sytuacji przygląda się zza krat kilkanaście osadzonych. I krzyczą:

– To chuj, nie pies! Nawet kota pogonić nie umie!!

Grzesiek uśmiecha się tylko pod nosem. Nie umie?

– No dalej! Bierz go! – rzuca do psa, a zwierzak spuszczonej ze smyczy startuje jak pocisk z lufy. Jeden z kotów ucieka tak chaotycznie, że wali łbem prosto w ścianę, po czym zsuwa się do piwnicy. Zza krat – śmiech złodziejek. Z nudów nawet takie zdarzenie jest tu uznawane za najlepszy spektakl. Ale jedna z bab wpada w szal.

– Chuju ty głupi! Serca nie masz! Kota męczysz! To ja za swoje pieniądze kupuję tym kotom najlepsze żarcie, a ty je gnębisz?! – wydziera się z pierwszego piętra.

Grzesiek ani myśli się tłumaczyć. Gwiżdże, psa przywołuje i po kilku sekundach znika za rogiem. Stawia kolejne kroki, ale nie daje mu spokoju myśl: „Co to była za dziwna baba?”. Wchodzi do biura, psa wpuszcza do kojca, a sam idzie po akta rugającej go złodziejki.

– Przeczytałem to ze zwykłej, ludzkiej ciekawości. I jedyne, co byłem w stanie zrobić, to się zaśmiać. Historia, jaką skrywała ta kobieta, to absolutna czołówka niegodziwości. Jedno ze zdarzeń, które przeszły przez moje ręce i przystawiły stempel na świadomości – przyznaje Grzesiek.

Mieszkała ze swoim mężem. On – według kuratorskich papierów – nurek śmietnikowy, luj totalny. Ona – w miarę, bo pracowała, czasem pochlała na osiedlu, ale miała znajomych i coś, co w sumie można nazwać życiem. Pewnego dnia mąż zniknął. Zapadł się pod ziemię. Był – nie ma. Nikt go nawet nie szukał, bo gdy znika zero, trudno dostrzec zmianę w otaczającej rzeczywistości. Wszystko wyjaśniło się po dwóch latach, gdy kobiecie okradli piwnicę. Przyjechała policja, spisała zeznania. Skradziono rowery, trochę starej elektroniki. Poza tym kilka słoików, nic wielkiego. Gdy policja przeszukiwała poszkodowaną, w tym samym czasie złodzieje zdobyczne rowery oblewali flaszką w parku. Najtańsze pół litra, plastikowe kubki. Na popitkę skrojony kompot. I zagrycha, kilka słoików. Piją, jedna lufa, druga, zakąszają. Kolejna lufa, chłopak sięga do słoika, wyciąga i jakby ktoś mu widły w serce wbił. Znieczulenie alkoholem okazało się niewystarczające. Momentalnie, w obrzydzeniu, oddał wszystko, co przyjął w siebie w ostatnich pięciu latach. Jego kolega dokładnie tak samo – wymiotował jak kot.

– On z tego słoika wyjął żuchwę z uchem. Rozumiesz? Baba zamordowała męża i zawekowała go w dwieście słoików, które stały przez dwa lata w piwnicy. Pokroiła, zapakowała w słoiki, a złodzieje później zakąszali nim parkową wódkę. I ta kobieta krzyczała do mnie, że serca nie mam, bo kota męczę – wspomina Grzegorz i dodaje: – Medialne zbrodnie, o których co jakiś czas krzyczą wszystkie telewizje, nie są wcale najstraszniejsze, najokrutniejsze. O tym prawdziwym piekle bardzo często w ogóle się nie mówi. A ono dzieje się obok nas. W sąsiednim bloku, na melinie z drugiej strony ulicy, w miasteczku pięć kilometrów dalej. Kilkanaście kilometrów ode mnie mieszkała Grażyna – lat trzydzieści, ale z wyglądu pięćdziesiąt, bo okrutnie była zmęczona przez wódkę. Od dawna wyłączony kontakt z rzeczywistością, wegetowała na melinie. Kto się u niej pojawiał, używał, a ona tego nawet nie pamiętała. Jej mąż Stefan też. Okazało się, że Grażka jest w ciąży. Donosiła bez choćby jednej wizyty u lekarza, urodziła w tym syfie. Stefan ani myślał wychowywać nie swojego bachora. Tuż po porodzie chwycił dzieciaka i wrzucił go do kibla – takiego na podwórku, drewnianego, z serduszkami na drzwiach. Stał się cud, bo mimo trzaskającego mrozu dziecko leżące całą noc w fekaliach przeżyło. Stefan usłyszał rano płacz, poszedł do klozetu, wyłowił dziecko z szamba, na oczach Grażyny zatłukł dziewczynkę drewnianym kołkiem i znów wrzucił ją do kibla.

W okolicy mieszkali też ludzie normalni, więc zaalarmowali służby. Widzieli przecież Grażynę z brzuchem, a nagle ani brzucha, ani dziecka. Opieka. Policja. Dostali po dwadzieścia pięć lat. I teraz pytanie: kto jest bardziej nienormalny? Medialna gwiazda Kasia, która w trzeźwy sposób zaplanowała i upozorowała śmierć córeczki, czy Grażynka ze Stefkiem, którzy zamroczeni alkoholem zatłukli dziecko jak królika? Niech każdy sam odpowie sobie na to pytanie. Takie historie utwierdziły mnie jednak w przekonaniu, że na co dzień chodzimy po ulicach piekła.

Byli tacy, którzy bardzo żalowali. Na jednego w kryminale wołali „Długi”. Bo wielki był, szeroki, z wyglądu gorzej niż zbir. Ale gdy się z nim dłużej porozmawiało, okazywał się chłopakiem o gołębim sercu. Zawsze gdy klawisze organizowali imprezy dla funkcjonariuszy bądź swoich dzieci, brali „Długiego” do pomocy. Morderca do obsługi grilla, mięso przewracał na ruszcie. Na wolności żył z dziewczyną, mieszkali u teściowej, która go nienawidziła. „Panie, przychodzę do domu, a ona do mnie z awanturą. Biła, skakała, szufelką mnie jebła. Raz się napiłem po robocie, wróciłem do domu, a ona znów to samo. Nerwy puściły. No i co mam panu powiedzieć? Zabiłem kurwę” – tak to opowiadał. Zabił jednym uderzeniem. Zamiast pobicia ze skutkiem przybili mu morderstwo. Musiał odsiedzieć 15 lat. Pokornie wziął, co dali. Wzór: przyznał się, żalował. Dziewczyna ostatecznie odeszła od niego, ale nie dlatego, że zabił jej matkę. Nie chciało jej się na niego czekać i poznała innego.

Grzesiek często chodził na kuchnię, bo musiał odbierać żarcie dla psa. Wielkie pomieszczenie podzielone jest na kilka sektorów. Z boku – mniejsze kuchnie dla różnych diet. Pracowała tam stara kobiecina, około siedemdziesięcioletnia. Nieraz zastanawiał się, co taka osoba może robić w kryminale.

– Za co pani siedzi? – spytał pewnego razu.

– A, wie pan, to trudno nawet opowiadać – usłyszał odpowiedź. Ale zauważył chęć. Kawę piła, zrobiła też Grześkowi. – Wie pan... Co ja przeżyłam z tym moim Władkiem... – zaczęła. Zdziwiał ją, że tak ciepło mówiła o człowieku, który przez całe życie, pół wieku, ją gnębił. – Miałam operację wycięcia jajników, bo było podejrzenie nowotworu. Przywiózł mnie syn do domu, pojechał, a stary przyszedł i mnie zgwałcił. Ostatkiem sił, nie pamiętam tego,

wstałam i go podobno w nocy zabiłam nożem. W letargu, półprzytomna. Pamiętam tylko zakrwawione ciało. No i tak tu trafiłam.

Przez wszystkich wokół była broniona. Że to dobra kobieta, tylko ten Władek był bandyta. Sąd złagodził wyrok, babcia dostała poniżej ośmiu lat.

Piotrek skończył fajka, też opowie. Oddział dla niepsychotycznych. Nie ma limitów. Nie ma granic. Historii na pęczki.

Chłopak wkurzył się podczas imprezy, że kumpel nazwał go cwelem. Poszedł więc do łazienki, wziął młotek spod umywalki i kilkudziesięcioma ciosami rozkwasił mu głowę. Młotek odłożył i dokończył flaszkę. 25 lat.

Inny dopiero wyszedł z więzienia. Jechał autem, przy drodze stała prostytutka. Brzydził się prostytutkami, kobietami według niego nieczystymi. Zabral ją do lasu. Zabił z taką łatwością, jakby mył dłonie, ogródek plewił.

– Pięć lat, może więcej. Tyle zajęło mi nauczenie się, by nie patrzeć na człowieka przez pryzmat popełnionej zbrodni. Dla mnie było to szalenie trudne – przyznaje wychowawca z eski. I dodaje: – Nie wyobrażam sobie, bym pracował z człowiekiem i nie wiedział, co zrobił. Muszę to wiedzieć. Mieliśmy na pawilonie gościa, który zgwałcił kobietę, po czym włożył jej rękę do pochwy i tak ją okaleczył, że kobieta... Dożywocie. Gdybym trafił na tego psychopatę, gdy na karku miałem dwa, a nie ponad dziesięć lat służby, to prędzej bym się zwolnił, niż powiedział mu „proszę pana”. Bo musimy im mówić per „pan”, często kając się przed nimi.

To zagadnienie za murami wiecznie żywe i problematyczne: czy zbrodnie, które popełnili osadzeni, wpływają na ich późniejsze traktowanie przez personel więzienia. Oficjalna odpowiedź jest oczywista: nie, bo klawisz nie jest od karania, tylko wykonywania swoich obowiązków. Nieoficjalnie jest z tym bardzo różnie.

Andrzej zawsze starał się tak pracować, by nie zapamiętywać nazwisk i nie kojarzyć ludzi z czynem.

– To piekielnie trudne. Szalenie trudno przejść ponad zbrodnią. Z drugiej strony, to wszystko nie jest takie zero-jedynkowe, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Wyobraź sobie sytuację: młoda dziewczyna pojechała odebrać synka z kolonii. Wieczorem trochę popili, flaszką wódki na trzy osoby. Rano wpakowała syna do auta i zabiła go w wypadku. Dmuchnęła w rurę, wyszło

zero cztery promila. I jak będziesz traktował taką kobietę, jeśli przeżyła to tragicznie? To wrak człowieka, poza tym w więzieniu cichutka, spokojna, praktycznie nieobecna. Będiesz z nią rozmawiał tak samo jak z tą, która utopiła dzieci w rzece? No właśnie. A powinieneś. W tym zakresie nie mam do siebie większych zastrzeżeń, ale nie zawsze mi się to udawało – przyznaje Andrzej.

Na oddziale u Grześka siedział niesamowicie toksyczny gość. Kubiak. Z zasady źle nastawiony do świata. Nie potrafił funkcjonować w kontakcie ze skazanymi ani ze strażnikami. Grzechu nie wiedział, za co chłop siedzi. Takich jak on jest tu cała masa, a nie czyta się przecież wszystkiego. Pewnego dnia gość Grześkowi podskoczył. Klawisz chwycił więc „celówkę”, patrzy, za co siedzi, a tam artykuł 148.

– Myślę sobie: „Kurwa, coś tu nie gra. Sto czterdziesty ósmy, czyli morderstwo, a na ochronkach siedzi?”. Poszedłem więc na wartownię, patrzę w akta, gdzie można znaleźć dokładny opis czynu. A tam, że facet zabił dwuletniego synka. Żona poszła na nockę do roboty, a on pił z kumplami wódę, oglądali mecz. Dziecko płakało, więc ojciec wyszedł do drugiego pokoju z kaszką. Nakarmił, ale nie chciało się uspokoić. Poszedł drugi raz i uderzył dziecko w brzuch. Wrócił do wódy, poszedł spać. Rano okazało się, że chłopiec zimny. Pęknięta śledziona. No i jak takiego człowieka określić? Zwierzę? Przecież w ten sposób obraża się zwierzęta. A on jeszcze uważa, że to wszystko wina kobiety. Bo po cholere po nocach pracuje?! Później rozliczyłem go na swój sposób. Zawsze miałem wenę, by takich gości rozliczać po swojemu – przyznaje wprost Grzegorz.

Wiele był w stanie znieść, zaakceptować, ale zdarzały się rzeczy, których przetrwać nie umiał.

– Z pedofilami nigdy nie rozmawiałem normalnie. Na tyle, na ile musiałem przy nich robić, robiłem. Ale nic poza tym. Najczęściej nie wchodzili nam w drogę, ale było kilku, którzy nie dość że na głos mówili o swoich czynach, to jeszcze się stawiali. Roszczeniowi. Działalem w granicach prawa, ale gdy mogłem pomóc, nigdy nie pomogłem. Przykład? Mistrzostwa świata w piłce nożnej. Mecz trwa do godziny 22.30, a o 22 mogłem osadzonemu wyłączyć prąd. Zgadnij: wyłączyłem czy nie wyłączyłem? Potniesz się? Kurwa, to się tnij. Z chęcią puszcze konwój. Dla ciebie to zrobię. To jedna z wielu rzeczy, które

mogłem i zrobiłem. Wiedzieli dzięki temu, u kogo mogli fiknąć, a u kogo nie. U mnie nie fikali.

W filmie *Symetria* jest taka scena: do celi wchodzi oddziałowy i mówi szamakom, że do składu dostaną nowego, który „lubi dzieci”. Osadzeni w końcu „wymierzają sprawiedliwość”, wieszając pedofila na tygrysie. Według wszystkich klawiszy to scena przerysowana. Może i było tak w latach 70. albo 80., ale na pewno nie w 90. albo później. Ludzie z takimi artykułami są osadzani pod tak zwane ochronki. Pod celą siedzą ze sobą przestępcy z podobnymi grzechami na sumieniu. Poza tym oddział dzieli się na grupy spacerowe. Wszelkiego rodzaju wyjścia na zajęcia zawsze odbywają się w ramach wspomnianych grup. Ich spotkanie na korytarzu bądź wyjście grupy mieszanej jest po prostu niemożliwe. Ostatnia część to zawsze ochronka: gaciarze, sprzedawczyki, cwele. Ich nie można z nikim innym puścić, bo momentalnie doszłoby do rękoczynów. Inni powiedzieliby właśnie: wymierzenia sprawiedliwości.

Grzegorz: – Mogę dać sobie rękę uciąć, że za moich czasów takiej sceny jak w *Symetrii* w polskim więzieniu nie było. Choć pokusa – oczywiście. I to nie raz.

Los chciał, by pewnego dnia Grzesiek był dowódcą konwoju, a na pace znalazł się wspomniany już Kubiak. Klawisz przez cały czas mu nie odpuszczał, robił wszystko według książki, przez co zabójca dziecka był dla niego coraz bardziej toksyczny. W trakcie konwoju napyskował kilka razy, ale funkcjonariusz zachował spokój. Kabaryna dojechała do Poznania.

– Na „Młynie”, czyli w Areszcie Śledczym na Młyńskiej w Poznaniu, jest tak zwana świniarnia – opowiada Grzegorz. – Idziesz po schodach i trafiasz do pomieszczenia z podpisanymi celami: Wrocław, Szczecin, Koszalin... Złodziej miał się dostać na przykład do Gębarzewa, więc pakujesz go do konkretnej celi i za kilka godzin pobierze go ekipa z tamtego zakładu. System naczyń połączonych. Punkt przerzutowy. Kubiak miał iść na Szczecin. Dobrze znałem chłopaka, który pracował na świniarni. „Daj mi klucze, sam go zaprowadzę na celę” – poprosiłem. A to na samym końcu. Dochodzimy, otwieram kukiel, patrzę – w środku same zakapiory. Wiem, co to za towarzystwo. Doświadczonym okiem umiałem stwierdzić, czy to frajery czy nie frajery. No i tam wtedy frajera nie było. Wpuściłem go do celi i mówię na głos: „Kubiak, uważaj na siebie, bo masz chujowy artykuł”. I zamknąłem. Poszedłem. Nie

wiem, co się później działo. Według papierów nie zrobiłem nic złego. Ostrzegłem go tylko, żeby na siebie uważał. Wszystko w granicach prawa. Jasne, mógł dostać. Ale mnie to nie obchodzi. Zarobił? Według człowieka, który ma empatię – zarobił? Wiem, co to empatia, i uważam, że zarobił. To są właśnie nasze klawiszowskie i ludzkie dylematy. Moje klawiszowskie środowisko mówiło: „Zajebicie zrobiliście”. Ale gdy opowiadałem to cywilom, kręcili nosami. Że tak nie wolno. My – klawisze – też jesteśmy ludźmi. Nie mogę szanować człowieka, który w taki sposób zabił swoje dwuletnie dziecko. Sorry, ale nie jestem w stanie. To tylko moja opinia i moje podejście. Każdy ma swoje sumienie i zachowuje się według swoich przekonań. Wiem, że są też klawisze, którzy myślą inaczej.

Karol miał na oddziale jedną osobę, która budziła w nim obrzydzenie. Mężczyzna celowo zagłodził własne dziecko.

– Kiedyś byłem w kwestii traktowania konkretnych złodziei bardziej radykalny. Dziś wyluzowałem. Przyznaję jednak, że do niektórych odnoszę się arogancko. Nie ma opcji, by mnie o coś poprosili. Nawet niech się nie odzywają. Aczkolwiek nie jest to zgodne z naszą zawodową etyką, bo nie jesteśmy od karania. Gdy jednak patrzę na gościa, który zagłodził czteroletniego synka – na śmierć! – to inaczej nie umiem. Dla kogoś, kto szanuje życie rodzinne, kto ma dzieci, a ja mam czwórkę, to jest nie do pomyślenia – mówi Karol i dodaje: – Są czasem chwile, w których myślisz: mógłbym być katem. W takich przypadkach mógłbym wykonywać wyroki śmierci i by mnie to nie ruszało.

ZARAZ PO KACIE

- Pamiętam zabójcę taksówkarza. Nie wrywał się, nie krzyczał. Gdy pisał do matki list pożegnalny, nawet mu ręka nie zadrżała. Skończył, wstał, krzesło do stolika przysunął. Pod sznur poszedł w całkowitym spokoju. Opaska na oczach, pętla na szyi. Dźwięk otwieranej zapadni.
- Miałem podstawową zasadę: nie rozmawiałem w domu o pracy. Swojej rodzinie do dziś się nie przyznałem, że byłem przy wykonywaniu wyroków śmierci.

Panika dopiero nadejdzie

Włodek siada naprzeciwko. Zamyka oczy. Musi się skupić. Ostatni raz był tam przecież w poprzedniej epoce. Szmat czasu minął, ponad 30 lat.

Moment w ciszy.

Swój gabinet zamyka na klucz. Jest kilkanaście minut przed godziną 18. Na areście spokój. W stronę klatki schodowej idzie z prokuratorem. Z drugiego piętra aż do piwnicy. Jest tam taki długi korytarz. Bez okien. Żarówki wkręcone w lampy świecą przy suficie. Panowie się nie zatrzymują. Naczelnik pewnie stawia kolejne kroki, prokurator się rozgląda. Może nie nerwowo, ale z zaciekawieniem. Mijają jeden magazyn, drugi. Z lewej jest składzik na miotły. Z prawej kolejna graciarnia. Jeszcze dalej – pralnia, też dziś nieczynna. Wszystko pod kluczem. Idą, korytarz niesie dźwięk stukających fleków. Otwarte jest tu tylko jedno pomieszczenie.

O miejscu, do którego wchodzi, strażnicy mówią „poczekalnia”. Mniej niż 20 metrów kwadratowych. Przeprowadza się tu skazańca tuż przed egzekucją. To tu prokurator odczyta wyrok i wypowie swoją kwestię. Że Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Że wyrok zostanie wykonany.

Pod ścianą można domknąć sprawy doczesne. Stoi tam stolik z kartką i długopisem na blacie.

W kącie można załatwić sprawy wieczności. Stoi tam konfesjonał.

Idealnie na środku pomieszczenia sterczy męczyzna w więziennym drelichu. Dygoce. Kuli się, zaraz prostuje, nie panuje nad swoimi ruchami. Już nie strach, jeszcze nie panika. Panika dopiero nadejdzie. To raczej wstrząs, przerażenie. Wokół niego pięciu strażników. Doprowadzili go kilka minut wcześniej. Poczęstowali fajkiem, żeby chłopą trochę rozluźnić, czymś go zająć. Próbuje więc palić, ale telepiące się dłonie nie pomagają trafić filtrem między wargi. On wie, że to już jego ostatnie minuty, sekundy. Wie, że za moment się zacznie. Że już się zaczęło i zaraz się skończy.

Włodek zerka w lewo. Bezpośrednio z „poczekalni” wchodzi się do następnego pomieszczenia. Surowego, wilgotnego i prawie pustego. To cela straceń. Więźniowie mówią: „sieczkarnia”.

– Stała tam metalowa bramka z oczkiem na środku. Kat przez to oczko sznur przekładał – wspomina starszy męczyzna. Otwiera oczy. – Co pan chce jeszcze wiedzieć?

– Bał się pan?

– Tylko za pierwszym razem. Później już jakoś szło.

Zaraz po kacie

O więzieniu z tamtych lat wie wszystko. Robotę rozpoczął tuż po wojsku. Były lata 60., zupełnie inne czasy. Nie tylko politycznie. O trzymaniu wrogów ludu pod kluczem słyszało się wtedy już tylko z opowieści starszych kolegów. Za mury wkraczało nowe. Właśnie wtedy pierwszy raz usłyszał hasło „resocjalizacja”. Na własne oczy widział, jak się w Polsce rodzi, jak raczkuje. Był świadkiem jej pierwszych, nieudolnych kroków. Co tu dużo gadać – nawet dziś mówi się, że to procedura niedoskonała i skomplikowana, a co dopiero w tamtych czasach. Przecież w całym zakładzie zatrudnionych było raptem pięć osób z wyższym wykształceniem. Lekarz, psycholog, kierownik działu, dyrektor, jeszcze ktoś od papierów. A reszta? Poziom wyuczenia taki, że kto miał maturę zdaną, ten mógł o sobie „elita” mówić. Trudno poza tym kogoś naprawiać, gdy pod celami tysiąc bandytów, a na peronce osamotniony, przygnieciony rzeczywistością psycholog.

– O resocjalizacji bardziej się wtedy mówiło, niż się ją robiło. Stawiano przede wszystkim na ochronę – wspomina Włodzimierz.

Służba i możliwa ścieżka awansu wytyczyły mu drogę: najpierw liceum, później studia prawnicze. Leciał w górę jak wystrzelony z katapulty. Od kaprała na wartowniczej budzie, przebijając się przez wszystkie możliwe szczeble, wylądował w fotelu naczelnika. Aresztu potężnego, jednego z największych w Polsce. Pełnił tę funkcję grubo ponad dekadę. Lubił tę robotę nawet mimo tego, że miała rozległe cienie. O jednym z nich wspominał, gdy kazano mu odpowiadać na pewne pytanie.

– Jest pan za karą śmierci?

– Jako obywatel: tak. Jako naczelnik: nie – tak mówił przed dziesięcioleciem. Tajna instrukcja dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych z 1971 roku nakładała bowiem na naczelnika więzienia obowiązek obecności przy wykonywaniu wyroków śmierci. Stracenia odbywały się w wybranych placówkach w Polsce. W całym kraju było ich raptem kilka, między innymi w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Poznaniu czy Łodzi. W tym gronie był też jego areszt. Nie tylko obserwował. Brał udział w tej procedurze i pełnił w niej ważną funkcję. Niektórzy mówią, że drugą najważniejszą, zaraz po kacie.

– Pamiętam dokładnie wszystkie stracenia. Niech mi pan wierzy, być przy tym to naprawdę nic przyjemnego.

Był osiem razy.

W sumie normalny gość

Zgasił fajka w wypełnionej po brzegi popielniczce. Chwycił za ucho czerwonego koszyczka i dźwignął szklanekę, by przepłukać gardło resztką zimnej herbaty. Ciepło uchodziło z niej długo – dokładnie tyle, ile naczelnikowi więzienia zajęła lektura akt. Znał je wcześniej, czytał przecież te papiery trzy miesiące temu i mimo procedury dziś mógł to sobie odpuścić. Coś go jednak dusiło w środku, nie dawało spokoju. Uznał, że ponowne zapoznanie się z sentencją wyroku doda mu pewności siebie. Miał rację. Lektura dokładnych opisów popełnionych zbrodni rozgoniła klębiące się w jego głowie myśli.

Skończył, papiery wsunął w tekturową teczkę, którą zgrabnie zawiązał na kokardkę i wrzucił do szuflady. Gdy wstał i dreptał w stronę okna, zegar wskazywał kilka minut przed godziną 15. Dwaj strażnicy wchodzili właśnie na wartownię, młody chłopak z karabinem na ramieniu zabijał nudę, spacerując

po balkonie wartowniczej wieży. Gdzieś pośrodku tego leniwego, marcowego popołudnia w głównej bramie zjawił się czarny samochód na stołecznych blachach. Zakręcił wokół dużego klombu, zaparkował, przyklejając się do muru. Pierwszy wyskoczył kierowca, młodszy mężczyzna. Drugi, z siedzenia pasażera, wytoczył się ten starszy. Na oko czterdziesto-, pięćdziesięcioletni. Kazali się prowadzić prosto do naczelnika.

– Melduję swoją obecność – rzucił starszy tuż po wejściu do gabinetu. Wyciągnął legitymację. Zgadza się, na niego właśnie Włodek czekał, choć i tak był przekonany, że dane wpisane w papiery były nieprawdziwe. Trudno, żeby najbardziej tajemnicza postać tego systemu machała na prawo i lewo prawdziwym nazwiskiem.

– Dzień dobry. Kawka, herbatka? – zaproponował szef aresztu.

– Może herbatka – padła odpowiedź.

– Ten kat to był w sumie normalny gość – wspomina po latach Włodzimierz. – Do zakładu przyjeżdżał na kilka godzin przed zaplanowaną egzekucją. Zawsze ten sam mężczyzna, zawsze z tym samym pomocnikiem, tą samą czarną wołgą. Od razu szedł do mojego gabinetu i meldował o przybyciu. Zamienialiśmy kilka kurtuazyjnych zdań. O przebytej drodze, pogodzie. Nigdy o wieszaniu ludzi. Kilka żartów, dwie herbaty, trochę ciastek. Nie kleiła nam się ta pogawędka, ale chłop nie sprawiał wrażenia innego niż my wszyscy. Nic więcej o nim jednak nie wiem. Myślę, że to była praca na zlecenie. Wcale nie musiał być pracownikiem sądu. To mógł być zwykły facet, który od czasu do czasu dostawał zadanie do wykonania. Taka umowa o dzieło.

Oficjalne dokumenty zawierające personalia ludzi pełniących w naszym kraju funkcję kata wciąż są tajne, dostęp do nich będzie można uzyskać dopiero po 2038 roku, czyli po 50 latach od przeprowadzenia w Polsce ostatniej egzekucji. Do jednej z tych osób udało się dotrzeć Jerzemu Andrzejczakowi. Wynikiem tego spotkania jest książka *Spowiedź polskiego kata*. Mężczyzna po latach wspominał między innymi wrywających się, krzyczących, dociąganych pod pętlę jak worki ziemniaków skazańców, tracących rozum tuż przed egzekucją. Nawet w książce nie wychodzi jednak poza zasłonę tajemniczości. Wiele informacji od lat krąży natomiast w środowisku. Że polskich katów było tylko dwóch. Że jeden z nich popełnił samobójstwo. Że pracowali w jednym z warszawskich kryminalów, a gdy trzeba było stracić skazańca gdzieś

w Polsce, w tę mroczną wycieczkę ruszali czarną wołgą. Że za wykonanie wyroku zarabiali ekstra kasę. Andrzej Rzepliński, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego, a w przeszłości także badacz tematyki kary śmierci, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówił, że w latach 70. kat otrzymywał dodatkowe wynagrodzenie w wysokości tysiąca złotych za każdą wykonaną egzekucję. U schyłku epoki Edwarda Gierka średnia pensja w Polsce wynosiła pięć tysięcy.

Po wypiciu herbaty przybysz wstaje.

– Panie naczelniku, o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt wszystko będzie gotowe. Widzimy się na dole – rzuca do Włodka i wychodzi z jego gabinetu.

Korbka

Różnych się tu wieszalo za jego kadencji. Byli pozbawieni uczuć seryjni mordercy. Seksualni dewianci, pedofile. Byli mściciele, psychopaci czy po prostu pospolici przestępcy, którzy zapomnieli o granicach. Kilku z nich – z różnych powodów, choćby ich opanowania – ma szczególne miejsce w jego pamięci.

Pierwszy został skazany za trzykrotne zabójstwo. Doszedł do wniosku, że jego jedyną szansą na przedłużenie sobie życia jest kolejne morderstwo. Wtedy konieczna będzie następna rozprawa, czyli co najmniej rok oddychania dłużej. O tych planach dowiedział się funkcjonariusz na oddziale, informację szybko przekazał wyżej. Sprawa była poważna, bo osadzony był potężnie zbudowany. Gdyby walnął pięścią w drewniany stół, w drzazgi by go rozbił. W końcu przyszły papiery nakazujące wykonanie egzekucji. Naczelnik bardzo się bał, że morderca zabije jednego ze strażników podczas doprowadzenia. Wyraźnie zwiększono środki ostrożności. Wstrzymano oddech. A chłopak ani mruknął. Od wyjścia z celi do końca na sznurze nie stawiał oporu. Powiesili go bez większej historii.

Z kolejnym wiąże się porażająca historia. Skazali go za morderstwo żony przyjaciela z więzienia. Wyszli na wolność, wigilia była, czekali na żonę kumpla. Choinka ubrana, jedzenie zrobione, tylko kobiety nie ma. Wyrztał przez okno, a ona z jakimś alfonsem się prowadzi. Uznał, że taka baba nic nie jest warta. Że jego przyjaciel zasługuje na więcej. Brutalnie ją zamordował.

Później tłumaczył, że „wyrwał chwasta”. Włodek bardzo długo rozmawiał z nim w celi. Próbował rozwiązać zagadkę: dlaczego osadzony z nim mężczyzna nagle odebrał sobie życie? Naczelnikowi sprawa śmierdziała na kilometr. „Coś tu nie gra. Według mnie to nie było samobójstwo” – powiedział prokuratorowi po tej długiej dyskusji. Poznał wtedy tego mordercę dokładnie. Dowiedział się, że według niego istnieją ludzie, którzy nie zasługują na życie. Że jego idolem jest Adolf Hitler. W końcu morderca przyznał się, że tego więźnia to też on zabił. Że „wyrwał chwasta”. Że nie było potrzeby, by takie zero po ziemi chodziło.

Włodzimierz: – Pamiętam też zabójcę taksówkarza. Nie wyrwał się, nie krzychał. Gdy pisał do matki pożegnalny list, nawet mu ręka nie zadrżała. To było wstrząsające opanowanie. Skończył, wstał, krzesło do stolika przysunął. Pod sznur poszedł w całkowitym spokoju. Opaska na oczach, pętla na szyi. Dźwięk otwieranej zapadni.

– Niektórzy myślą, że właśnie ten dźwięk zostaje w świadomości już na zawsze. A ja nie umiem wymazać innego wspomnienia. Czasem zdarzało się, że kat zakładał skazanemu pętlę na szyję, ale lina okazywała się zbyt długa. Wówczas używał specjalnej korbki, by tę linę podciągnąć. Kręcił, a korbka wydawała charakterystyczny odgłos.

Try-try-try, try-try-try, try-try-try.

I dopiero dźwignia.

Socjotechnika

Nie jest łatwo dobrze powiesić człowieka. Kat musi dokładnie wiedzieć, ile skazany waży, ile ma wzrostu. Zanim schodzi do piwnicy, zawsze pyta o to funkcjonariusza. Od tego zależy, jak długą linę przygotuje. Ten sposób stracenia przez powieszenie nie polega na uduszeniu. Polega na przerwaniu rdzenia. Swoje robi znajdująca się poniżej szyi masa ciała, gwałtownie opuszczona i jeszcze gwałtowniej wstrzymana zaciśniętą pętlą. Wymiary skazańca są kluczowe. Jeśli lina będzie zbyt krótka, nie dojdzie do przerwania rdzenia, a śmierć nastąpi w męczarniach, przez uduszenie. Jeśli będzie zbyt długa, ciężar ciała może spowodować oderwanie głowy. Nikt tu nie chce oderwania głowy.

By dobrze powiesić człowieka, kluczowy jest każdy element procedury. Nie tylko w celi straceń. Wszystko zaczyna się trzy dni wcześniej, gdy Włodek otrzymuje pocztę specjalną. To jedyny przypadek, gdy wiadomość musi odebrać osobiście. W kopercie papier, na papierze informacja: na kim ma zostać wykonany wyrok śmierci i nazwiska osób odpowiedzialnych za przeprowadzenie procedury, czyli naczelnika, prokuratora oraz kata. Do tego data i godzina. Taki dokument otrzymują również prokurator i adwokat. W areszcie wie o tym tylko naczelnik.

Dopiero kilka godzin przed egzekucją szef więzienia informuje pięciu funkcjonariuszy. Osoby, które doprowadzą skazanego do miejsca straceń i będą go pilnować aż do wyzionęcia ducha. Włodek zawsze wybierał tych samych, sprawdzonych. Niegadatliwych, doświadczonych oficerów bądź podoficerów z działu ochrony. Wcześniej, nie zdradzając szczegółów i powodu, informował księdza kapelana, by był dostępny w okolicach godziny 18. Kleryk od razu wiedział, o co chodzi. W tym areszcie egzekucje zawsze przecież wykonywano o szóstej wieczorem.

Wychodząc z celi, skazany nigdy nie wiedział, że to jego ostatnie kroki. Do samego końca żył przecież nadzieją na udzielenie łaski.

– Aby uniknąć niepotrzebnej szarpaniny, odmowy wyjścia z celi, stosowaliśmy trochę socjotechniki – wspomina Włodzimierz i tłumaczy: – Od wydania prawomocnego wyroku do egzekucji mijały jakieś trzy miesiące. W tym czasie, codziennie bądź co dwa dni, zawsze ten sam oficer wyciągał pod wieczór złoczyńcę z celi na pogawędkę. Herbatę mu w dyżurce robił, chwilę pogadali i po kilkunastu minutach znów go zamykał. Przyzwyczajają, że o tej porze oficer na fajkę prosi. Że nie ma się czego bać. Gdy więc skazaniec wychodził z celi, nie miał pojęcia, że na korytarzu czeka na niego kilku innych strażników i za kilkanaście minut nie będzie już żył. O tym, że idzie na stracenie, orientował się dopiero w momencie, gdy przez strażników był prowadzony w miejsce, w które nigdy wcześniej prowadzony nie był. To był nasz sposób, może w innych zakładach robili inaczej.

Trzeba ich było czasem nawet z trzeciego piętra sprowadzać do piwnicy. To zajmowało czas, mieli możliwość krzyczenia. Jednak zdecydowana większość przypadków, z którymi miałem do czynienia, ograniczała się do poddania paraliżującemu strachowi. Po to się przecież wysyłało kilku funkcjonariuszy,

żeby nie było problemu z doprowadzeniem nawet tych wyrywających się skazanych.

Na godzinę przed egzekucją do aresztu przyjeżdżał prokurator. Dokładnie pilnowaliśmy godziny, by stracenie nastąpiło idealnie o wyznaczonej porze. obrońcy, choć miał do tego prawo, nigdy podczas stracenia nie było, ale pilnowanie czasu było podstawą. Gdyby egzekucja nastąpiła kilka minut za wcześnie, a w tym czasie pojawiłby się obrońca, mógłby nas oskarżyć o złamanie procedury.

Po wystąpieniu prokuratora w „poczekalni” pytało się więźnia, czy ma ostatnie życzenie. Wszyscy, bez wyjątku, prosili o księdza. Jeden z funkcjonariuszy szedł po kapelana. Mijało wtedy kilka minut, więc doświadczeni strażnicy znów wyciągali fajki, częstowali, zagadywali. Chcę to wyraźnie zaznaczyć: nigdy nie było tak, jak przedstawił to Kieślowski w *Krótkim filmie o zabijaniu*. Nie było niepotrzebnej przemocy, chamstwa. Tak samo całkowitą nieprawdą jest, że ludzie mogli się zebrać pod bramą więzienia i pikietować podczas wykonywanej egzekucji. Przecież poza kilkoma osobami nikt o egzekucji nie wiedział! Na tym polegała cała tajemnica! Nie na sposobie, bo każdy wiedział, że się wiesza. W tajemnicy chodziło właśnie o to, by ludzie nie wiedzieli o terminie i nie dochodziło do scen jak we wspomnianym filmie!

Niektórzy siadali za stolikiem. Próbowali pisać, ale emocje nie pozwalały stworzyć choć jednego zdania. Pisali trzy, cztery słowa i doznawali blokady. Po większości widać było oszołomienie, strach. Czasem krzyczeli do prokuratora: „Oszukał mnie pan! Nie tak się umawialiśmy! Inaczej miało być!”. Może rzeczywiście coś mu obiecał i się nie wywiązał? Nie wiem, nie wnikałem.

Całą procedurę, która od wyjścia skazanego z celi do pociągnięcia przez kata dźwigni trwała przeważnie od kilkunastu do kilkudziesięciu minut, opisuje wspomniana już tajna instrukcja. Skazaniec mógł w ostatnim życzeniu poprosić o coś, czego spełnienie nie zajęłoby więcej niż godzinę i nie naruszałoby powagi chwili.

– U mnie kończyło się na papierosie, liście i księdzu – mówi Włodek. O alkoholu nie mogło być mowy. Skazaniec wchodzący na zapadnięć musiał być w pełni świadomy. Ewentualnie mógł poprosić lekarza o środek uspokajający, ale też niewyłączający świadomości. Musiał czuć.

Po spełnieniu ostatniego życzenia zaczyna się najgorsze.

Gdy więzień jest gotów do drogi, strażnicy – ci, którzy chwilę wcześniej palili z nim fajki – skuwają mu ręce z tyłu. Jeśli trzeba, również nogi. Mocno trzymają. Sznurkiem wiążą nogawki. To tutejszy sposób. Człowiek idący na tamten świat nie wypuszcza przecież z siebie tylko duszy. Nawet instrukcja nakazywała, by na dnie zapadni pod wisielcem stała blaszana miska.

Do „poczekalni” wchodzi kat. Według tajnego dokumentu miał być ubrany w czarny garnitur, białe rękawiczki. Miał mieć zasłoniętą twarz. Nie zawsze się do tego stosował.

Widok tego człowieka uruchamia czasem panikę, ale strażnicy robią wtedy swoje. Mocno trzymają. Kat wiąże więźniowi na oczach czarną opaskę. Nieszczęśnik nie może zobaczyć szubienicy. Pod ramiona wprowadzają go do pomieszczenia obok. Ustawiają na zapadni. Wszystko gotowe. Sznur, pętla na szyi – kat zawsze przywozi własny sprzęt. Ciągnie dźwignię. Podczas całej procedury nie wypowiada ani jednego słowa. Nic. Ani dźwięku. Śmierć następuje błyskawicznie. Ciało wisi przez 20 minut.

Włodzimierz: – Po wykonaniu kary wraz z prokuratorem wychodziłem z tego pomieszczenia. Nie staliśmy tam dwadzieścia minut. Po tym czasie lekarz stwierdzał zgon, a kat opuszczał zwłoki, kręcąc korbką. W magazynie obok zawsze mieliśmy zapas dwóch-trzech trumien.

W literaturze można natrafić na informacje, że kat miał swoje rytuały. Że po egzekucji zdejmował białe rękawiczki i rzucał je do trumny na pierś straconego. Albo gdy zdejmował zwłoki z pętli, mówił: „Nie ja jestem winien twojej śmierci”. Pytam o to naocznego świadka.

– Może w innych więzieniach w Polsce rzeczywiście tak się działo. U mnie jednak nic takiego nie miało miejsca. Po stwierdzeniu zgonu kat zabierał linę i opaskę, po czym bez słowa pożegnania wychodził ze swoim pomocnikiem z pomieszczenia, szli do samochodu i momentalnie odjeżdżali. Trumna z ciałem była wywożona kolejnego dnia na cmentarz. Rodzina ciała nie odbierała. O wszystkim, wykonaniu wyroku oraz miejscu pochówku, dowiadywała się po fakcie od prokuratora – wspomina.

Przeciw

Nigdy i z nikim. Ani jednej rozmowy o szczegółach. Ani w domu, ani z przyjaciółmi, ani z naczelnikami innych kryminalów. Bo i po co? Do dziś nie jest to zresztą dla niego temat do dyskusji. Zawsze sobie powtarzał: ktoś nieznający sytuacji mógłby powiedzieć, że ten człowiek jest niespełna rozumu, chory na głowę, bo chwali się wieszaniem ludzi.

– W żaden sposób nie wpływało to jednak na pana psychikę? – dopytuję.

– Robiłem to z obowiązku. Miałem taką pracę, nic więcej – wyraźnie zaznacza. – Nie śniło mi się to po nocach, nie wracałem do tego myślami i nie przeżywałem za mocno. Przez leżące na biurku papiery zapowiadające egzekucję nie wychodziłem z domu ze świadomością, że będę miał popsuty dzień. Serce mi szybciej nie biło. Myślę, że o wiele gorzej mieli strażnicy, którym wydawałem polecenie udziału w tej procedurze. Oni musieli skazanego doprowadzić na miejsce straceń, wprowadzić go na zapadnię, przytrzymać. Odreagowywali. Na wódkę szli. Czasem razem szliśmy.

Miałem też jedną, podstawową zasadę: nie rozmawiałem w domu o pracy. W ogóle nie mówiłem o tym, co spotyka mnie za murami. Swojej rodzinie do dziś się nie przyznałem, że byłem przy wykonywaniu wyroków śmierci. Może sami się domyślają, ale nigdy takiej rozmowy między nami nie było – ani z mojej, ani z ich inicjatywy. Z drugiej strony, co ja mogłem wtedy powiedzieć żonie, dzieciom? Że tatuś był dziś w pracy przy powieszeniu człowieka? Żona by pewnie zrozumiała. Ale dzieci? Byłaby to dla nich trudna chwila. Niepotrzebna.

Byłem naczelnikowi mówię, że często można się dziś spotkać z bardzo zdecydowaną postawą. Że ktoś słyszy o popełnionej zbrodni i mówi, że jest za karą śmierci. Ba, że w niektórych sytuacjach mógłby być nawet katem. Włodzimierz tylko się uśmiecha.

– To się tylko tak mówi... Kto zobaczyłby to na własne oczy, prawdopodobnie zmieniłby zdanie. Nie wyobrażam sobie, bym mógł być katem. Sprowadza się to do indywidualnych możliwości każdego człowieka. Możliwości powiedzenia sobie: „Mogę zabić, odebrać życie”. Ja nie mogę.

Przed laty często musiał odpowiadać na pytanie, czy jest za karą śmierci. Po odejściu na emeryturę, a nastąpiło to już 30 lat temu, nie zaprzętał tym sobie jednak głowy. Nawet mimo faktu, że przez bardzo długi czas toczyły

się w tej sprawie burzliwe dyskusje. On swoje widział, chciał mieć już od tego tematu spokój. Nie sposób jednak nie spytać.

– Dziś jest pan za czy przeciwko? – rzucam na koniec spotkania.

– Dziś, gdy myślę już o tym z dużym dystansem, jestem przeciwko. Trudno zresztą karę śmierci nazywać karą. To po prostu eliminacja, a eliminacji nie sposób zaakceptować. Jeśli morderca zostaje skazany na dożywocie, na pewno tę karę odczuje. I to bardzo mocno. A skazany na śmierć? Naje się strachu, potrwa to chwilę i zaraz jest po człowieku.

Włodek mówi o sobie: „nieudzielający się katolik”. Jest jednak pewny, że tych, którzy ducha oddali w „sieczkarniku”, po drugiej stronie nie spotka.

Znów zamyka oczy.

Chwila ciszy.

Nie każmy na siebie czekać, chodźmy. Na zegarze godzina 17.48. Drzwi gabinetu zamknięte. Schodami w dół, jedno piętro, drugie, trzecie. Wilgoć bije w nozdrza, drogę wytycza aleja z rozżarzonych żarówek. Mijamy zamknięte magazyny, dwie graciarnie, pralnię. W długim korytarzu uchylone tylko jedne drzwi. Skazaniec już czeka. Przerażony, drżą mu ręce. Emocje gasi tłącym się petem. Zerka na ciebie pełen żalości.

Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok zostanie wykonany. Jakie jest pana ostatnie życzenie?

SYSTEM

Syzyfowe prace

Uczą o tym na specjalnych kierunkach studiów. Są od tego profesorowie, specjaliści, autorzy grubych książek bez obrazków. Tworzą przepisy, opracowują procedury, spisują zalecenia, szkolą tych taplających się w błocie. Teoria bogata, badań tysiące, wniosków na pęczki. A gdy w kraju dzieje się coś wstrząsającego, następuje ich rozmnożenie. Z eksperckich i politycznych głów schodzi lawina teorii, zasypująca żółte paski. Rozmawiam z Andrzejem i Grzeskiem, a w telewizji toczy się właśnie jedna z setek debat po zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Eliminować czy naprawiać? Jak naprawiać? Jak izolować? Czy resocjalizacja istnieje? Czy działa?

– No właśnie: istnieje? – pytam.

– Resocjalizacja to procedura, którą zamknięto w książce. Istnieje – odpowiada Grzesiek.

– A działa?

– Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Według mnie w zdecydowanej większości i z wielu powodów nie prowadzi do celu – uważa.

Andrzej kiwa twierdząco głową.

Przysłuchują się telewizyjnej dyskusji i bije z nich irytacja. Choćby na brak zrozumienia kwestii według nich absolutnie podstawowych. Człowiek to przecież nie kawałek drewna, który można dowolnie obrabiać według wskazówek z podręcznika. Nie jest tak, że bandzior po trafieniu za kraty daje się na nowo lepić jak ludzik z plasteliny. Tajemnica ewentualnej przemiany nie tkwi w przepisach i procedurach oraz pracownikach kryminału. To element ważny, trzeba na niego zwracać uwagę, szczególnie w momencie, gdy system ledwo dycha. Kluczem jest jednak sam osadzony. Jeśli zrozumie swoje błędy i będzie chciał się zmienić, resocjalizacja zaistnieje. W przeciwnym razie nie ma co nawet o tym marzyć. Niby oczywistość, ale nie każdy chce to zaakceptować. Grzegorz kluczowy moment nazywa przełomem.

To jest teraz moja ekipa

Wołali na niego „Młody”. Żołnierz mafii, kapitan dużej grupy. U „Maliny” robił. Specyficzna profesja, bo odwiedzał dłużników i obcinał im palce albo uszy. Zamiast w poniedziałek dłużnik oddawał 100 tysięcy złotych w piątek, więc „Młody” jechał z ekipą, ciął paluchy, żeby facet raz na zawsze zapamiętał: poniedziałek jest w poniedziałek. Nie w piątek. Siedział u Grzeška na zakładzie. Pewnego dnia przyjechała do niego kobieta na widzenie. Wszedł jak zawsze: na pewniaka, krokiem majestatycznym. Gigantyczne ego ledwo pozwoliło mu się precyzyjnie przemieszczać przez futrynę. Rozmawiające ze swoimi rodzinami frajery tylko głowy pospuszczały, by nie spotkać się z nim wzrokiem. Git. Konkret szamak. Babę w pasie złapał, ale to nie czułość. Raczej niepodzielne panowanie, wyrażone wpychanym w usta językiem.

– Siadaj.

Siadła.

– Mów, co tam.

Mówi, co tam:

– Radek, mam dość. Nie mogę na ciebie wiecznie czekać. Potrzebuję faceta. Potrzebuję wsparcia. Dziecko potrzebuje stabilizacji. A przecież do mnie wciąż przychodzą dziwni ludzie z twojego otoczenia! Ciągłe czegoś ode mnie chcą! Mówią, że jesteś im coś winien. Radek, rozchodzimy się! To koniec!

Wstała i uciekła.

Szybka akcja. „Młody” nawet nie zdążył zareagować. Bez zająknięcia patrzył, jak jego kobieta, tnąc pomieszczenie, wybiega mu z życia. Znikała za drzwiami, a on musiał poczuć w sobie tąpnięcie. Ziemię osuwającą się spod nóg. Najtwardszy z najtwardszych w więzieniu, zawodnik ze złodziejskiej ligi mistrzów, rozbeczał się przy stole na widzeniówce. A wokół, oprócz zahukanych frajerów, 10 mocnych kumpli, którzy za cholerę nie mogli widzieć łez. Wrócił na celę. Nawet nie tyle do niej wszedł, co się w nią wtoczył. Chrząknął zamek, zapiszczała zasuwka, a on stał tak w bezruchu przez dłuższą chwilę. Coś musiało w nim wzrastać, gotować się, kipieć, bo w końcu wpadł w szal. Totalna demolka, walenie fikołem w okna i drzwi. Gdy już wszystko wokół rozpieprzył w drobny mak, chwycił jednorazową maszynkę i ciął się przeraźliwie. Cięcie obok cięcia. Amok z oczu. Krew z ran. Pożar próbował gasić cały zastęp ludzi: najpierw oddziałowy ze swoimi oficjalnymi

formułkami. Później wychowawca i jego książkowe wezwania. Pani psycholog i pielęgniarka wycelowały w niego delikatne, kobiece głosy. Wszystko na nic. Pacyfikacja była o krok.

– Dobra, dajcie mi z nim chwilę – powiedział w końcu Grzesiek do kolegów. Był wtedy zastępcą dowódcy. Na zajście zerkał z boku, oparty o ścianę z drugiej strony korytarza. – Wszyscy stąd po prostu idźcie.

Zasuwa górna, zasuwaj dolna. Nieśmiały krok do środka celi.

„Młody” najsilniejszy był za tymi murami, ale Grześkowi w drogę nigdy nie wszedł. Zerknął na pysk klawisza. Nic nie powiedział, tylko głowę spuścił, co było jasnym sygnałem: wejdź, niczym w ciebie nie rzucę. Nie położę cię na ziemi jednym ciosem. Chwila ciszy, przerywanej płytkim oddechem osadzonego. Wdech, wydech, wdech.

– Jarasz? – Grzesiek wyciągnął z kiermany paczkę elemów lightów. Stuknął w dno, fajka wyciągnął ustami prosto z pudełka. Odpowiedzi nie usłyszał, szluga przypalił więc tylko sobie, a paczkę wsunął w kieszeń.

– Młody, kurwa! Ale że ty? Ty?! – zaczął klawisz. – Gdy byłeś u szczytu chwały, wszystkich ustawiałeś jednym pstrykiem! Przecież wszyscy tu na ciebie patrzą i srają w gacie. Ja też! A ty się teraz tniesz?! Jasne, rozumiem cię. Baba ci się chce wysprzęglić. Dzieciak ci ucieka. Każdy by się wkurwił... Ale nie możesz! Po prostu nie możesz takich rzeczy robić!

Najgroźniejszy bandzior na obiekcie znów się rozpląkał. Rozwył. Po opatrzeniu ran jeszcze dwie godziny wylewał się funkcjonariuszowi. I to był moment, po którym siadł na dupie. Odmieniło mu się, jakby w głowie przełączyło. Coś zrozumiał. Na własny wniosek przeszedł pod celę, w której siedział sparaliżowany osadzony. Gangus latający kiedyś po Szczecinie z kałachem w łapie i dla zabawy strzelający do ludzi zaczął temu sparaliżowanemu tyłek podmywać. Minęły trzy lata, do końca kary dojechał jako spokojny, odmieniony obywatel. W każdym człowieku tkwi potrzeba miłości. Nieważne, co robisz, jak żyjesz – to uczucie daje wsparcie. „Młody” stracił podczas tego widzenia wszystko, co w jego świecie można było nazywać wsparciem. Potrzebował tego wstrząsu, by unieść ciężar zmiany swojego życia.

Dwa lata od jego wyjścia na wolność. Grzesiek je obiad w barze. Pierogi, śmietana, kompot z truskawek w kubku bez ucha. Przeżuwa kolejne kęsy

i zerka dwa stoliki dalej. Tyłem do niego siedzi potężny gość, szeroki na dwa krzesła. Obok – kobieta z dzieckiem. Funkcjonariusz na dłużej zawiesił na niej wzrok. Myśli sobie: „Ładna, w moim typie. Gdzieś ją już mogłem przykleić. Tylko gdzie?!”.

W tym momencie odwraca się wielki chłop.

– Radek! – od razu woła Grzegorz.

Radek obrzuca go obojętnym spojrzeniem.

– Znam cię?

– No pewnie! Zakład! Oddział dziesiąty!

Człowiek bez czapki i munduru to jakby inny byt. Wielu nie jest w stanie przetrwać tej różnicy aparycji. Ale kolos wstaje, podchodzi i rękę wyciąga.

– Popatrz, jak sobie życie spierdoliłem. Już dawno mogłem to mieć. Teraz to moja ekipa. Za te baby dałbym się zabić. Jak kiedyś za kolegów i prochy.

Kryminał, kochany dom

– „Młody” musiał zrozumieć, że najważniejsze nie jest latanie z kałachem po Szczecinie. Że w życiu nie chodzi o to, by pół Polski na widok jego auta uciekało ze strachu. Najważniejsze, by córka siadła mu na kolana i powiedziała, że go kocha. Dokładnie to powiedział facet, który nigdy w życiu nie przyznałby się do posiadania uczuć. Kwintesencja resocjalizacji, czyli powrotu na łono społeczeństwa. Przyswojenia i zaakceptowania wartości obowiązujących w danej zbiorowości. Cały problem jednak w tym, że „przełom” to zjawisko niezwykle rzadko spotykane. Przez dwadzieścia lat z tak jaskrawymi przypadkami spotkałem się raptem kilka razy – mówi Grzesiek.

Strażnicy wyróżniają kilka grup złodziei. Pierwsza to ludzie, dla których działalność przestępcza stanowi sens życia.

Andrzej: – Możesz im wdrażać najlepsze programy terapeutyczne prosto z Harvardu, realizowane w sterylnych, idealnych warunkach, a i tak będą cię mieli gdzieś. Takimi ludźmi nie ma się co zajmować, bo to strata czasu i pieniędzy. Skala jest ogromna, ponad połowa osadzonych w polskich więzieniach to właśnie takie przypadki. Jasne, często można ich spotkać podczas zajęć terapeutycznych, ale nie dlatego, że myślą o przemianie. Chodzą

tam, bo mają później ułatwione widzenia, przepustki, a wychowawca częściej wypisuje wnioski nagrodowe.

Druga grupa to osoby, dla których więzienie jest całym życiem. Wtopili się w kryminał, wrosli w ten brud na zawsze. To nic nadzwyczajnego, że niektórych osadzonych po odbębnieniu wyroku trzeba siłowo wyrzucać za bramę zakładu. Nie chcą na wolność. Wolność ich przeraża. Nie ma szans, by w takim przypadku miał znaczenie jakikolwiek środek resocjalizacyjny, bo oni po prostu nie widzą innego życia niż to w kryminale, i robią wszystko, żeby do niego wrócić.

Krzysiek: – Gość siedział dwadzieścia pięć lat. Nagle wychodzi i zderza się z rzeczywistością. Jedzie do swojego miasta, którego nie rozpoznaje. W centrum postawili coś ogromnego. Ludzie mówią na to galeria handlowa. To dla niego nie do pomyślenia, że w jednym miejscu może być tyle sklepów. No i że to wszystko się tak świeci! Gdy wsadzali go za kraty, na rogu stała tylko jedna buda z żarciem, a w całym mieście były raptem trzy skrzyżowania ze światłami. A dziś idzie chodnikiem i nie potrafi przejść na drugą stronę ulicy. Tyle samochodów, wszystkie na niego trąbią, a on nie pamięta, czy idzie się na zielonym czy czerwonym. Coś tam w zakładzie o tym mówili, ale kto by się tym przejmował. Bodźce go zamęczają. Nie wytrzymuje. Popelnia czyn zabroniony, byle tylko wrócić do kryminału. Do domu.

Trzecia grupa, w jakimś zakresie podobna do drugiej, jest według Krzyśka bezpośrednim wynikiem tego, na ile pozwoliło się skazanym w zakładach karnych.

– Mówię to bez zawahania. To jedna z największych patologii systemu. Przepisy tak się zmieniły, że złodziej w więzieniu czuje się już jak w domu. A czasem nawet jeszcze lepiej! – uważa Krzysztof. – Osadzony ma tu telewizor, konsolę, garnek do gotowania, czajnik, DVD i święty spokój. Czyli wszystko. Trzy razy dziennie go nakarmią, dodatkowo sam może coś ugotować, za zarobione pieniądze kupi, co mu się podoba. Rodzinka dośle jeszcze trochę hajsu. Niczym się nie martwi. I nagle musi iść na wolność. Dla niego to gorsze niż zderzenie z TIR-em. Wychodzi, rodzina ma kolejną gębę do wykarmienia, więc gonią go do pracy. Urobi się po pachy, wielkie gówno zarobi, musi się dorzucać do żarcia i mieszkania. Wszyscy czegoś od niego chcą. Znow więc

kroi kwadrat i wraca do zakładu. Do ułożonego i – według niego – wygodnego życia. Tu też nie ma co mówić o resocjalizacji.

Na oddziale Krzyśka przebywa 120 osadzonych. 60–70 to powroty. Zna ich z poprzednich wyroków. Duża część pozostałych – wcześniej ich nie kojarzył – też w przeszłości miała mniejsze bądź większe wyroki. W 2018 roku w zakładach karnych i aresztach śledczych w zależności od miesiąca przebywało od 72 do 75 tysięcy osadzonych. Co niezwykle istotne, według stanu z 31 grudnia 2018 roku spośród 64 844 już osadzonych więźniów przebywających za kratami aż 36 561 to osadzeni z nadaną grupą klasyfikacyjną R, czyli recydywiści penitencjarni. Ponad 21 tysięcy z nich było skazanych po raz drugi. Dziewięć tysięcy – po raz trzeci. Skazanych po raz siódmy i więcej w polskich więzieniach przebywa prawie 600 osób.

Ucho w oazie

To było już dobrą dekadę temu, ale Andrzej pamięta tę chwilę doskonale. Był kierownikiem ochrony w zakładzie karnym, który lada moment miał być powiększony o nowy pawilon – oddziały przeznaczone dla więźniów ze szczytu przestępczej drabinki, nie wyłączając morderców oraz członków zorganizowanych grup przestępczych. Siedział przy biurku, gdy został pilnie wezwany do dyrektora. Po schodach, na pierwsze piętro, pukanie do drzwi gabinetu. W środku, naprzeciwko dyrektora, siedziało już trzech ubranych w cywilne ciuchy facetów.

Andrzej: – Przedstawili się jako oficerowie tajnych służb. Jako kierownikowi ochrony całego kryminału zaprezentowali mi pomysł zamontowania podsłuchów w niektórych celach na nowym pawilonie. Chcieli w ten sposób kontrolować rozmowy osadzonych i rozbijać kolejne grupy przestępcze, wciąż działające na wolności. Tylko co ja miałem do gadania? Wysłuchałem, przyjąłem do wiadomości i wyszedłem. Niedługo później, ze względu na różnicę zdań z dyrektorem, zrezygnowałem z pełnionej funkcji i wróciłem do pracy na stanowisku dowódcy zmiany. Jak potoczyła się sprawa podsłuchów, dowodów nie mam. Jestem jednak przekonany, że pomysł został zrealizowany.

Aby resocjalizacja w więzieniu mogła w ogóle zaistnieć, osadzony musi wiedzieć, że wszystko wokół jest krystalicznie czyste. Że otoczenie działa

w granicach obowiązującego prawa. W przeciwnym razie o jego przemianie nie ma nawet co mówić. Za murami krystalicznie jednak nie jest i wiedzą o tym wszyscy, którzy z systemem penitencjarnym mieli do czynienia choć przez moment. Tajemnicą poliszynela jest, że na terenie więzień prowadzone są działania operacyjne tajnych służb. Wciągani w ten proceder są zarówno skazani, jak i funkcjonariusze.

Do lat 90. praca operacyjna w polskich więzieniach była działaniem legalnym. W kryminale był nawet etat dla funkcjonariusza, który przekupywał złodziei fajkami i kawą. Pozyskiwał w ten sposób informacje. Oficjalnie proceder został zlikwidowany, ale nieoficjalnie – na niewielką skalę, by funkcjonariusze wiedzieli, co się dzieje w więzieniu – robili to i wciąż robią wszyscy doświadczeni klawisze. Gdzie jednak pojawiają się tajne służby, mowa o poważniejszych sprawach i zdecydowanie szerszym zakresie.

Andrzej: – To poważny konflikt interesów. Z jednej strony, by poddać się resocjalizacji, złodziej musi mieć stuprocentową pewność, że zakład karny to oaza praworządności. Jeśli wciąga się go w kapowanie, przerzuca mu się telefony, by mógł zarządzać grupą i by można go było podsłuchiwać, to o praworządności nie może być mowy. Z drugiej strony, jeśli dzięki temu udaje się na wolności rozbić dwie inne, mocne grupy, to może jest to cena, którą warto ponieść? Ja uważam, że warto, choć pewnie nie wszyscy się ze mną zgodzą. „Mokre widzenia”, czyli bezdozorowe spotkania osadzonych z partnerkami żyjącymi na wolności, nie zostały zlikwidowane w polskim więziennictwie może właśnie dlatego, żeby „gumowe ucho” w zamian za kapowanie mógł od czasu do czasu podymać. Może to jedna z kart przetargowych? Do zakładu na takie widzenia przychodziły przecież przeróżne kobiety do przeróżnych złodziei. W papierach figurowały jako żony, konkubiny. A czy to była konkubina, czy podstawiona przez służby dziwka, to skąd ja miałem to wiedzieć? Prawdą jest, że na zakładzie znajdowało się pod celami komórki, prochy. Pochodzenie tych telefonów było nie do ustalenia. Z wielką dozą prawdopodobieństwa niektóre z nich trafiały na teren zakładu także z inicjatywy służb.

W środowisku krążyły plotki, że właśnie dzięki takiej pracy operacyjnej udało się rozwiązać mnóstwo spraw oraz rozbić kilka niezwykle groźnych organizacji przestępczych. Jak choćby jeden z największych gangów złodziei

samochodów, działający na terenie całej Unii Europejskiej, a wywodzący się z niedużego miasteczka w zachodniej Polsce. W jakim zakresie takie działania rozbiły proces resocjalizacji w zakładzie, tego już jednak nie sposób ocenić.

– Faktem jest, że nawet jeśli jest to działanie skuteczne, to wciąż wątpliwe moralnie i niemające nic wspólnego z praworządnością – uważa Andrzej.

W stronę fabryki przestępców

Andrzej: – Resocjalizacja to system naczyń połączonych. Nie zależy tylko od wychowawcy, terapeutów, psychologów i dobrych chęci złodzieja. Psycholog może popracować z osadzonym, gdy ten na zajęciach pojawi się spokojny. Będzie taki, jeśli dostanie na czas żarcie, wyjdzie na spacer, doprowadzi się go na telefon do rodziny, do lekarza. Musi mieć po prostu załatwione wszystko, co wpisano mu w porządek dnia. Tylko jak tego dokonać, skoro w kryminale brakuje ludzi do roboty? W zakładzie karnym, w którym do niedawna pracowałem, do działania bezpośrednio przy osadzonych potrzeba około dwustu osób. Już teraz jest o czternastu za mało. Robotę tej czternastki wykonują więc pozostali. Szybciej, mniej dokładnie, od czasu do czasu coś ucinają. Jak ucinasz, czegoś nie realizujesz. Jak czegoś nie zrealizujesz, automatycznie masz na stanie wkurzonego złodzieja. Gdy jest wkurzony, całe zajęcia wyżala się wychowawcy, że jest źle traktowany. O jakiej możemy mówić resocjalizacji, skoro praca wychowawcy polega dziś w ogromnej części na tym, by załatwić bieżące sprawy osadzonych? A trzeba to robić przede wszystkim dlatego, żeby nie szumieli na oddziale. Gdzie czas na pracę ze skazanym? Kiedy on ma ich naprawiać? I w jaki sposób ma przebrnąć przez tę ludzką masę? Stu czterdziestu osadzonych na oddziale, dwóch wychowawców, siedemdziesięciu skazanych na głowę. Przecież to jest absurd! Kilka razy za dużo! I takie są właśnie realia każdego kryminału w tym kraju.

Przed laty ludzie walili drzwiami i oknami, żeby robić w zakładzie karnym. Dziś więzienia ogłaszają się na Allegro i Gumtree w poszukiwaniu pracowników. Brakuje rąk do pracy. Powód jest oczywisty: wybór. Człowiek ze zdrową głową woli pakować chleb w piekarni do skrzynek za dwa tysiące trzysta złotych netto, zamiast zapieprzać za dwa tysiące sześćdziesiąt złotych netto w warunkach prowadzących do choroby psychicznej. Kryminały są

w Polsce skrajnie niedofinansowane. I nie chodzi tylko o zarobki. W niektórych więzieniach panują takie warunki, że od samego patrzenia można się zrzygać. Wilgoć, smród, grzyb... Kto by chciał pracować w takim miejscu? Jeśli więc ktoś mówi, że brak kasy nie przekłada się na pracę ze skazanym, tylko się głośno śmieję. Przekłada! Bezpośrednio i pośrednio!

Według Andrzeja niczego dobrego nie przyniosą też szykowane zmiany Kodeksu karnego – zaostrzanie kar.

– Zapowiedziano już chęć wprowadzenia dożywotniego, bezwzględnie pozbawienia wolności bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Jest też projekt zwiększenia kary z dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności do trzydziestu, a wiele przestępstw, za które w przeszłości można było odpowiadać jako nieletni, po zmianach wskoczy w widełki dla dorosłych. Młodociany od razu będzie trafiać do dorosłego zakładu. Jeśli takie prawo wejdzie w życie, po pierwsze: statystyki najcięższych przestępstw nie spadną, bo wymiar kary nie ma na to wpływu. Przecież potencjalny morderca już dzisiaj wie, że resztę życia może spędzić za kratami, a i tak zabija. Zmiana prawa jest więc tylko zabiegiem PR-owym polityków. Po drugie: zacznie się w Polsce produkcja przestępców na masową skalę. Bo gdy taki młodociany trafi do zwykłego kryminału, z dużym prawdopodobieństwem wyjdzie z niego jeszcze większym przestępcą – uważa Andrzej.

Grzesiek: – Wyobraź sobie, że do zakładu trafia osiemnastoletni chłopak bez wzorca. Matka i ojciec dawno popłynęli w wódzie. Wychowała go ulica. W więzieniu będzie robił wszystko, co pozwoli mu być silniejszym, wzbudzającym strach albo podziw. I nie ma znaczenia, że nie będzie to moralnie i przepisowo dobre. Cokolwiek starałbyś się zrobić jako funkcjonariusz, nie powstrzymasz go przed tym. Widziałem to setki razy. Więzienie daje takiemu chłopakowi cały wachlarz możliwości. Zepsuci do szpiku szamaki od razu biorą takiego pod skrzydła. Chłopak skuma się z grypsującym, za moment, żeby się przypodobać, pobije na spacerunku tego z celi naprzeciwko, później jeszcze klawiszowi naubliża. I tak młody wsiąka w najgorsze środowisko. Trafił do więzienia jako zagubiona jednostka, wyjdzie na wolność jako bandyta. Niestety jest to zjawisko powszechne. A przez szykowane przepisy będzie jeszcze gorzej.

Jest też inny problem – kontynuuje Grzesiek. – Taka sytuacja: na izolatce siedzi facet. Wychodząc z celi, napluł oddziałowemu w twarz. Przy złodziejach, innych funkcjonariuszach, zebrał zieloną spod płuca i walnął klawiszowi między oczy i na mundur. I co mu możesz zrobić? Nic. Nie ma podstaw do użycia środków przymusu, bo jest spokojny, nie stawia oporu. „Panie oddziałowy! Ja tylko oddałem za to, co między nami było” – mówi i śmieje się klawiszowi w twarz. A ty masz związane ręce, bo izolotka to przecież największa możliwa kara w więzieniu. „Mi to pasuje. Siedziałem na śmierdzącej celi, teraz siedzę sam. Co mi zrobicie? Możecie mnie cmoknąć w pompę” – osadzony komentuje jeszcze twoje słowa o przedłużeniu pobytu w odosobnieniu. Prawo w takiej sytuacji nie daje klawiszowi realnego, sensownego mechanizmu obrony. Doniesienie do prokuratury o zniewagę funkcjonariusza kończy się przeważnie umorzeniem. Złodziej czuje się więc bezkarny, brnie w kierunku, który nie ma nic wspólnego ze stawaniem się lepszym człowiekiem. Takie sytuacje zachęcają go do kolejnych, bo wie, że nie spotkają go za to żadne odczuwalne konsekwencje. Kiedyś w takich momentach klawisz stosował metody nieoficjalne. Pokazał takiemu miejsce w szeregu, bo wiedział, że nad nim są ludzie rozumiejący kryminał. Dziś pozwalasz sobie na więcej i na drugi dzień masz prokuratorskie zarzuty. Złodziej może wszystko, a funkcjonariuszowi zostają tylko trzy środki przymusu bezpośredniego: „proszę”, „bardzo proszę” i „błagam”.

Jesień

Grzesiek jest już dowódcą, siedzi w wartowni nad papierami i odlicza czas do końca zmiany. To wymagająca dniówka – widzenia, dwie karetki, zastosowane środki przymusu. „Jeszcze tylko trup i komplet atrakcji będzie” – myśli. Zerka na zegar, dopiero chwila po godzinie 16.

Telefon.

– Panie dowódco, oddział numer siedem. Pod celą u osadzonego Kaczmarka Wojciecha zostały właśnie odnalezione tabletki. Dużo, myślę, że kilkaset sztuk – informuje oddziałowy.

– Dobra, idę – odpowiada Grzesiek. Wstaje, zakłada czapkę, wychodzi z wartowni. Schodkami na pierwsze piętro, drzwi.

Kaczmarek siedzi pod celą 154. Skazany za handel narkotykami. Na terapii, bo oprócz dystrybucji poszedł też w konsumpcję. Jest uzależniony. Długo kombinował, by pozyskać cokolwiek, co go sponiewiera.

– Skąd to masz? – pyta Grzesiek młodego chłopaka. Głucha cisza. Dowódca kontynuuje: – Od kogo? Jaką drogą to do ciebie dotarło?

– Znalazłem – pada odpowiedź. Gość szczelny, a sytuacja poważna, bo chodzi o 200 tabletek xanaxu, miansegeny i hydroksyzyny.

– Aby tę sytuację rozpracować zgodnie z przepisem, musi powstać notatka o zdarzeniu nadzwyczajnym w zakładzie. Za pomocą specjalnej aplikacji w dwadzieścia minut od odnalezienia prochów powiadamia się dyrektora kryminału, OISW i CZSW. Rusza maszyna rozliczająca – tłumaczy Grzesiek. – Dyrektor wszczyna czynności wyjaśniające, które prowadzi inspektor ochrony, człowiek kierownika ochrony. Prześwietla dokumentację wskazującą kiedy, dokąd i przez kogo osadzony był w ostatnim czasie doprowadzany. Albo kto zgodnie z grafikiem realizował kontrolę jego celi. Przegląda monitoring, by sprawdzić, w jaki sposób wykonywano wszystkie czynności. Inspektor pisze, co ustalił, i na tej podstawie kierownik z dyrektorem zaczynają grillować kozła ofiarnego. Założyli, że tabsy weszły przez spacer. Czyli po torbie dostają doprowadzający i oddziałowy. Gdyby weszły przez widzenia, dupa pali się bramowemu, doprowadzającemu na widzenia, dwóm widzeniowym, doprowadzającemu na oddział, oddziałowemu i jego pomocnikowi, a na końcu, za brak nadzoru, także dowódcy i jego zastępcy. Wszyscy z kierownictwa zadowoleni, sprawa załatwiona.

Zwróć jednak uwagę, że w całej procedurze nie ma skazanego. Bo jest przesłuchany raz i tyle. Za posiadanie takiej kontrabandy grozi mu kara wynikająca z Kodeksu karnego wykonawczego – najcięższa to czternaście dni izolatki. Trzeba jednak stosować gradację, więc jeśli to jego pierwszy raz, dostanie naganę. A jeśli okaże przed terapeutką i dyrektorem skruchę, wbiją mu blachę na KO, czyli zajęcia kulturalno-oświatowe, na przykład wstrzymanie wychodzenia na świetlicę na gry i zabawy oraz oglądanie telewizji. Dla niego to świetna kara, bo przecież kolega ma telewizor na celi, więc i tak będzie oglądał. A chwilowy brak gry w ping-ponga jakoś zniesie. Jeśli jest sprytny i się mocno zbeczy przed komisją, to karę mu dodatkowo zawieszają. Parodia! Raz zdarzyło się nawet, że bardzo niedobry złodziej, skargowicz, dzwonił na prywatny

telefon komórkowy majora z CZSW. Wypłakał mu się, a major od razu kręcił do dyrektora zakładu z pretensjami, co się u niego na zakładzie dzieje.

Doszło więc do absurdalnej sytuacji: klawisze celowo nie piszą notatek, nie zgłaszają takich sytuacji, bo są karani dotkliwiej niż winny złodziej! Gdy pracowałem na oddziale, by nie dostawać po torbie, stosowałem swoje sposoby. Złodzieje nadali mi przez to pseudonim „Jesień”. Bo w jesień liście lecą. Brałem takiego maślaka na rozmowę i od razu sprzedawałem mu dwa kontrolne placki, dzięki czemu momentalnie stawał się bardziej pokorny. Krótka przemowa, po czym na jego oczach pojedynczo wrzucałem tabletki do kibla i kazałem mu to spłukiwać. Sam więc topił w kiblu towar, którego tak pragnął i który okupił wieloma wyrzeczeniami: fajkami, czekoladą, kawą i kabanosami z wypiski. A jeśli nie chciał spłukiwać, nurkował w głębinie klozetu. Uwierz, jego mina mówiła wtedy wszystko. Dotkliwie odczuwał skutki. Oczywiście to nielegalnie wymierzona sprawiedliwość. Wiele osób się pewnie oburza, gdy to czyta, ale dzięki temu tak przećwiczony złodziej nie kombinował już więcej. A jeśli nawet, to na pewno nie na mojej zmianie, bo jesień to nieprzyjemna pora roku. Przez siedem lat pracowałem na zakładzie z psem antynarkotycznym. W tym czasie spuściłem w kiblu cały TIR towaru.

Kara musi być nieuchronna i dolegliwa. Niestety w więzieniu jest zupełnie inaczej. I to jest desocjalizacja.

Szyf

Piotrek w resocjalizację wierzy. Głęboko i szczerze. Gdyby nie wierzył, jego życie nie miałyby sensu. Przecież poświęcił temu prawie wszystko. Dla zakładu zrezygnował z dobrze płatnej roboty, studiował trzy kierunki.

Wierzy, choć jest przecież pierwszą osobą w kolejce, która powinna tę wiarę stracić. Choćby dlatego, że od czterech lat jego każdy poranek wygląda tak samo. Wchodzi na oddział o godzinie 6.45. Ledwo zdąży zsunąć torbę z ramienia, chwycić za suwak w kurtce, a do gabinetu wpada rozjuszony, wściekły, wykrzykujący, skrajnie negatywnie nastawiony do służby i otoczenia osadzony. Codziennie te same problemy: mięso było niedobre! Sosu było za mało! Chleb suchy! Kowalski mnie wkurwia! Nowak krzywo spojrział! Michalski źle powiedział!

– Z niedługą przerwą na odprawę, gdy na chwilę wychodzę z oddziału i mam wentylację mózgu, jest tak bezustannie. Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Cały potok rozemocjonowanych petentów – mówi Piotrek. – Osadzeni w oddziale dla niepsychotycznych nie są w stanie zrozumieć, że to ja, wychowawca, dyktuję warunki. Że to ja wzywam na konkretną godzinę. Tu zawsze się pali. Akcja–reakcja. Na początku tego nie pojmowałem, obwiniałem oddziałowych. „Czy ty sobie, chłopie, nie radzisz? Nie chcę ich teraz u siebie! Mam coś do napisania!” – irytowałem się. Musiała minąć chwila, zanim zrozumiałem zasady. Gdy coś zadzieje się w głowie osadzonego, a oddziałowy błyskawicznie nie otworzy drzwi, w ułamku sekundy zaczyna się w celi hiroszima. Pocięcia, połyki, walenie fikołem po szybach. Regularna demolka, bo złodziej nie mógł od razu napluć żalem na wychowawcę.

99 procent pracy Piotra na oddziale dla niepsychotycznych to rozmowa z osadzonymi. Choć „rozmowa” to określenie raczej zbyt optymistyczne. Bo w rozmowie dochodzi do wymiany myśli. Miałbyś wtedy satysfakcję, że pomogłeś. Zaradziłeś. Wyjaśniłeś. Tutaj gość krzyczy, ty mówisz. Ty starasz się rozumieć, on nie ma pojęcia, co oznaczają wypowiedane przez ciebie komunikaty. Pełnisz funkcję strażaka, bo codziennie gasisz setki pożarów.

Piotr: – Doraźnie spełniam się w stu dziesięciu procentach, ale patrząc długofalowo, czyli na proces resocjalizacji, wynosi ona zero. Zero procent. Skala jest potężna. O jedenastej otwieram Worda w komputerze, patrzę na monitor i nie mam pojęcia, co miałem zrobić. Każdy człowiek ma limit, pojemność, a po kilku godzinach wśród niepsychotycznych głowa jest pełna i zawiesza się system. Na dodatek od tylko negatywnych emocji. Gdyby w tym zatrzęsieniu złych rzeczy pojawiła się choć jedna pozytywna sprawa, dodałaby siły, wlała w serce chęci. Ale takich przerywników nie ma. Na oddziale dla recydywistów penitencjarnych z niepsychotycznymi zaburzeniami psychicznymi piramida Masłowa kończy się na pierwszym szczeblu. Siku, kupa, żreć, papieros. Siku, kupa, żreć, papieros. Papieros, siku, siku, żreć, kupa. I od czasu do czasu spacer. Tu nie ma wyższych potrzeb. Niebywale trudny materiał do okiełznania.

Nieraz o tym myślał. Że na normalnych oddziałach wychowawcy mają inaczej. Łatwiej, bo zdarzają się osadzeni chcący zmienić życie na lepsze. Spotkania z terapeutami, psychologami, organizowanie gry w szachy,

tworzenie zespołów muzycznych, kółek teatralnych, warsztatów terapii zajęciowej, kursy przysposobienia zawodowego, robota w przywieziennych zakładach albo poza murami, umożliwienie edukacji, matura, zawodówka – elementów resocjalizacji jest tam sporo. Można się wykazać. A na esce? Piotr ma czasem wrażenie, że z choć jednym osadzonym zmierza w dobrym kierunku – on rokuje, trzy tygodnie wykazuje chęć do pracy. Przychodzi jednak po weekendzie na oddział i dowiaduje się, że skazanego nie ma w celi. Jest w szpitalu, bo w sobotę dokonał tak porażającego samookaleczenia, że nawet pracownicy nie byli w stanie uwierzyć w skalę zadanego sobie cierpienia.

Toczenie głazu jak Syzyf. Często się tak czuje.

W resocjalizację wierzy, ale musi coś wyjaśnić.

– Nie zgadzam się z podejściem przełożonych i ustawodawcy. Według nich więzienie ma naprawiać wszystkich, którzy trafią za mur. A kto przepracował choć kilka dni w kryminale, ten doskonale wie, że każdego naprawić się nie da. Inaczej wygląda resocjalizacja w zakładzie zamkniętym dla recydywistów penitencjarnych, a inaczej w zakładzie karnym typu otwartego albo półotwartego dla odbywających karę po raz pierwszy. Jako wychowawca ze sporym doświadczeniem, zarówno na lżejszych, jak i najcięższych oddziałach, mówię: jeśli osadzony pracuje z odpowiednio przygotowaną osobą, resocjalizacja zachodzi. Ale tylko na petce! Nie na recydywie! Bo na erce siedzą ludzie, którzy mają w szafie akta grubości metra! To ludzie siedzący piąty, dziesiąty, siedemnasty raz. Często za kratami spędzili zdecydowaną większość życia. Oddział dla recydywistów to dla takiego człowieka po prostu dom. On ma głęboko gdzieś resocjalizację! Ludzie! To jego rzeczywistość! Rano ktoś go obudzi, podstawia micę z żarciem pod nos. Do roboty też go nikt nie zmusi, szczególnie na oddziałach terapeutycznych. Łatwo usiąść w kawiarni albo telewizyjnym studiu i bez pojęcia o realiach tworzyć własne teorie, jak być powinno. Może i powinno, tylko że my – pierwsza linia frontu – obcujemy z tymi przypadkami na co dzień. I doskonale wiemy, że resocjalizacja może być skuteczna przede wszystkim wśród skazanych po raz pierwszy! Nie wśród recydywistów!

Piotrek doskonale pamięta poruszenie sprzed kilku miesięcy. Przełożeni zapowiadali, że w przypadku powrotu osadzonego do więzienia kierownictwo zakładu będzie weryfikować, kto z osadzonym pracował. I będą wyciągane

konsekwencje. Gdy to usłyszał, od razu, przy wszystkich, również przy dyrektorze zakładu, powiedział: „Zwalniam się sekundę po tym, gdy dojdzie do pierwszej takiej sytuacji”.

– Całe życie uczono mnie, że w grupie wychowawczej powinno być maksymalnie dwunastu osadzonych. Dwunastu. W polskich warunkach wychowawca w oddziale dla zwykłej recydywy ma na głowie blisko stu osadzonych! Stu! To jest patologia! Zbrodnia na zdrowym rozsądku! Na oddziale dla skazanych z niepsychotycznymi zaburzeniami mam czterdziestu pięciu podopiecznych, ale cztery razy gorszych wychowawczo. Czyli jakbym miał dwustu na recydywie. Co ja mam, do cholery, z tymi ludźmi robić?! Jak mam ich naprawiać?! To jest właśnie resocjalizacja po polsku.

Spójrz na siebie

Marka często zapraszano na konferencje naukowe. Wiadomo: aula, dostojni goście, okrągłe zdania i małe kanapki na srebrnych tacach. Pewnego razu mikrofon przejął ksiądz. I mówi, że on w resocjalizację w więzieniach to nie wierzy. Marek nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. „To nie kwestia wiary, proszę księdza. To kwestia wiedzy” – skontrował dyrektor kryminału. Duchowny upadł wtedy pod ciężarem argumentu po raz pierwszy. W dyskusji padał zresztą jeszcze kilka razy. Bo gdziekolwiek Marek jechał, z kimkolwiek dyskutował, rzadko odnosił wrażenie, że rozmówcy mają pojęcie o temacie. Najczęściej używali pojęć, których znaczenia nie znali. „Resocjalizacja” zawsze znajdowała miejsce na podium.

– Moje teorie nie zawsze się na tych konferencjach podobały. Niszczyłem im narrację. Formułowałem tezy, które były niewygodne nie tylko dla władzy, ale także dla nas wszystkich, obywateli – wspomina Marek. – Jeśli resocjalizacja to uczenie życia w społeczeństwie, to gdzie ten proces powinien się odbywać? W społeczeństwie. Społeczeństwo najchętniej wsadziłoby jednak przestępcę za mury zakładu i nie chciałoby mieć z nim nic wspólnego. Niech tam siedzi. Społeczeństwo, które w tym procesie powinno odgrywać znaczącą rolę, mamy niestety krnąbrne, uprzedzone do ludzi wychodzących z więzienia.

Zaczynał na początku lat 90. i pamięta ten lament doskonale. Paweł Moczydłowski stanął na czele polskiego więziennictwa i zaczął je budować na

nowo. Klawisze śmiali się, że przeprowadzał reformę teleksową, bo polecenia przychodziły do zakładów teleksami, a dyrektorzy mieli natychmiast wdrażać nowe zasady. Rzeczywistość szybko starła uśmiechy z wielu ust, gdyż niektóre zmiany były dla klawiszy po prostu szokujące. Nie do zaakceptowania. Z dnia na dzień strażnik miał się do osadzonego zacząć zwracać per „pan”. Wielu tego nie wytrzymało, odchodziło.

Nowy system przepustkowy, zwiększona liczba widzeń, zniesienie rygorów odbywania kary, później kolejny szok: własny telewizor pod celą, dostęp do gazety. Pójście w stronę cywilizacji. Wcześniej nie do pomyslenia.

– Gdy obywatele się o tym dowiedzieli, oburzenie było przeogromne. Że co to za kara, gdy złodziej leży kołami do góry i filmy ogląda, gazety czyta. Powinien kilofem w kamieniołomie głązy rąbać! Dzięki temu telewizorowi osadzony mógł jednak wiedzieć, na czym polegały zachodzące w kraju zmiany. Jak wygląda świat. Milowy krok w stronę dostosowania społecznego osadzonych. Kim byłby facet, którego w 1989 roku skazano na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności bez dostępu do mediów, a po ćwierć wieku zwolniono z więzienia? Dzikusem! Gdy go zamykali, po ulicach jeździły trabanciki, duże fiaty i wartburgi. Wyszedłby i miałby wrażenie, że wysłano go w kosmos. W pierwszym napotkanym sklepie myślałby, że to pewex. Niestety, społeczeństwo tych mechanizmów nie rozumie. To bardzo smutne, bo ludzie nie dopuszczają do siebie myśli, że tylko garstka z trafiających do więzienia już nigdy z niego nie wyjdzie. Większość prędzej czy później wróci między ludzi. Między nas – mówi Marek.

I takie właśnie niewygodne tezy wygłaszał między jedną a drugą konferencyjną kawą z kapsułki.

Że jeśli trafiło na człowieka, dla którego przestępstwo nie jest sposobem na życie, to resocjalizacja w więzieniu działa dobrze.

I Marek rzucał przykładami. Młody człowiek pobił się z kimś pod dyskoteką, dostał kilkuletni wyrok. Nie ma wykształcenia, więc może się uczyć, maturę pisać. Nawet studia skończyć. Zawód zrobić. Murarz, krawiec, operator wózka widłowego. Nie marnuje czasu. Pracuje, bo przecież pod zakładami karnymi ustawiają się kolejki chętnych pracodawców. Nie to co kiedyś. Chodzi na zajęcia organizowane przez wychowawców do spraw kulturalno-oświatowych.

Origami, wyklejanki z zapalek, malarstwo, pisanie wierszy. Ma cel, czuje się dowartościowany, bo potrafi coś robić.

Że jedynym miejscem, w którym resocjalizacja nie działa, to społeczeństwo. Czyli wśród nas i przez nas.

– Taki chłopak podczas wychodzenia na wolność musi mieć kogoś, kto poda mu rękę. Matkę, żonę, szwagra, kuzyna. Kogokolwiek, kto go zatrudni, przygarnie. Przypilnuje, by już nie wrócił do więzienia. W Polsce to jednak nie działa. Nie zdajemy egzaminu jako państwo i jako obywatele. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak potężna jest stygmatyzacja byłego więźnia w polskim społeczeństwie. Ba, nawet człowieka, który był jedynie podejrzany, a później wycofano zarzuty! Nadgniłe jabłko, trefna jednostka. Chłopak narozrabiał – zamykamy go w więzieniu i bardzo często wszyscy się od niego odsuwają. Widziałem to codziennie. Rodzina się nim brzydzi, społeczeństwo nie chce mieć z nim nic wspólnego. Mija kilka lat, chłopaka wypuszczają. Przychodzi do zakładu pracy, prosi o robotę, ale majster mówi: „Nie ma szans. Pan siedział, a ja zatrudniam tylko pięć osób i nie stać mnie na takie gesty. Do widzenia”. Idzie do jednego, drugiego, piątego miejsca, wszędzie musi się nasłuchać, zmierzyć z oceniającymi spojrzeniami i bardzo często całować klamkę. A z czegoś trzeba żyć. Opieka społeczna dała tylko kilka bloczków na zupe, poza tym nie ma gdzie przenocować, bo rodzina nie chce go znać. Na kilka dni pójdzie do schroniska dla bezdomnych. Ale ile można tak żyć? I wtedy pojawia się myśl: czas wracać do kryminału. Bo tam ciepło, swoje łóżko, jedzenie, nawet da się coś zarobić i kupić coś na wypisce, jeśli zajdzie potrzeba. W ten sposób dla wielu ludzi pobyt w więzieniu staje się sposobem na życie. Należy postawić pytanie: co robimy w tym temacie jako państwo? Trzydzieści lat pracy w kryminale pozwoliło mi zrozumieć, że tacy ludzie są w Polsce produkowani systemowo. Przez nas wszystkich. Czy się społeczeństwu taka teza podoba, czy nie.

Wymiar (nie)sprawiedliwości

Był kiedyś na zakładzie u Grześka taki chłopaczek. Młodziutki, może ze 22 lata miał. Coś było z nim mocno nie tak, bo cały czas się onanizował. Klawisz wchodzi pod celę, patrzy – on siedzi spokojnie, zerka, nic nie mówi. Strażnik wychodzi, zasuwają trzaska, a chłopak od razu ręka w spodnie. Szedł do psychologa – ze stresu ręka w majtki. Na widzenie – to samo. Permanentna masturbacja. Wychowawca się nim zainteresował, posłał w transport do ośrodka diagnostycznego. Chłopak nie wrócił.

Grzesiek: – Niby mało skomplikowana historia, ale chłopak miał sporo szczęścia, bo ktoś się pochylił nad jego losem. Dopilnował, zainteresował. W moim zakładzie pracuje stosunkowo młoda kadra, wciąż z chęcią pomagania i daleka od zawodowego wypalenia. W Polsce jest jednak mnóstwo kryminalów z podejściem – przepraszam za wyrażenie – „no i chuj”. Funkcjonariusze widzą, że osadzony ma problem. Że być może powinien siedzieć w szpitalu psychiatrycznym. Mówią jednak: „Ma wyrok? Ma. To co mnie to obchodzi?”. Skalę tego zjawiska trudno wepchnąć w liczbowe ramy, ale problem jest ogromny. Kryminalów, w których właśnie tak wygląda rzeczywistość, jest mnóstwo. Najważniejsze, że chłopaczek nie robi kłopotów na zakładzie. A że w tym czasie ruchają go pod celę?

„No i chuj”.

– Ja reagowałem, bo wiem, co to empatia. Ale wielu kolegów po fachu podchodzi do tego całkowicie bez emocji. Powszechne zjawisko znieczulicy to zmora polskiego systemu penitencjarnego. Najgłośniejszy, najbardziej jaskrawy przykład to sprawa Tomasza Komendy. W jego przypadku zadziałał dokładnie taki mechanizm. Być może chłopak wyszedłby na wolność wcześniej, gdyby trafił na dobrego wychowawcę i dyrektora z jajami. Bo wychowawca wiele nie zdoła bez wsparcia „góry”, nawet tej wyższej niż dyrektor zakładu – uważa Grzesiek. – Niestety znam przypadki, gdy wychowawca szedł z podobną sprawą do przełożonego, a dyrektor już na wstępie, bez zainteresowania tematem:

„No i chuj”.

To jedna z rzeczy, których Grzesiek nie był w stanie zaakceptować za murami. Nie akceptował systemu zbudowanego na powszechnej znieczulicy, wyciętego z emocji i wrażliwości na ludzką krzywdę. Nienawidził trzymania się przepisów za wszelką cenę, nawet jeśli prowadziło to do nieszczęścia osadzonego bądź jego rodziny.

Dziś już nie pamięta, czy był to jeszcze późny listopad, czy już wczesny grudzień, ale na pewno padał śnieg. Zaczynał wiatr, można więc było odnieść wrażenie, że zamiast pionowo sypało poziomo. W tej zamieci, pogodzie rodem z północy Finlandii, równo w południe pod bramę zakładu podjechała starsza kobieta. Na rowerze. Gdy z niego zsiadła, wyglądała jak bałwan. Przemoczona, przemarznięta na kość. Chłopaki ledwo na widzeniówkę ją doprowadzili, tak się telepała. Przejechała na składaku 50 kilometrów w arktycznym mrozie, bo jej Wiesiek na widzenie czekał. Mąż skazany na nieduży wyrok za psychiczne i fizyczne znęcanie się nad rodziną.

– Oscarowy scenarzysta nie jest w stanie wymyślić, co chłop może robić w domu swojej kobiecie – zauważa Grzesiek. – Klawisze mówią na takich *ninja house*. Wiesiek lał tę kobiecinę bez opamiętania przez kilka dekad wspólnego życia. W końcu go za to wsadzili, a ona – zastraszona, ale przywiązana do oprawcy – przywiozła mu na rowerze paczkę fajek i kawałek kotleta. Za ostatnie pieniądze go smażyła, bo bieda aż piszcziała. A on ją jeszcze przez całe widzenie ciśnie. Że za mało żarcia, że fajki nie takie, że na pewno syf w domu. Przecież system powinien tu jakoś interweniować. Zająć się tą kobietą. Zapobiec temu, co w takim układzie jest nieuniknione, czyli ponownemu napiętrzaniu żony, gdy chłop już wyjdzie z więzienia. Kto to widział – a widziało kilkunastu klawiszy – doskonale wiedział, jak to się skończy. Ale co mówi system?

„No i chuj”.

– Odbębnił wyrok? Odbębnił. To wypad za bramę i nie chcemy was tu widzieć. Dwa dni po zwolnieniu Wiesiek znów ją znokautował.

Gdyby Grzesiek tylko chciał, o podobnych przykładach mógłby mówić non stop przez tydzień. Pewnego dnia wyszedł na spacer i pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to płaczący na ławeczce pięćdziesięcioletek. Tak mu się przynajmniej wtedy wydawało, że gość ma pięć dych na karku.

– Panie, co się dzieje? – klawisz przysiadł się i spytał o powód wylewania łez. Od słowa do słowa łód topniał. Złodziej zaczął mówić.

– Panie oddziałowy, płaczę, bo ja dzisiaj jadłem kotleta mielonego. Mięso jadłem. Ciepłe. Do tego ziemniaki były. I kompot. I zupa smaczna. Nawet dolewkę dostałem. Po obiedzie wychowawca dał mi zadzwonić. „Masz, do dzieci zadzwoń”, powiedział. No to zadzwoniłem do sąsiadki, ona po żonę poszła. I żona mówi, że trudno wychowywać czwórkę dzieci. Że nie mają nic do jedzenia. A pracować nie może, bo niepełnosprawna. Jedliśmy zawsze to, co ludzie dali albo co w lesie nazbierałem. Ja dzisiaj mięso zjadłem, a dzieci nawet suchej kromki nie mają. I dlatego płaczę.

Okazało się, że chłopak miał 30 lat, ale życie sponiewierało go okrutnie. Starał się, jak potrafił. Nie chlał, nie ćpał, ale w patologii się urodził i w patologii był chowany. Nie potrafił więc skutecznie rozwiązywać problemów. Pieniądzy nie było, zimą, by dzieciaki nie pozamarzały, chciał drewna na opał z lasu podkraść. Leśniczy kolejny raz złapał go na zbrodni targania chrustu, po policję zadzwonił. Co sąd dał wcześniej – odwiesił, no i dolał niewiele. Razem wyszło z pół roku odsiadki.

– Najważniejsze, że w papierach się zgadzało. A że ci ludzie przede wszystkim potrzebowali choć odrobiny pomocy?

„No i chuj”.

Środa w kryminale była zawsze dniem transportowym. Na nocce przywozili świeżaków. Grzesiek brał dwóch chłopaków z rezerwy do kipiszowania i pisania papierów, a sam wchodził do pomieszczenia i na luzno rozmawiał z nowymi lokatorami. „Za co siedzisz? Skąd przyjeżdżasz? Co masz nawywijane?”. Na początku hermetyczni, ale po dwóch-trzech pytaniach się otwierali. Nigdy nie miał wrażenia, że ktoś na pewno siedzi niesłusznie. Bardzo często dusiło go jednak poczucie niesprawiedliwości.

Środa, kolejny transport. W nim trzydziestopięciolatek.

– Za co siedzisz, chłopaku? – pyta funkcjonariusz. Widać, że osadzony nie świruje. Normalny gość.

– Panie, pewnie masz pan takich historii sto dziennie – zaczyna nowy. – Małolat byłem, głupoty się robiło. Czasem się komuś przyjebało, czasem trawkę przyjarało. Niedobry byłem, bo ojciec w długą poszedł, nie miał mnie kto za

mordę chwycić, wyregulować. Rozrabiałem w tym moim Pierdziszewie Wielkim. Ale poznałem dziewczynę. Pojechaliśmy do Anglii. Powoli się tam ustawialiśmy. Teraz mam sześć samochodów dostawczaków, firmę transportową. Dobrze idzie, to zajebicie się żyje. Żona pilnuje papierów, a ja całą resztę ogarniam. Trójkę dzieciaków mamy, niedawno kupiłem dom za trzysta tysięcy funtów. Ale w pewnym momencie ktoś mi do drzwi puka. Otwieram, a to policja. Jak stałem, tak w kajdanki mnie zakuli, przy dzieciach jak najgorszego bandytę do radiowozu zawinęli.

Grzesiek: – Żona została w Anglii bez chłopca, z dzieciakami, domem na kredyt i firmą na głowie. Jego jeszcze tego samego dnia samolotem do Polski deportowali. Dekadę temu wypłacił komuś fangę na osiedlu, dostał zawiasy, nie wywiązał się, bo wołał żyć na emigracji. I myślał, że zginie w systemie. Ale takie rzeczy nie giną. Takich spraw są dziesiątki. Setki! Ludzie może z zabrudzonymi życiorysami, ale od lat uczciwi, spokojni. Przykładni obywatele. I co? Do pudła wypad! Pamiętam chłopaka, którego przywieźli nam prosto z budowy. Jeszcze od gipsu był uwalony, tylko szpachelki w kieszeni mu brakowało. I pyta mnie: „Panie, co ja mam zrobić? Ojciec pijak, matka niepełnosprawna, na wózku jeździ. Przecież oni beze mnie zaraz poumierają!”. No i co ja mogłem mu powiedzieć? Wsadziłem go, bo jaki miałem wybór? Dwa lata garował, w tym czasie dostał dwie przepustki. Najpierw na pogrzeb matki, później na pogrzeb ojca. Absurd systemu. Himalaje znieczulicy. Logiczna śmierć kliniczna. Jest wyrok, jest papier, jest kara. Bez dyskusji, bez sensownej alternatywy. A że tuż obok dzieje się przez to ludzka tragedia?

„No i chuj”.

Dziadzio i Wiesio

Marek przyznaje: w całej karierze miał co najmniej kilku osadzonych, którzy na pewno siedzieli w więzieniu niesłusznie. Byli niewinni. Miał co do tego pewność. Nawet jako dyrektor zakładu karnego i aresztu śledczego nie był jednak w stanie nic zrobić. Totalnie nic. Próbował – rozmawiał z sędzią penitencjarnym, zgłaszał swoje uwagi, kierował pytania i sugestie, ale ten odpowiadał: odrzucono wszystkie odwołania, wyrok jest prawomocny. Nieugięty był. Klamka zapadła, gość musi siedzieć.

Dostał informację od więziennego psychologa: jeden z osadzonych jest w fatalnym stanie psychicznym. Istnieje zagrożenie podjęcia próby samobójczej. Marek chwycił akta, czyta: pedofilia. Molestowanie własnych wnucząt. Artykuł obrzydliwy.

– Odwiedziłem go pod celą. Porozmawiałem jak człowiek z człowiekiem. Od razu wiedziałem, że jest niewinny. Jego żona miała kochankę. Wymyśliła z córką, że wkopią starego w molestowanie, dzięki czemu usuną go z mieszkania. No i przy okazji ze swojego życia. Ludzie naprawdę nie zdają sobie sprawy, jak cienka linia dzieli wolnego człowieka od śmierdzącej celi. Sprawa Tomasza Komendy była medialna, bardzo rozdmuchana. A przecież takich ludzi, także z „łżejszych” artykułów, siedzi w polskich więzieniach cała masa – uważa Marek. Czasem wiedział o tym na pewno, czasem się tylko domyślał, ale przestało mu to spędzać sen z powiek. Bo co mógł w tym temacie zrobić? On był od wykonania, nie od sądenia.

Jedna sprawa szczególnie utkwiała mu jednak w pamięci. Miał na zakładzie osadzonego, do którego czuł wręcz obrzydzenie. Według akt zgwałcił swoją siedemdziesięcioletnią matkę. Na dodatek w więzieniu zachowywał się w sposób wręcz bulwersujący. Dokonywał samouszkodzeń i pisał listy własną krwią. Oczywiście czuł się niewinny. Pewnego dnia dyrektor odwiedził osadzonego w celi.

– Wiesiu, jak można zgwałcić własną matkę? Na dodatek staruszkę? – spytał. No i się dowiedział. Nagle wszystko się Markowi odmieniło.

– Miał troje rodzeństwa. Był najmłodszy. Rodzina w miarę normalna, choć ojciec się zapił, gdy Wiesio był malutki – wspomina dyrektor. – Od urodzenia spał z mamusią. Mamusia go tuliła, całowała. Normalny człowiek powiedziałby, że bardzo kochała syna. Czas jednak mijał, mamusia przyzwyczajała go do pierwszych zachowań erotycznych. Pozwalała sobie na wiele. W końcu zaczęli współżyć. To trwało latami. Wiesio sobie pił, a gdy wracał do domu, baraszkował z matką. Pewnego dnia nakryła ich siostra. Matka, nie wiedząc, co robić, zgłosiła gwałt. No i zawinęli chłopaka. W taki sposób był wychowany, więc nie rozumiał, o co wszyscy mają do niego pretensje i za co siedzi w więzieniu. A przede wszystkim, gdyby komuś chciało się zbadać tę sprawę głębiej, dokładniej, wyszłoby przecież, że ten człowiek przez lata był ofiarą pedofilii ze strony własnej matki! To on był ofiarą, a skończył w więzieniu.

Słyszał pan w ogóle o żeńskiej pedofilii? Bo wciąż mówi się o męskiej, a żeńska też istnieje. I to w o wiele większym zakresie, niż się panu wydaje.

– Jak pan widzi, niesprawiedliwość przybiera w więzieniu bardzo różne formy.

Mleczna zupa była zimna

– Została już tylko perła. Chcesz? – pyta Grzesiek, ale na odpowiedź nie czeka. Strąca kapsel drugą butelką, leje złoty trunek w wysoki kufel. I nagle wypala: – Przypominasz sobie, ile trwał najdłuższy okres, w którym się nie myłeś? – rzuca do mnie. Nie ukrywam, czuję się zaskoczony takim pytaniem.

– Nie wiem, dwa dni? Trzy? – odpowiadam niepewnie.

– Trzy dni? To posłuchaj tego. To też będzie opowieść o pewnej formie niesprawiedliwości w więzieniu.

Na kryminał złośliwie mówi się czasem „przechowalnia”. Nie tylko z powodu słabo działającej resocjalizacji. Niektórzy więźniowie trafiają za mury prosto z kanałów, spod ławek albo mostów. Zapuszczeni, śmierdzący, czasem ze zgniłym ciałem. Grzechu na własne oczy widział żyjącego człowieka, któremu zgniły nogi i ręce, a z ran wychodziły robaki. Porażające zjawisko. Rok w rok za więziennymi murami leczy się grubo ponad tysiąc przypadków wszawicy, tyle samo świerzbu i pół tysiąca przypadków gruźlicy.

Procedura jest zawsze podobna. Straż miejska legitymuje kłoszarda, którego znalazła ledwo żywego pod mostem albo w kontenerze na śmieci. Okazuje się, że gość o takich samych danych od ośmiu lat nie płaci alimentów. Weryfikacja, papiery – tak! To ten kłoszard! Już dawno miał się zgłosić do odbycia kary. Sukces! Policja przywozi go do kryminału, a strażnicy muszą „obrobić”, doprowadzić do porządku. Umyć, przebrać, z każdego włosa wesz wygonić. Normalny obywatel nie zdaje sobie nawet sprawy, że człowiek potrafi się czasem doprowadzić do takiego stanu, w którym kolejny krok wiązać się może tylko z finiszem w cmentarnej ziemi. Ale funkcjonują w tej strefie, miesiącami, latami, na granicy bytu i niebytu. Człowieczeństwa i zezwierzęcenia. Przypadki bywają niewyobrażalne.

– Moja koleżanka pomagała rozebrać się przywiezionej babie. Maskę na twarzy, gumowe rękawice na łapach, ale i tak można się było porzygać. Tego smrodu nie da się do niczego porównać. Padlina tak nie śmierdzi. Bawełnianą koszulkę odklejało się od niej jak mokrą gazetę. Kawałek po kawałku. Podczas przesłuchania powiedziała nam, że osiem lat nie ściągała odzieży. Osem lat się nie myła! Osem lat nie obcinała paznokci u stóp! Rozumiesz, żeby osiem lat sobie nie umyć? – pyta prowokacyjnie Grzesiek.

To jednak dopiero początek tej historii. Mijają dwa miesiące. Zdażyli ją już odwszawić, zedrzeć z niej cały brud. W końcu poprosiła o spotkanie z dowódcą zmiany. Chodziło ponoć o bardzo ważną sprawę. Wizjer, zasuw, funkcjonariusz wchodzi pod celę. Osadzona wyraźnie oburzona niekompetencją klawiszy.

– Panie dowódcu. Dziś miała być zupa mleczna. Przynieśli ją, ale była zimna!

Tak, chodzi o tę samą osobę, której jedynym ciepłym posiłkiem w ostatnich ośmiu latach były podgrzane przez lipcowe słońce resztki znalezione w kontenerze. Kobietę, którą ten właśnie klawisz chwilę wcześniej osobiście przywracał do żywych.

Trudno zaprzeczyć – Grzesiek doznał szoku, ale pretensje zignorował. Po prostu wyszedł z celi. To jednak zjawisko, z którym za murami można się spotkać niezwykle często.

– Najbardziej roszczeniowi bywają złodzieje, którzy całe życie nie mieli zupełnie nic. Spali na podłodze, jedli na podłodze i na podłodze w pokoju się załatwiali. Po przyjsciu do więzienia coś im w głowach przeskakuje. Ktoś ich postawił do pionu, regularnie karmi i zaczynają się pretensje – przyznaje Krzysiek.

Pewnego razu Krzysiek dostał na oddział gościa z transportu. Wsadził go do celi ogólnej. O godzinie 6.40 rano słyszy wybijających się złodziei. Wydzierają się: „Oddziałowy, zabieraj go z celi. Natychmiast!”. Krzychu myśli sobie: „O co, do cholery, może im chodzić?”.

– Panowie, wszystko jest dobrze, poczekajcie kilka godzin, z wychowawcą sobie pogadacie – funkcjonariusz stara się gasić temat, ale nie ma mowy.

– Kurwa! Oddziałowy! Zabieraj go! Coś po nim łązi! Zabieraj go w chuj!

Strażnik poszedł pod celę.

– Dobra, chodź ze mną na pokój przeszukań – rzucił do nowego i wyprowadził go z celi. Kazał mu się rozbierać.

– Gdy ściągnął gacie, stanąłem jak wryty – wspomina Krzysiek. – Na głos krzyknąłem tylko: „O kurwa! O kurwa!”. Zatrzęsienie wszy łonowych. I to przeogromnych! Sam podjąłem decyzję o izbie chorych, wrzuciłem go tam i od razu zadzwoniłem na wartownię.

– Izbę chorych robię, weź na szybko rób to w systemie, bo jest, kurwa, dramat – powiedziałem koledze-dowódcy.

– A co się dzieje?!

– Gość ma takie wszy, że w życiu takich nie widziałem.

– Co ty tam gadasz! Przesadzasz!

– To chodź zobacz.

Przyszedł i jedyne, co powiedział, to: „O kurwa!”.

Dali mu jakieś płyny, maści. Wytępił to dziadostwo. Jemu też po kilku tygodniach żarcie przestało odpowiadać.

Grzesiek na takie pretensje miał sposób, którego nauczył się jeszcze w dawnych czasach.

– Gdy takiemu roszczeniowemu, wciąż robiącemu problemy złodziejowi nie smakowała ryba, otwierałem karmnik i rzucałem tą rybą o ścianę – przyznaje. – Podobnie zachowujący się osadzony przysadził się do mnie, bo dostał jajko na twardo z pękniętą skorupką. Dobre, świeże jajko, tylko skorupka była lekko naruszona, a on z mordą, zapowiedzią pisania skarg. Otworzyłem karmnik i rozpieprzyłem to jajko na telewizorze. „Nudzi ci się? To zbieraj żarcie z podłogi. Nie podoba się? To się poskarż”. Inny oddziałowy, świeżak napompowany wiedzą prosto z Kalisza, już protokół pisał, uruchamiał procedurę o niesmakującą rybę albo pęknięte jajko. A złodziej na to patrzył i czuł się mocny. „Zapieprzaj wokół mnie, lokaju” – myślał sobie.

– Zdajesz sobie sprawę, że pół Polski czyta teraz te słowa i myśli: „oburzające!”? Albo: „nadużycie”?

– Ale drugie pół mówi: „Brawo! Ten strażnik powinien mu jeszcze pałą przez łeb przelecieć!”. Albo: „Skandal, że rybę mu dali! Maksymalnie powinien puszkę do wylizania dostać!”. Nie zgadzam się z takim podejściem. Bo skazany to też człowiek. Ma swoje prawa. Powinien mieć humanitarne warunki. Chodzi

jednak o chory system! Powinny być stworzone warunki pozwalające funkcjonariuszowi na zachowanie godności. A takich procedur nie ma. Złodziej śmieje nam się w twarz. W dzisiejszych czasach to osadzony jest w więzieniu panem i władcą. Ogon zaczął kręcić psem.

Powie to każdy klawisz: roszczeniowość i skargowość to w więziennictwie zmora. Koszmar. Dzień w dzień we wszystkich kryminałach w kraju powstają setki pism, zażaleń, oskarżeń, do których administracja ma obowiązek się odnosić. Rekordzista w zakładzie Andrzeja w jeden rok stworzył 160 skarg. Większość w sprawie więziennej służby zdrowia, ale były też inne. O jedzenie, współosadzonych, niemiłego wychowawcę. W skali roku w dużym kryminale powstaje kilka tysięcy skarg.

– Zasadnych jest może kilkadziesiąt – zdradza Grzesiek. – Piszą, bo mogą. A jeśli mogą, to korzystają. Wielu w ten sposób wypełnia sobie wolny czas, którego w więzieniu nie brakuje. A nuż się uda coś wywalczyć? A jeśli nie, to koszt i tak żaden. Związki zawodowe SW nie raz zgłaszały konieczność rozwiązania tego problemu. Ale dla władzy to nie problem. Aby wnieść skargę w czeskim, niemieckim czy francuskim kryminale, osadzony musi zapłacić niewielką kwotę. Była propozycja, by w Polsce wynosiła sześćdziesiąt złotych. Symbolicznie, niewiele. Wówczas, nawet jeśli złodziej ma rację, to zastanowi się, czy nie lepiej rozwiązać problem rozmową z wychowawcą.

Marek: – W dawnych czasach więzień nie był roszczeniowy, bo wszystkie problemy – a większość z nich zaczyna się od niedociągnięć służby więziennej – były rozwiązywane poprzez samouszkodzenia. Więźniowi przyznano jednak prawo pisania skarg, więc zaczęli te papiery produkować na potęgę. Bo usłyszeli kiedyś w telewizji, że jakiś osadzony dostał odszkodowanie za pobyt w celi przeludnionej. Albo za przekroczenie terminów. I jak zaczęły te pisma płynąć szerokim strumieniem, tak już nie przestały. Pisanie weszło w kanon normalnych zachowań osadzonego. „Frajer jesteś! Masz tu papier, przepisz sobie! Co ci zależy?” – mniej więcej tak to wygląda.

Roszczeniowość to według Marka także normalny skutek podwyższenia poziomu edukacji w kraju.

– W 1989 roku raptem kilka procent społeczeństwa miało wykształcenie średnie lub wyższe. Dziś kilkadziesiąt procent. Przekłada się to na populację więźniów. Wielu skazanych ma dziś wyższe albo średnie wykształcenie i po

prostu potrafią dbać o swoje prawa. Popęłnił przestępstwo, trafił do więzienia, ale jeśli nie pozbawiono go praw, wciąż jest obywatelem. Efektem ubocznym tych zmian są jednak ludzie, którzy starają się na tym żerować. Adwokaci, fundacje, jednostki wiedzące, że nasze prawo jest dziurawe i można na tym zarabiać. Powstają więc tony papierów w nadziei, że któreś pismo stworzone w porozumieniu z osadzonym przyniesie dobry zarobek.

Grzesiek z Andrzejem stworzyli kiedyś zestawienie: jakie instytucje bronią praw osadzonego, a jakie klawisza. Wyszło im, że w obronie funkcjonariusza staje tylko ich związek zawodowy. Z kolei skazanego bronią aż 24 instytucje. Rzecznik Praw Obywatelskich, przeróżne fundacje, organizacje działające przeciwko torturom i nieludzkiemu traktowaniu. Ich przedstawiciele regularnie pojawiają się na kontrolach we wszystkich zakładach karnych w Polsce. Grzesiek doskonale pamięta jedną z takich wizyt. Idą spacerniakiem, gdy jeden z gości wypala:

- A tu dachu nie ma.
- No nie ma. Przecież to spacerniak.
- A jak będzie deszcz padał, to co?
- Nic. Złodziej zmoknie.
- Nie, tak nie może być.
- To mamy im parasole wydawać?

Po tej wizycie w kątach spacerniaka trzeba było montować trójkąty z pleksi. Teraz, gdy pada, skazany może pod tym stanąć i nie zmoknąć.

– A funkcjonariusz? – dopytuje zirytowany klawisz. – A funkcjonariusz chodzi po galeryjce. W lecie ma pod blachą trzysta stopni, a w zimie minus dwieście. Czy ktoś się klawiszem przejmuje? Polecam zresztą wykonanie eksperymentu. Jako normalny, wolny człowiek stwórz pismo do Rzecznika Praw Obywatelskich. Nawet ci nie odpowie. A idź siedzieć – za pedofilię, morderstwo, alimenty. Za cokolwiek. I napisz to samo pismo. Odpowiedź dostaniesz na pewno, a jak będziesz miał szczęście, to i procedura wyjaśniająca zostanie wszczęta.

Jedna była cięższa sprawa. Szanowany, lubiany chłopak zaczął robić jako oddziałowy dzienny. Taki pośrednik, koordynator spraw skazanych. Załatwiał magazyny, wydawał opinie. Wychowawczo-penitencjarna robota. W tym samym czasie, na tym samym oddziale, siedział bandzior czystej wody. Na wolności trząśł całym pograniczem. Bardzo odległy koniec kary, paskudne zachowanie za murami, bardzo ciężkie artykuły, z których został skazany. Odsiedział połowę z długiego wyroku. I co się pewnego dnia okazuje? Że na wolność wyskakuje.

– Każdy z nas ma swój rozum i obserwacje. Na tyle, na ile bezpiecznie było, przyjrzelśmy się tematowi – wspomina Grzesiek. – Wyszło nam, że sprawę wokandy zaczynał oddziałowy, który wydawał osadzonemu dobre opinie. Później swoje pisał wychowawca, sprawa trafiała do zastępcy dyrektora. Na końcu łańcuszka był sędzia penitencjarny. W służbie więziennej, gdy się do niczego nie nadajesz, idziesz z karabinem na budę. Gdy jesteś totalnym dnem w policji, wrzucają cię do konwojówki. A w sądownictwie, jak już wszędzie dupy dałeś, idziesz do wydziału penitencjarnego. I był taki sędzia, który przeszedł już przez wszystkie wydziały. Zdążyli go wywalić z każdej roboty, więc trafił do penitencjarnego. Kupili go tak samo jak naszych kolegów z zakładu. W ten sposób została sprzedana niejedna wokanda. Złodzieje mówili nam na oddziale wprost, że oficjalna stawka to dwadzieścia pięć tysięcy złotych za łeb. Dla takiego bandziora to przecież jak mrugnięcie. Pod koniec rządów poprzedniej władzy wszyscy nagle zaczęli pisać apelacje i z wyroków, które miały się kończyć w 2026, robiły się zwolnienia w 2015. Gdy do władzy doszli nowi, wszystko zostało natychmiast zamknięte. Nawet złodzieje zaczęli narzekać na oddziale: „Panie, jak żyć? Kiedyś wyjąłem pieniądze i wszystko załatwiłem. A teraz? Wszyscy się boją!”.

Więzienie w teorii pełni funkcję oczyszczalni ścieków. Wpływa brudne, wypływa czyste. W praktyce kryminal często traktowany jest jak pośredniak.

Grzesiek: – Goście, dla których bandyterka była całym życiem, po wyjściu na wolność rzadko robią coś innego. Najwyżej profil zmieniają. Nie bawią się już w narkotyki i tytoń, ale wciąż idą w ciemne. Odsiadka jest dla nich doskonałą okazją, aby poznać nowych ludzi do „biznesu”. Przed zakładem się nie znali, skumali się pod celą, wyszli i na wolności robią potężne interesy. Sam znam co najmniej kilka takich przypadków. Dobrych kilka lat siedział u mnie facet ze

Szczecina. Robił gigantyczną kasę na prochach, dziwkach i alkoholu. Policja mu to rozbiła, ale lewa kasa została. Po wyjściu na wolność chciał z tej lewizny biznes rozkręcić. Musiał wyprać pieniądze, więc wziął kilku twardzieli z więzienia. Wiedział, że się nie rozprują, nie pogubią w zeznaniach. Chłopaki zrobili za niego czarną robotę, dostali po kilka lat. A zgadnij, co on robi.

– Pojęcia nie mam.

– Autostrady buduje.

Siedem grzechów. Pycha, zazdrość, lenistwo

To już zupełnie inne miejsce. Gdy Andrzej chciał do kryminału, sześciu było się o jeden etat. Znajomości trzeba było mieć i warunki spełnić. Zanim papier podpisał i mundur prasował, policjant po wsi chodził i o niego wypytywał. Czy spokojny, czy nie chleje, czy żony nie leje. Później krawężnik go jeszcze w domu odwiedził, po wszystkich pokojach przeszedł, by szukać patologii pod dywanami i za zasłonami. Nie znalazł, w papier wpisał, że zastrzeżeń brak. Długo to trwało, zanim zadzwonili z zakładu i ucieszyli całą rodzinę pozytywną wiadomością. Kryminał miał być robotą trudną, ale pewną i przede wszystkim przynoszącą godne pieniądze. Wokół szalało bezrobocie, prywaciarz płacił marnie i nieregularnie. A zakład? Luksus! Andrzej się nie zawiódł.

– Poszedłem za mur i od razu zacząłem zarabiać dwa razy więcej niż jako nauczyciel na wolności. Poza tym cały czas dorzucali coś do wypłaty. Kumpel wpadał na wartownię i wołał: „Chodźcie! Wieśka płaci!”. „A co płaci?” – dopytałeś i słyszałeś, że cholera wie, ale trzeba iść, póki dają. I okazywało się, że ekwiwalent na krawaty do łapy dostawałeś. A czasem, nie wiedząc, co to za kasa, brałeś i wychodziłeś. Żeby się nie rozmyślili – wspomina.

Chętnych na pęczki, rekrutacja wymagająca, to i materiał ludzki był solidny. Karny, odpowiedzialny i posłuszny. To już jednak zupełnie inne miejsce. Czasy się zmieniały, ludziom żyło się w Polsce lepiej, rynek pracy wstawał z kolan. Prywaciarz zaczął płacić, miejsc pracy powstało tyle, że młodego człowieka głowa bolała od możliwości. Toczyła się naprzód nowa Polska, a kryminał grzązał w tęsknocie za latami 90. Mury zaczęły obrastać problemami. Najpierw powoli, ale im dłużej to trwało, tym robiło się gęściej i ciemniej. Dziś brakuje wszystkiego. Pieniądzy, ludzi. I przede wszystkim wiary, że będzie lepiej. Tylko na złodziei można liczyć – jak byli, tak wciąż są. Ból głowy też jest, bo o ile jeszcze niedawno ludzie po prostu nie chcieli się tu już zatrudniać, o tyle teraz coraz częściej doświadczeni funkcjonariusze zrzucają mundury. Wybierają robotę lżejszą, a tak samo płatną. Nietrudno o to.

– Mamy luty, a od początku roku już pięciu doświadczonych klawiszy odeszło z mojego zakładu. W różnych kierunkach: do prywatnych firm, urzędów, innych służb mundurowych – mówi Krzysiek. – W pierwszym kontakcie brakuje nam piętnastu osób, a ja mam wyrobionych trzysta nadgodzin. To się nie zmieni. Dostać dziś wolne, obojętnie z jakiego powodu, to jak trafić szóstkę w totolotka. Z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem kupujesz bilety na koncert, ale akurat nocka ci wypada. Cóż, niefart, wejściówki musisz odsprzedać. Masz komunię chrześniaka, ale wypada ci służba. Cóż, niefart, musisz iść do roboty. Wódeczki ze szwagrem napijesz się w innym terminie. No chyba, że załatwisz sobie lewe zwolnienie od lekarza.

Większość z nas pracuje systemem dniówka–nocka–wolne–wolne. Akurat jutro wypada mi drugi dzień wolnego, co wcale nie oznacza, że wolne będę miał. Bardzo prawdopodobne, że za moment dostanę telefon z poleceniem przyścia na służbę. Zostaliśmy gołą zmianą, bez rezerwy. Jeśli ktoś nie może się pojawić w zakładzie, musi zostać wydzwoniona osoba z innej ekipy. Doszło do absurdalnej sytuacji: przełożeni traktują nasze prywatne telefony jak służbowe. Kto nie podnosi słuchawki w czasie wolnym, ponosi różnego rodzaju konsekwencje służbowe. Wiem, że w jednym z zakładów koledzy założyli o to sprawę w sądzie, bo w żadnym przepisie nie ma mowy o obowiązku odbierania prywatnych telefonów. Przepis jest jasny: mamy być wpisani w książkę i dowiedzieć się o tym miesiąc wcześniej. To oczywiście utopia, bo dowiadujemy się dwa tygodnie wcześniej. Ale dzwonienie po ludziach o drugiej w nocy? Sorry, mam wyciszony telefon, żeby mi dzieciaka nie budził. Mnie też, bo chcę się wyspać. Im dłużej tu pracuję, tym mam coraz mocniejsze poczucie, że to więzienie nie tylko dla złodzieja. I nie dziwię się, że coraz więcej ludzi planuje stąd ucieczkę.

Jako funkcjonariusz z czternastoletnim stażem Krzysiek zarabia 3700 złotych na rękę. Nie kasa teraz jest jednak najważniejsza. Najważniejsze, że do emerytury został mu już tylko rok. Najmował się jeszcze na starych, preferencyjnych zasadach. 15 lat i emerytura. Dlatego on uciekać już nie będzie. Jakoś wytrwa. Rozpoczął odliczanie. Jednak niedawno rozmawiał z kumplami z zakładów ze wszystkich stron Polski. We Wronkach brakuje 45 osób! Nie ma pojęcia, jak oni tam pracują. Barczewo, Tarnów, Kraków... Największy kłopot z ludźmi jest w dużych miastach i na zachodzie. Bo wokół roboty sporo

i Niemcy niedaleko. Na wschodzie jest odrobinę lepiej, ale problemy też już się zaczynają. Wszystko jest kwestią czasu.

W 2018 roku do roboty w zakładzie Krzyśka przyjęto osiem osób. Z tych ośmiu zostały trzy. Inni w dwa tygodnie poczuli ciężar obowiązków oraz smród otoczenia i uciekli. Po prostu. Lubił zerkać na świeżaków, którzy wiązali się z kryminałem już na nowych, dwudziestopięcioletnich zasadach. Nie potrafił pojąć, dlaczego, mając taki rynek pracy i tyle możliwości, zdecydowali się na zakład. Wyjaśniał sobie, że pewnie przez nieświadomość i życiową nieporadność. Patrzył później na trudne początki tych ludzi. Jak doskwierali im przełożeni wydzierający na nich japę, jak łby im puchły od wkuwania dwóch pękatych segregatorów przepisów, jak złodziej ich ciśnie i straszy, a oni drętwieją. Świadcował ich przesileniom. Nadchodziły przeważnie po kilkunastu dniach. „Boże! Po co mi to? I to jeszcze za dwa tysiące sto złotych netto! Po podwyżce dwa czterysta. Świątek, piątek, niedziela! Pierdolę, odchodzę!” – mówił młodziak, trzaskał drzwiami i tyle go tu było. Krzysiek to rozumie.

Zmieniła się Polska, a z Polską – mentalność młodego człowieka. Najmuje się do pracy, robi kilka dni, dopiero za tydzień ma jechać do szkoły w Kaliszu. Kończy się dniówka, do chłopaczka podchodzi dowódca.

– Przepraszam, jak pana nazwisko? Bo zapomniałem – zaczyna.

– Nowak – słyszy odpowiedź.

– Panie Nowak, a dlaczego pan nie jest ogolony?

– A co to, Oświęcim? Zarosłem na służbie. Poza tym skończyłem robotę. Do widzenia – odpyskowuje, nawet nie czekając na reakcję swojego przełożonego. Jedzie do domu.

Andrzej: – Przecież to sytuacja wręcz niebywała. Wynika choćby z tego, że ci ludzie nie byli w wojsku, nie mają zielonego pojęcia, co to karność, mundur. O szacunku już nie mówię. Wiem, że z boku brzmi to jak narzekanie starego dziada na młode pokolenie. Tylko że kompletnie nie o to chodzi. Są po prostu na ziemi miejsca ułożone według konkretnego wzorca zachowań. Cech, bez których nie masz prawa w takim miejscu przebywać, a o pracy to nawet nie wspominam. Brak zarostu, wyprasowany mundur – dla osoby patrzącej z boku może się to wydawać totalnie nieważne, ale takie rzeczy też w teorii wpływają

na proces resocjalizacji. Złodziej ma wiedzieć, że można być zadbanym, ma mieć przed sobą wzór. W tym zdarzeniu nie o zarost i mundur zresztą chodzi. Jeśli taki młodziak odburknie ci o pierdołę, to możesz być pewny, że zawiedzie też w najtrudniejszym momencie. Nie możesz mu ufać, liczyć na niego. I tak sypie się cała układanka. Więzienie jest specyficznym miejscem pracy. Wykonywanie poleceń i szacunek do przełożonego to fundament, bo gdy nadejdzie sytuacja ekstremalna, wszystko musi zadziałać jak w zegarku. Od tego zależy tu często ludzkie życie. Dziś młody się zatrudnia i po dwóch dniach zwalnia, bo mu się nie podoba. Z kolei ci, którzy są tam od dłuższego czasu, wciąż pracują, byle dojechać do emerytury. Bo lat szkoda. Problem w tym, że przez tych z dnia na dzień się zwalnających powstają wakaty, wyrwy, które trzeba łątać. Starsi nie wytrzymują obciążenia, idą na zwolnienia. Wczoraj rozmawiałem z przyjacielem, który wciąż pracuje w zakładzie. Na dziś aż dwadzieścia osób jest na zwolnieniu lekarskim! Dorzuć do tego dwadzieścia wakatów i masz razem czterdzieści dziur! Przecież to cała zmiana! W zakładzie zawsze było trudno, również pod względem liczby ludzi. Czasem trzeba było na głowie stawać, by to wszystko opanować. Jednak to, co dzieje się dziś, to po prostu armagedon. Sytuacja zmusza więc do zatrudniania wszystkich jak leci. A to prowadzi do kolejnych patologii.

Zwykły dzień, zwykły apel. Pierwszy, na którym pojawiła się Marlena. Dziewczyna dwa dni wcześniej awansowana na zastępcę dowódcy. Ogarnięte wszystko wzorowo, cele pozamykane na ostro. Żeby mieć dobre ucho, Grzesiek kręci ze złodziejami bajerę. Tu wejdzie, tam zagada, zażartuje. Idzie pod dwudziestkę dwójkę. Otwiera drzwi, zaczyna gadkę, a jeden z osadzonych, ewidentnie zszokowany, wypala:

– Panie, a co ta kurwa tu robi?!

Klawisz nie ma zielonego pojęcia, o czym złodziej mówi i o kogo pyta.

– Jaka kurwa?! – dopytuje lekko zagubiony.

– No ta, co na apelu była.

– Nie gadaj tak. To funkcjonariusz. Swoje zdanie zachowaj dla siebie – oddziałowy prostuje złodzieja oschłym tonem. Ale ciągnie dyskretnie temat, żeby wiedzieć, skąd taka reakcja.

– Panie, jak w całym mieście nie było co ruchać, to żeśmy po nią jechali. Z kim wy, kurwa, pracujecie...

– Przez totalne załamanie standardów wychodzą takie rodziniki. Okazało się, że dziewczyna dorabiała jako dziwka, a dziś jest zastępcą dowódcy. Inna waliła w przeszłości heroinę po kablach, a dzisiaj pracuje jako pani oddziałowa. Jeszcze inna przyjeżdżała na widzenia do skazanego. Była jego konkubina. Złodziej wyszedł na wolność, a ona poszła do zakładu do pracy. I robi w nim do dzisiaj. W systemie figuruje jako osoba odwiedzająca osobę skazaną. Gdy opowiada się o takich przypadkach klawiszom z dawnych lat, irytują się, że robi się z nich jaja. Po prostu nie mogą w takie rzeczy uwierzyć – mówi Grzesiek i dodaje: – Wyobraź sobie, że w takiej rzeczywistości musieliśmy zatrudnić kilkadziesiąt osób na nowy pawilon. Do obsługi osadzonych najgorszego typu. Zachodziliśmy w głowę, jak to w ogóle zrobić. Były wprawdzie dwa wielkie segregatory wypchane podaniami o pracę wysyłanymi przez długie lata, ale już na pierwszy rzut oka nikt z tych ludzi się nie nadawał. Pewnego dnia kierownik ochrony mówi do mnie: „Wybierz mi z segregatora czterdzieści osób. Znasz tych wszystkich ćpunów z miasta, więc ich poodrzucaj, a resztę dawaj. Przyjmujemy ich w piątek”. Nie mogłem uwierzyć. „No, przyszło dzisiaj polecenie, że do piątku ma być czterdziestu przyjętych” – dodał kierownik. Tak też ludzie trafili do służby. Ze zdjęć, bez wywiadu środowiskowego, rozmowy kwalifikacyjnej. Teraz jest jeszcze gorzej. Przez to, że totalnie nie ma chętnych, do roboty za murem przychodzą ludzie, którzy z wielkim prawdopodobieństwem mają nierówno pod sufitem. Pytasz takiego, czy wie, gdzie jest oddział dziesiąty. Mówi, że nie wie, więc tłumaczysz, że to po schodach, na drugim piętrze, w prawo. A on idzie po schodach, na pierwszym piętrze, w lewo. Nie przesadzam. To autentyczna sytuacja. Tacy ludzie pilnują dziś w Polsce morderców.

W całym kraju funkcjonuje łącznie 176 jednostek penitencjarnych: 39 aresztów śledczych, 81 zakładów karnych, 52 oddziały zewnętrzne i 4 oddziały tymczasowego zakwaterowania skazanych. Największe to molochy o pojemności powyżej 1300 osadzonych (na przykład Wronki albo Warszawa-Białoleka). W Służbie Więziennej pracuje 29 288 osób, z czego 27 286 to funkcjonariusze. To dane na koniec 2018 roku. Co istotne, aż 35 procent funkcjonariuszy (ponad 9 tysięcy) to ludzie ze stażem pracy między 10 a 14 lat.

Byli zatrudniani jeszcze na starych zasadach, więc lada moment nabędą prawa emerytalne. Gdy zaczną się masowe odejścia, zaczną się też ogromne kłopoty.

Patrycja patrzy już na to z bardzo dużego dystansu. Nie ma pojęcia, co tych ludzi trzyma w zakładzie.

– Narzekają, chodzą do psychiatry, mówią, że jest coraz gorzej. Przecież świat się na zakładzie nie kończy! – mówi była oddziałowa. – To jest okropna praca. Okropna! Gdy się przyjmowałam, bardziej doświadczone funkcjonariuszki mówiły mi, że zaczyna się źle dziać. Bo skazani mogą więcej niż klawisze. I rzeczywiście, to doszło do granic obłędu. Chodziłyśmy na rozmowy wyjaśniające do kierownika ochrony, tłumaczyłyśmy się, pisałyśmy notatki, a skazane miały z nas ubaw. To było po prostu poniżające. Według mnie to praca dla ludzi bez własnego zdania i ambicji. Dlatego dziś przyjmują nawet takich, których wcześniej pozwalniali.

Filmówka i debilówka

Gdy ktoś pyta, Andrzej odpowiada: to nie złodziej jest problemem w kryminale. Jasne, pracuje się z materiałem ludzkim, na dodatek specyficznym, no i w warunkach ekstremalnych, więc czasem ktoś podskoczy i trzeba go skasować na zabezpieczającą celę. Czasem atmosfera na oddziale bywa napięta jak po awarii w Czarnobylu, ale rzuci się kilka kretyńskich żartów i powietrze się oczyszcza. Jeśli klawisz ma jaja i olej w głowie, to złodziej nigdy nie jest dla niego przeszkodą nie do przeskoczenia. Andrzej i tak uważa jednak więzienie za miejsce toksyczne. Bo skazany daje czasem popalić, a z drugiej strony swoje do pieca zawsze dorzuca przełożony, szukający każdej możliwości, by ci dopieprzyć, wskazać niedociągnięcie, złamanie procedur. Wiadomo, każdy musi się wykazać, udowodnić, że coś robi. Przez to klawisz z pierwszej linii frontu wariuje, bo działa w stanie permanentnego zagrożenia z każdej strony. Między młotem a kowadłem.

– W kryminale zdarzają się sytuacje, w których decyzje musisz podjąć w ułamku sekundy. Decyzje, które mogą zawazyć na karierze twojej i twoich kolegów. Podejmowałem je wielokrotnie, zgodnie z najlepszymi chęciami i swoją wiedzą oraz doświadczeniem. Specyfika służby polega jednak na tym, że zawsze podczas kontroli po tego typu zdarzeniach jest wyciąganie

dokumentacji i zaczynają się wytyki. „A to mógł pan zrobić inaczej, to też, a tu widzę wiele potencjalnych błędów”. Zawsze wołałem wejść komuś w drogę niż w dupę, więc podczas takich dyskusji się stawiałem. A to się bardzo nie podobało – przyznaje Grzesiek.

Po jednym z podobnych zdarzeń został wezwany do gabinetu dyrektora. Czekali już tam dyrektor, kierownik ochrony, jego zastępca i specjalista od ochrony z OISW. No i się zaczęło: wszystko źle, błąd na błędzie, połamane procedury. Grzesiek słuchał tej tyrady, ale w końcu nie wytrzymał. „Siedzicie tutaj już trzy godziny. Pijecie kawę, jecie ciastka. Nikt wam nie przeszkadza. To chyba normalne, że w czwórkę wypracujecie w tych warunkach lepszą decyzję od mojej. Różnica między trzema godzinami a trzema minutami jest chyba jednak oczywista. Jeśli uważacie, że należy mnie ukarać, to startujcie. Ale ja się będę bronił” – wypalił i wyszedł.

– Żadna z tych osób nie miała choćby sekundy doświadczenia w pracy oko w oko z taką kategorią bandytów. Opierali się tylko na książce, teorii – wspomina.

Gdy więc ktoś pyta, Grzesiek i Andrzej odpowiadają zgodnie: największym problemem w kryminale od zawsze byli przełożeni. A im czasy nowsze, tym kadra zarządzająca sprawiała wrażenie coraz bardziej odklejonej od rzeczywistości.

– Materiał ludzki trafiający do roboty w kryminale z roku na rok się pogarsza. Zarówno jeśli chodzi o pracę w pierwszym kontakcie, jak i na stołkach – mówi Grzesiek. – Gdy kierownikami ochrony byli ludzie z wcześniejszych czasów, można było zrobić wszystko. Zgodnie z przepisem, ale jednocześnie klawisz szedł do domu zdrowy. Wiedział, że nie wydarzy się nic, co może pogrążyć jego albo kolegę. Było tak, bo ludzie na stanowiskach przepracowali w więzieniu lata, zjedli tam razem beczkę soli, mechanizm znali na wylot. Znali, bo sami go budowali. Zaczynali od budy w lesie i mozolnie szli przez wszystkie szczeble – oddział, zastępcy dowódców, dowódcy. Szacunek i uznanie zdobywali latami. A nagle przyszli ludzie, którzy nigdy nie robili między złodziejami, ale z przyjemnością wszystkich rozliczali z pracy. Jak uważasz, co taki człowiek jest w stanie wymyślić? Nic mądrego. Całą wiedzę o zakładzie czerpali z wykładów na podrzędnej uczelni. Dwie były takie placówki w naszej okolicy. Wyższe Szkoły Wszystkiego Najlepszego. Pierwszą

nazywaliśmy „debilówka”. Drugą „filmówka”, bo siedziało się na sali, a z projektora leciał wykład. Po pół roku zbierał się cały autokar ludzi z okolicznych zakładów karnych oraz aresztów śledczych. Jechało się do Warszawy, po drodze wóda, tańce, cycki latające po autobusie. W międzyczasie napisało się jeszcze jakiś niepoważny egzamin. I w taki sposób ci ludzie nagle stawali się magistrami. Popracowali chwilę na bramie, później w ewidencji i robiono z nich dowódców zmiany albo kierowników ochrony. Wymyślali głupoty, na dodatek karali za wszystko, bo uważali, że przecież należy im się szacunek. Nie rozumieli, że szacunek trzeba sobie wypracować, szczególnie w tak twardym środowisku.

W ten sposób degradował się cały system. Więzy między klawiszami, rodzinna atmosfera – tego nie ma już od lat. Skończyło się, odeszło bezpowrotnie.

Tylko tam

Każdy mówi o czymś innym.

Gdyby tylko ktoś Marka poprosił, nawet by się nie zastanawiał. Wsiadłby w auto, pojechał do Warszawy. Uścisnął dłonie kolegów, którzy tak jak on przepracowali w kryminałach po kilkadziesiąt lat. Zamknąłby się z nimi w gabinecie, siadł przy stole i – daje sobie za to rękę uciąć – wymyśliliby coś naprawdę dobrego dla tego środowiska. Wizję zmian, które należałoby jak najszybciej wprowadzić. Gdy odchodził na emeryturę, zrobiono mu skromne pożegnanie. Kawka, ciasto. Bez bicia w werble, ale z przemówieniami nadzianymi wielkimi słowami. Gdy już jednak odszedł i mundur w szafie schował – cisza. Jakby nigdy nie istniał. Marka do pewnego czasu irytowało, że tacy jak on, wciąż młodzi, ambitni, z przepotężną wiedzą, nie są już władzom SW do niczego potrzebni.

– Żeby się cokolwiek zmieniło na lepsze, trzeba dopuścić do działania osoby znające się na rzeczy. Które na więzieniach zęby zjadły. Sporo takich, rozsianych po całej Polsce, chętnych do dzielenia się doświadczeniami i przede wszystkim kochających tę robotę. Odejście na emeryturę oznaczało dla nich wyrzucenie poza nawias. Dziś nie mają na nic wpływu, a to ogromna strata dla całego środowiska – uważa Marek. Według niego tylko jeden dyrektor generalny w ciągu ostatnich kilkunastu lat naprawdę wiedział, co to zakład karny. Znał ten smród, czuł na kłacie ten duszący ciężar. Znał problemy i chciał naprawiać świat. Nie zdążył nawet w fotelu usiąść, bo błyskawicznie wywietrzyli go z gabinetu. Przesunęli do innego departamentu. Skostniały system nie znosi reformatorów.

A Marek nie ma wątpliwości: Służba Więzienna wymaga totalnego przemodelowania. Zmian, które są nie na rękę osobom z jej „czapki”.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych minister sprawiedliwości zlikwidował Okręgowe Zarządy Zakładów Karnych. Nazywał je gangreną generującą absurdalne koszty. Stworzono rejonowe areszty i zakłady karne. To była bardzo dobra reforma. Po kilku latach pojawiły się jednak tarcia, wojenki chcących robić kariery funkcjonariuszy. Powołano Okręgowe Inspektoraty Służby

Więziennej. Pamiętam to jak dzisiaj: w OISW Poznań miało być dwadzieścia osiem etatów. Toczyła się na ten temat burzliwa dyskusja. Pomysłodawcy zaklinali, że ta liczba nie wzrośnie. Dziś jest tam czterdzieści pięć etatów. Miał być tylko dyrektor OISW, ale minęło trochę czasu i stworzono posadę zastępcy. Jak nieoficjalnie mówiono – tylko po to, by ktoś na emeryturę poszedł z wyższego stołka. Poszedł, a stanowisko zostało do dzisiaj. Zastępcy są w prawie każdym okręgu, pochowani na etatach w zakładach i aresztach. Na początku funkcjonowania OISW w służbie kwatermistrzowskiej był jeden specjalista. Dziś jest trzech. W służbie finansowej była jedna specjalistka. Dziś jest pięcioro. Mógłbym tak długo wymieniać. Namnożenie stanowisk, które są totalnie niepotrzebne. Jedyne, co robią ci ludzie, to utrudniają życie zakładom i aresztom. Nawet Centralny Zarząd Służby Więziennej powinno się zlikwidować. Dyrektor więzienia powinien podlegać pod prezesa sądu okręgowego albo apelacyjnego na terenie województwa i przed nim się ze wszystkiego rozliczać. Skoro nadzór penitencjarny nad jednostką sprawuje sędzia penitencjarny, to po co nam Centralny Zarząd? Dyrektor generalny powinien z kolei urosnąć do rangi wiceministra od więziennictwa. Biurokracja w Służbie Więziennej – od jej likwidacji należy zacząć reformowanie, bo od niej zaczyna się większość problemów. Doszła jednak do takiego poziomu, że każda próba zmian będzie utracana. Wierchuszka ma zbyt wiele do stracenia, by do głosu dopuszczać osoby z takimi pomysłami jak ja. Jedyna funkcja, jaką więc dziś pełnię, to szczęśliwy emeryt. Dobrze mi z tym. Im na pewno też.

Każdy mówi o czymś innym.

Karol przeczytał kiedyś, że więzienie powinno być piekłem na ziemi. To według niego zdecydowana przesada, ale uważa, że w więzieniu powinny panować warunki zniechęcające złodzieja do powrotu za kraty.

– Kryminał w Polsce zamiast zniechęcać, niektórych nawet zachęca do częstszych wizyt. „Cóż, epizod w życiu, źle nie będzie. Gazetę mi przyślą, paczkę będę miał co miesiąc, telewizor pod celą pooglądam, oddziałowy mi wody zagrzeje, to i kawkę wypiję. A baba? Chuj z babą, niech się z tym dzieciakiem sama pierdoli” – takie myślenie to dziś podejście zatrwająco powszechne w środowisku złodziei i wyrażane wprost podczas przyjęć na oddział. I to mnie irytuje. To też jest patologia systemu – uważa i dodaje: – Zaszliśmy tak daleko, że nie da się już tego naprawić. Gdy ktoś wpadnie na

pomysł, żeby dokręcić złodziejom śrubę, momentalnie będziemy mieli bunty w więzieniach w całej Polsce. Nie zmieni się nic. Dobrze więc, że lada chwila idę na emeryturę. Kolegom jednak nie zazdroszczę.

Jeśli każdy o czymś innym, to Andrzej o braku świadomości społeczeństwa. Pod każdym względem. Wielokrotnie podczas imprez z kolegami niezwiązanymi z zakładem karnym albo z odrobinę dalszą rodziną spotykał się z zarzutami: „Piętnaście lat popracował i odszedł na wcześniejszą emeryturę. A chuja robił!”. Zdarzało mu się, że szedł przez miasto, a ktoś krzyczał do niego: „Gad! Esesman! Gestapowiec!”.

– Mało kto dopuszcza do siebie myśl, że codziennie toczyłem prawdziwą wojnę. Pilnowałem setek bandytów, mających czasem na sumieniu czyny porażające, by ci wypominający mi wcześniejszą emeryturę ludzie czuli się na wolności bezpiecznie. Okupiłem to problemami psychicznymi, koszmary o zakładzie prześladują mnie do dziś. A na emeryturze jestem już przecież od kilku lat. Tej wcześniejszej emeryturze – mówi.

Każdy o czymś innym. Piotrek też, na przykładzie stosowania środków przymusu bezpośredniego.

– To decyzja, którą musisz podjąć czasem w ułamku sekundy. Weryfikujesz zagrożenie, stosujesz. Cała filozofia. Jeśli się zawahasz, możesz już nigdy nie wstać z gleby. Dla przełożonych nie ma to jednak żadnego znaczenia. Film z zastosowania i zapis monitoringu zawsze analizowany jest klatka po klatce. Eksperci i dowódcy wyższego szczebla oglądają go po kilkadziesiąt razy, czasem w zwolnionym tempie. Wytykają ci każdy błąd, ponosisz tego konsekwencje, również finansowe. Doszło do tego, że dowódcy zmiany bardzo często odstępują od zastosowania środków – ze strachu, że ktoś znów się do nich przyczepi. Mamy na co dzień tyle problemów, a musimy się jeszcze przejmować, że podjęliśmy decyzję o obronie własnej. I zastanawiać się, czy broniliśmy się poprawnie – mówi. I dodaje: – Irytuje mnie też ciągle dokładanie nam obowiązków. Nowych programów readaptacji, zajęć, kontroli. To wszystko powoduje, że nie czuję się już wychowawcą. Czuję się urzędnikiem państwowym, bo wciąż wypełniam kwity. Utonęliśmy w papierach i procedurach, a wraz z nami utonęła praca ze skazanym. Utonęło dobro drugiego człowieka. Nie tego uczyłem się przez pół życia.

Grzesiek o bierności władzy. O tym, że przez lata sugerowało się przeróżne rozwiązania, by poprawić los funkcjonariuszy. Podsuwało pomysły węgierskie, niemieckie, francuskie. Niektórzy nawet swoje idee przedstawiali na spotkaniach związków zawodowych z generałami. Ci pokiwali głowami, później założyli na nie czapki i tyle było z tych spotkań pożytku.

Grzesiek: – Proponowaliśmy, by po osiągnięciu piętnastu lat pracy mieć wybór: idziesz na wcześniejszą emeryturę albo zostajesz i zarabiasz więcej. Zły pomysł. Proponowaliśmy, by po osiągnięciu piętnastu lat pracy na pierwszej linii dawać klawiszowi szansę darmowego przebranżowienia się. Zaliczenia kursów, nauczania się innego zawodu i dostania innej pracy, już poza kryminałem. Zły pomysł. Proponowaliśmy, by po piętnastu latach przesuwac ludzi z pierwszej linii na zaplecze. W papiery, by walcząc ze złodziejami, totalnie nie potracili rozumu. Też zły pomysł. Same złe pomysły. W końcu ktoś na górze usiadł i wymyślił najlepszy: skasowanie wcześniejszej emerytury i podniesienie granicy do dwudziestu pięciu lat. Czyli tyraj, aż postradasz zmysły. Dziś system zmierza ku katastrofie i nic nie zapowiada, by ten kurs został zmieniony.

Grzesiek i Andrzej uwielbiali tę robotę. Sprawdzali się w niej. Pracowaliby dłużej, gdyby od początku do końca mogli być w niej ludźmi. Dla skazanego, kolegów, podwładnych. Dla siebie też. Gdyby nie chore przepisy. Gdyby nie przełożeni, tylko czekający, by wziąć ich na widelec.

To specyficzna robota. Nie każdy ma odpowiednią konstrukcję, by tyle lat przetrwać za murami. Trzeba być wyrazistym, konsekwentnym, odpornym psychicznie, surowym, ale także sprawiedliwym. Strażak rodzi się z żyłką do pomagania ludziom. Biznesmen – do robienia kasy. A klawisz, żeby nie zginać, musi mieć oczy dookoła głowy.

Tęsknią. Tęsknią za zakładem. Za ludźmi, atmosferą, specyficznym, zwyrodniałym poczuciem humoru.

Grzesiek: – Gdy niedawno odszedłem na emeryturę, nie potrafiłem się odnaleźć. Wciąż się zastanawiałem, gdzie się podziały moje gady. Spotykamy się czasem, wspominamy. Cywile nas nie rozumieją. Nic dziwnego. Żeby

zrozumieć, trzeba to przeżyć. Nie doświadczysz tego nigdzie indziej. Tylko tam. Tylko w kryminale.

Epilog

Klawisz chwyta kukiel i ciągnie wajchę. Uchyła malutkie okienko w głównej, więziennej bramie. Zerka. Już po szóstej, świta. Ulica tonie w październikowej mgle i dymie z kominów. Niebo raczy kapuśniakiem. Strażnik chce przymknąć wizjer i uruchomić mechanizm – zrobić coś, co robi tu od wielu lat – ale nienaturalnie zawiesza się w połowie ruchu. Znów uchyła, po raz drugi patrzy na ulicę. Z wrażeniem, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Od zawsze były to dwa odrębne światy, więc od zawsze krążyło się między równoległymi rzeczywistościami, ale ten kontrast tak mocno uderzył go dopiero dziś. Tam, przed bramą – cicho, spokojnie. Sennie i niewinnie. A tutaj?

Wciska guzik, furta rusza, wielkie krople odrywające się od kolczastego drutu bombardują podjazd. Strażnik patrzy na to wszystko i wie, że ta noc zostanie z nim już na zawsze. Karawan grzeje silnik.

Siedem

Było kilka minut po północy. Marek przed snem ślizgał się jeszcze po telewizyjnych kanałach, gdy w sypialni zagrała stara nokia. Wyskoczył więc z wyra i słuchał już na stojąco. Nocne telefony do kierownika ochrony oznaczają najgorsze wiadomości.

Pamięta tylko trzy pierwsze słowa, które wdukał w słuchawkę przerażony młody chłopak. Później wszystko działo się już automatycznie. Nie wie, kiedy i jak wsuwał się w spodnie, jak zakładał polar, jak kurtkę zapinał. Nie pamięta, jak wbiegał do garażu, jak w szalonym tempie pędził przez miasto. Nie pamięta, co mówił, gdy rozmawiał z inspektorem ochrony i w trybie pilnym ściągał do zakładu całą nową zmianę. Dwadzieścia kilka osób, żeby natychmiast podmienić wstrząśniętych kolegów. Wie, że to wszystko zajęło mu siedem minut. Na teren wjeżdżał tuż za rozkrzyczaną karetką.

Zastrzyki

Kilka godzin później dzwonił po lekarzach. Pierwszy odmówił. Drugi też. Trzeci odburknął, że nawet mowy nie ma. A że lekarz to w takiej sytuacji konieczność, wiedział doskonale. Nie jest przecież medykiem, więc jak będzie ludzi na nogi stawiał, gdy wieść spadnie już na nich jak ostrze gilotyny? Poprosił o pomoc młodziutką pielęgniarkę więzienną. Niedługo tu pracowała, może kilka tygodni. Spakowała w torbę zastrzyki na spokój i tabletki na lament. W trójkę jechali kilkadziesiąt kilometrów autem. On, młoda z pigułkami i psycholog z krzepiającym słowem. Wszyscy po cywilnemu, żeby nie potęgować cierpienia. Marek układał w głowie, co ma powiedzieć, gdy się już spotkają. Gdy stanie twarzą w twarz z najbliższymi. W końcu minęli tabliczkę z nazwą miejscowości. Jeszcze kilometr, dwa skrzyty w prawo. Drzwi otworzył teść.

Szok

Nie ma procedur na takie zdarzenia. Nie przeczytasz o tym w podręcznikach, nie odpytują z tego na egzaminach. Działasz instynktownie, kierujesz się zdrowym rozsądkiem. Korzystasz z całego zdobytego doświadczenia. Adrenalina aż buzuje we krwi, ale nie masz prawa pokazać emocji. Dowodzisz przecież ludźmi, nie możesz sprawić wrażenia, że choć na chwilę sytuacja wymknęła ci się spod kontroli. Pracujesz na najwyższych obrotach, jak maszyna. Nie wszyscy radzą sobie jednak z tak potężnymi emocjami. Tej nocy dowódcą zmiany był młody chłopak. Ambitny, ale dopiero przyuczony do tej funkcji. Gdy Marek wjechał na zakład tuż za karetką i wyskoczył zza kierownicy, dowódca stał przed wartownią. Oczywiście miał nieobecne. Kierownik ochrony zadawał mu pytania, oczekiwał natychmiastowych odpowiedzi, ale młody był już w zupełnie innym miejscu. Zaniemówił z szoku.

Maciek

Usłyszał oddziaływy. Dał znać na wartownię.

– Stało się coś strasznego! – krzyknął do dowódcy.

Klawisz pognał na wartowniczą wieżę, z której było słycać strzały.

Telefon do kierownika ochrony. Trzy słowa.

„Maciek się zastrzelił”.

Chłód

Gdy teściu ich zobaczył, nawet słowa nie powiedział. Zrobił tylko kilka kroków w głąb korytarza. Jakby to, co nieuchronnie nadchodziło, odpychało chłodem i dojmującym żalem. Dobrą chwilę zajęło, aż się ocknął z tego szoku. Znow podszedł do drzwi.

– Dzień dobry, nazywam się Marek Kamiński. Przyjechaliśmy z zakładu karnego. Czy możemy wejść?

Starszy mężczyzna wpuścił ich do kuchni. Siedli przy stole, chwilę później obudziła się teściowa. Powiedział. Przyjęli to w miarę spokojnie. Jako trzecia do kuchni weszła młoda kobieta. Jego żona. Powiedział.

– Pani mąż nie żyje. Dziś w nocy popełnił samobójstwo na wieży wartowniczej – wyrzucił to z siebie, żeby nie przedłużać strasznego momentu.

Torba z zastrzykami.

Trauma

Fajny był, uśmiechnięty. Jeszcze dzień wcześniej z Markiem rozmawiał. Nabijali się z pierdół, później mówił coś o swoim dziecku, o zawodach sportowych, na których była cała ekipa z zakładu. Nic nie wskazywało. Do dziś różnie się mówi w środowisku. Jedni, że miał problemy w domu. Inni, że walczył z depresją. Jeszcze inni, że po prostu nudził się na tej wieży, bawił bronią i przez przypadek sobie życie odebrał. Karabin jak miotła go zmiotł. Choć przypadek jest mało prawdopodobny. Przecież najpierw trzeba odbezpieczyć. Klik – broń ustawiona na pojedynczy strzał. Klik – broń ustawiona na ogień ciągły. Przeładować – odciągnąć suwadło, wprowadzić nabój do komory. Pociągnąć za spust. Tego się nie da zrobić przez przypadek. Zresztą tej nocy to nie był pojedynczy strzał.

Tajemnicę zabrał do grobu, zostawił traumę.

Kierownik pognał na wieżę. Wbiegł tam z ratownikami, ale nie było o czym gadać. Nie było szans. Do szóstej rano zabezpieczano ślady. Kawałki czaszki wyciągano z grzejnika. Krew wycierano.

Marek: – To był najmocniejszy wstrząs w moim życiu. Nigdy się już z tego nie wyleczę. Przez tyle lat za murami musiałem się mierzyć z wieloma trudnymi sytuacjami. Zawsze twardy byłem, ale ta noc była ponad moje siły. Obraz Maćka z wieży zostanie ze mną do ostatnich dni.

Niedługo później w innym zakładzie karnym w Polsce zastępca dowódcy zmiany poprosił kolegów o wyjście z pomieszczenia. Zamknął się od środka, strzelił sobie w głowę z pistoletu P-64.

Ten rok to był dziwny i trudny rok.

Huk

Karawan powoli opuszcza zakład. Brodzi w kałuży i skręca w lewo. Ujeżdża kilkadziesiąt metrów i kręci w prawo, na dobre znikając z zasięgu wzroku.

Metaliczny, ocieężały spacer połówek więziennej furty. Dwie postaci w przeciwdeszczowych pelerynach. Jedna postać. Pół postaci.

Huk domkniętej bramy.

Wszystkie imiona zmieniłem.

W niektórych zdarzeniach zmieniłem także szczegóły ułatwiające identyfikację bohaterów.

Warszawa – Nowogród Bobrzański 2018–2019

Spis treści

Dedykacja

Słownik

Prolog

CZŁOWIEK

Malarz

Ciechocinek

Panie Nowak, ja się pana boję

Kwintesencja

Pana Boga za nogi

Zajedź mi fajki, bo dramat mam

Pokochać wroga

Puzzle

Gość ci wisi

Historie jak wiele innych

Przedpiekle

Siedem grzechów. Nieczystość

Śmietnik

Siedem grzechów. Nieumiarkowanie w (jedzeniu i) picciu

Eska rock, część pierwsza

Siedem grzechów. Chciwość

Eska rock, część druga

Po uszy w białym gównie

Siedem grzechów. Gniew

Kapcie i podomka

Ślad

Dylematy

ZARAZ PO KACIE

SYSTEM

Szyfowe prace

Wymiar (nie)sprawiedliwości

Siedem grzechów. Pycha, zazdrość, lenistwo

Tylko tam

Epilog

Spis treści

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Marcin Głowacki

Zdjęcie Autora
Rafał Masłow

Redakcja
Marcin Czajkowski


Korekta
Teresa Zielińska
Anna Sidorek

Copyright © by Paweł Kapusta, 2019
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

ISBN 978-83-8032-383-4



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)